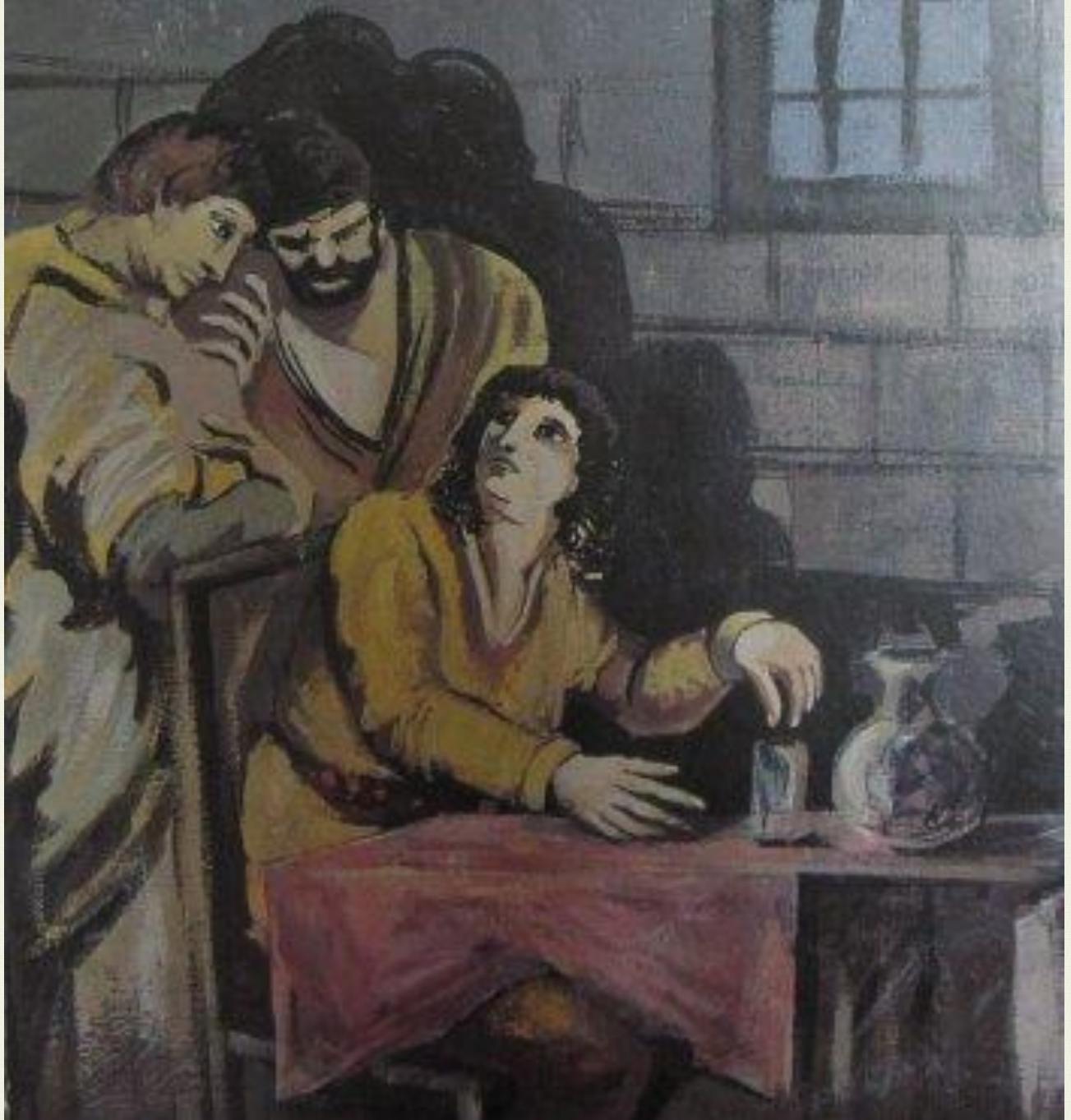


MICHEL ZEVACO



Eliksir mriošci



MICHEL ZEVACO

**Eliksir
miłości**



**Wydawnictwo
PRZYGODA**

SZCZECIN 1991

Michel Zevaco
Cykl Buridan

Buridan
Eliksir miłości
Krwawa królowa
Tajemnica wieży

Francja. Okres panowania Ludwika X i Małgorzaty Burgundzkiej. Wszyscy wokół wiedzą, że kaprysy miłosne królowej niosą jej kochankom śmierć od sztyletu lub trucizny. Podobny los czeka również Buridana, głównego bohatera tego cyklu powieściowego, który wierny ukochanej dziewczynie nie ulega zachciankom „krwawej królowej” - jak powszechnie mówi się o Małgorzacie. Uwikłany w dworskie intrygi podejmuje walkę w obronie swojej miłości i życia.

Tekst oparto na edycji Wydawnictwa Księgarni J. Przeworskiego
Warszawa 1933
Tytuł oryginału L'elixir d'amour

Przekład z francuskiego
Jan Mściwój

Opracowanie graficzne serii
Andrzej Tomczak

Ilustracja na okładce
Przemysław Cerebież-Tarabicki

Redaktor
Janusz Sudol

Redaktor techniczny
Lidia Wójcik

Korekta
Zespół

© Copyright by „Przygoda”, Szczecin 1991

ISBN 83-7037-136-1

Wydawnictwo „Przygoda” Spółka z o.o. Szczecin 1991.
Wydanie I, nakład 30.000 egz.
Objętość ark. wyd. 9,5, ark. druk. 7,5.
Skład, druk i oprawa: Szczecińskie Zakłady Graficzne.
Zam. nr 1839/11.10/90/1

I

BÓG WYŚLUCHAŁ

Między komuną żakowską a opactwem Saint-Germain wrzała otwarta walka. Przedmiotem tej kłótni była dolina Pre-aux-Clercs. Żacy chcieli panować tu bez żadnych ograniczeń. Opactwo ze swej strony niechętnie znosiło ich sąsiedztwo i starało się zagarnąć obszary ziemi przylegające do klasztoru.

Jak w każdej walce górą była raz jedna, raz druga strona. Jednak za panowania opata klasztoru, Klemensa Mahauta, opactwo triumfowało częściej. Teraz właśnie, po dłuższym okresie zawieszenia broni, przyszła chwila, kiedy palestranci, galilejczycy i żacy połączyli swe siły przeciw łucznikom królewskim.

Wielebny Klemens Mahaut powitał z entuzjazmem kompanię łuczników przybyłą do opactwa z panem Hugonem de Trencavelem na czele. Ukryli się oni w murach klasztornych, aby w razie potrzeby przyjść walczącym z pomocą.

Przeor rozkazał zastawić w refektarzu stół dla oficerów, potem w obecności Trencavela przywołał brata ochmistrza i brata piwnicznego. Pierwszemu rozkazał rozdać pomiędzy żołnierzy chleb i mięso, drugiemu zaś — wytoczyć na podwórze dwie spore beczki wina. Po zadośćuczynieniu tym obowiązkiem gościnności czcigodny opat sam dopilnował rozstawienia posterunków.

Gdy obchodząc mury klasztorne, znalazł się w tej ich części, która przylegała do Pre-aux-Clercs, wybuchła właśnie walka, a okrzyki tłumu, jęki i złorzeczenia dochodzące zza murów podnieciły wojowniczość czcigodnego ojca.

— Ach! — rzekł Trencavel, który mu towarzyszył w obchodzie. — Mógłbyś, ojcze, bez wahania zająć moje stanowisko kapitana! Daję słowo...

Przerwał mu zakonnik, który zbliżywszy się do opata, rzekł:

— Jakież dwie kobiety proszą o wpuszczenie ich do klasztoru.

— Dwie kobiety! — zdziwił się przeor marszcząc brwi. — A od kiedy, ojcze Hilary, kobiety wpuszczane są do opactwa? Czyżby odgłosy bitwy aż do tego stopnia pomieszały ci rozum? Na Boga! Mógłbyś powściągnąć swój strach!

— Wybacz mi, przewielebny ojcze — wyjąkał ojciec Hilary bardziej nastraszone gniewem przełożonego niż ogłuszającymi okrzykami palestrantów walczących z łucznikami — wybacz mi, lecz te dwie damy nie są zwykłymi kobietami...

Hugo de Trencavel pochylił się do ucha opata i szepnął parę słów, po czym czcigodny ojciec pośpieszył do głównej bramy i kazał spuścić zwodzony most. Po drugiej stronie fosy stał powóz, który natychmiast po otwarciu bramy wjechał na podwórze klasztorne. Z powozu otoczonego nieliczną eskortą wysiadły dwie kobiety. Pierwszą była królowa, drugą — Mabel.

Małgorzata Burgundzka, powitana przez przeora przemówieniem po łacinie, podziękowała mu, a potem zwróciła się do Trencavela:

— Prowadź.

Po chwili królowa, jej towarzyszka, opat i Trencavel weszli do domku ogrodnika, z którego okien widać było całe pole bitwy. Sam opat zaprowadził Małgorzatę na pierwsze piętro, otworzył drzwi sypialni Marcina i odsłonił firankę.

Małgorzata wychyliła się przez okno. Za nią stanęła Mabel blada jak śmierć. Wiedziała, że w tym samym domu znajdowała się Myrtilla. Gdzie była? Może w sąsiednim pokoju.

Tymczasem Małgorzata przyglądała się bitwie. Widziała porażkę łuczników. Teraz Pre-aux-Clercs było terenem straszliwych zmaganiań poszczególnych grup. Rozlegały się okrzyki triumfu i bólu. W całym tym zamieszaniu szukała jednego człowieka... Ujrzała go nareszcie.

Ujrzała go w chwili, kiedy Marigny zaczął cofać się w stronę furtki ogrodowej, broniąc się zażarcie. Zadrzała. Błysk radości rozjaśnił w chwilę później jej posępne oczy, Buridan bowiem, nacierając na Marigny'ego, zmierzał właśnie do domku ogrodnika.

Wtedy rzuciła kilka rozkazów kapitanowi. Pośpieszył je wykonać.

Teraz już okrzyki walczących dotarły do domku. Potem zaległa wielka cisza.

Małgorzata jeszcze jakiś czas pozostała w ukryciu. Wkrótce ujrzała kompanię Trencavela wypadającą na Pre-aux-Clercs, szarżującą na bandy rozproszonych żaków, co zamieniło ich pierwotne zwycięstwo w sromotną porażkę.

Wtedy królowa odeszła od okna.

Mabel tymczasem myślała: „Może Bóg jednak wysłucha mej prośby! Może Małgorzata nie dowie się, że córka jej jest tuż przy niej”.

W tej chwili królowa otworzyła drzwi małego pokoiku. Drzwi te wychodziły na klatkę schodową, prowadzącą do dużej sali parterowej. Na klatce schodowej stała biała postać kobieca, wychylając się i spoglądając w dół:

— Myrtilla! Przekleństwo! — jęknęła Mabel.

Królowa również zobaczyła Myrtillę. Zbliżyła się do niej w chwili, gdy dziewczyna rzuciła się pomiędzy ojca a narzeczonego.

Małgorzata i Marigny zeszli do parterowej sali, aby odbyć naradę. Małgorzata była matką dziewczyny. Marigny był jej ojcem. Każde z nich z odmiennych powodów chciało odebrać drugiemu dziecko.

Mabel przyglądała się obojgu nieruchoma, pozornie obojętna... Myślała: „A gdybym tak weszła na schody! A gdybym otworzyła drzwi od pokoju, w którym jest zamknięta córka Małgorzaty... Gdybym tak weszła i porwała ją... Czy byłoby to tak trudną rzeczą?”

Powoli, ostrożnie zaczęła zmierzać w stronę schodów. W chwili gdy miała postawić nogę na pierwszym stopniu schodów, królowa rzekła do niej spokojnie:

— Pozostań, Mabel, nie przeszkadzasz, a nawet będę cię potrzebowała..

Kobieta zawahała się. Na chwilę opanowała ją myśl: „A gdyby tak skoczyć na górę, rzucić się na Myrtillę, zasztyletować ją, a potem oznajmić: — Małgorzato, ty zabiłaś mego syna, ja pozbawiłam życia twoją córkę! Jesteśmy kwita...”. Przemogła się jednak i zwróciła znowu w stronę Małgorzaty, która w tej chwili mówiła do Marigny'ego:

— Oto nasza córka odnaleziona dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Kochasz ją — kontynuowała — lecz ja kocham ją również całym swym macierzyńskim sercem. Widzisz, moja córka to jedyna czysta myśl pomiędzy myślami złymi, to kwiat, który wyrósł samotnie, podlany moimi łzami w najtajniejszym zakątku duszy, to sens mojego życia na tym świecie.

Mabel chłonęła te słowa. Sprawiały jej one niewymowną, straszliwą radość. Im bardziej Małgorzata kochała swą córkę, tym bardziej będzie cierpiała po rozłączeniu z nią.

Królowa mówiła dziwnie szczerym i pełnym serdeczności głosem. Kto wie, czy nie była naprawdę szczerą?

Marigny, posępny i zamyślony, ze spojrzeniem tchnącym nienawiścią, nie mógł znaleźć żadnej odpowiedzi.

— Pani rzekł wreszcie głuchym głosem — po twojej stronie jest prawo i siła.

— Siła? — spytała Małgorzata podniesionym głosem. — Czy uciekam się do siły? Gdybym chciała użyć przemocy, gdybym miała skorzystać z władzy królewskiej, czy byłbyś tu?

— Przebacz, Małgorzato! Tak, masz rację, nie mówmy już o twych macierzyńskich prawach. Równają się one moim prawom. Nie potrzebuję mówić, że kocham swoją córkę. Wiesz o tym sama. Jest ona moim życiem. Myślę więc, że będziesz miała nade mną litość i że to, co postanowisz, nie stanie się dla mnie wyrokiem śmierci.

Małgorzata uśmiechnęła się przelotnie. Triumfowała.

— Przekonasz się — powiedziała — że umiem być i sprawiedliwa. Odłożmy na tydzień, na dwa tygodnie jeśli 1 chcesz, ostateczną decyzję. Pomyślę nad tym sama, a potem razem jak przyjaciele, a nie jak królowa i minister, po prostu jak ojciec i matka poszukamy sposobu uczynienia naszego dziecka szczęśliwym. Co powiesz na to, Marigny?

— Zgadzam się. Lecz co się z nią stanie przez ten czas? Niepodobna, aby pozostawała w Luwrze!

— Istotnie, jest to takie samo niebezpieczeństwo jak jej pobyt w Różanej Zagrodzie albo w twoim pałacu. Uczyńmy więc oboje jednakową ofiarę i zgódźmy się na to, żeby przez ten czas Myrtilła nie była ani ze mną, ani z tobą...

— A więc z kim?

— Z Mabel — odpowiedziała królowa.

Marigny podniósł wzrok na Mabel i przyjrzał jej się badawczo.

— Zgoda — kiwnął głową.

Mabel ani drgnęła, twarz jej pozostała nieruchoma, zbladła tylko, jakby za chwilę miała paść zemdlna. Podniosła wzrok ku niebu i wyszeptowała cicho:

— Bóg mnie wysłuchał! Bóg spełnił moją prośbę!

Po kilku minutach Marigny opuścił dom wraz z królową. Przed odejściem jednak minister podszedł do Mabel i szepnął jej na ucho:

— Jeżeli chcesz zrobić majątek, przyjdź dziś wieczorem do mego pałacu.

Królowa zaś odciągnęła Mabel na bok i cicho rozkazała:

— Za godzinę muszę wiedzieć, dokąd zaprowadzisz Myrtilłę. Jeśli zależy ci na życiu, uczyn tak, aby Marigny nic nie wiedział.

Małgorzata wyszła na podwórze opactwa, odprowadzana przez opata aż do głównej bramy, potem wsiadła do swego powozu i wróciła do Luwru. Minister udał się do miasta wraz z Trencavelem, którego kompania posłużyła mu za eskortę.

Mabel została sama. Stała cicho pod drzwiami pokoju Myrtilli i dłuższą chwilę nasłuchiwała. Nie dobiegł jej jednak żaden odgłos. Otworzyła drzwi i ujrzała dziewczynę siedzącą w kącie. Podeszła do niej i dotknęła ręką jej ramienia. Myrtilła wzdrygnęła się i podniosła na nią zapłakane oczy.

— Czego chcesz, pani? — zapytała łagodnie.

— Chcę powiedzieć ci, w jaki sposób można ocalić Buridana — odpowiedziała Mabel. — Czy jesteś gotowa pójść za mną?

W odpowiedzi Myrtilła wstała z miejsca i zarzuciła na głowę kaptur. Obie kobiety wyszły z domku i udały się w kierunku Paryża.

Przed opuszczeniem opactwa Małgorzata Burgundzka zatrzymała się na chwilę w parlatorium, w którym czekało na nią dwóch mężczyzn. Jednym z nich był kapitan straży, Hugo de Trencavel, drugi, na którego kapitan spoglądał z wyższością połączoną z odrazą, był trudny do poznania — tak starannie ukrył pod kapturem twarz.

— Pani — rzekł Trencavel, gdy królowa wieszowała mu sprytnego manewru wojennego — co mam zrobić z trzema więźniami?

— Z trzema? — zapytała Małgorzata.

— Tak! Jan Buridan i dwaj szaleńcy w maskach. Dokąd mam ich zaprowadzić?
Do Tempie?

— Nie, nie do Tempie — odpowiedziała Małgorzata po chwili wahania.

— A Więc do Chatelet?

Królowa zawahała się znowu i rzekła:

— Nie, nie do Chatelet.

Trencavel uklonił się w milczeniu, jakby chcąc powiedzieć: „W takim razie czekam na rozkazy waszej królewskiej mości”.

Królowa zbliżyła się do niego i oznajmiła cichym głosem:

— Trencavel, jesteś wiernym sługą. Umiesz ślepo słuchać, jakikolwiek będzie rozkaz, nawet gdyby był najdziwniejszy!

— To mój obowiązek wiernego poddanego i żołnierza — rzekł Trencavel. — Niech wasza królewska mość rozkazuje. Ja będę tylko wypełniał rozkazy.

— Oto moje rozkazy! Dla Marigny’ego, Valois, dla samego króla, dla całego świata twoi jeńcy skorzystali z chwili zamieszania, aby uciec. Czy mnie rozumiesz?

— Tak, pani — odparł kapitan nie mrugnawszy nawet.

— Gdzie są więźniowie?

— W sąsiednim pokoju, tuż obok parlatorium.

— Dobrze. Możesz teraz zabrać stąd swoich ludzi.

— A kto będzie pilnował więźniów?

— Ten człowiek! — rzekła Małgorzata.

To on odpowiada teraz za nich. Zna moje rozkazy.

Zakapturzony mężczyzna, a był nim Stragildo, skierował się do pokoju, w którym byli zamknięci Buridan i dwaj jego zamaskowani towarzysze.

II

LANCELOT BIGORNE SZUKA SCHRONIENIA

Bigorne wydostał się z domku ogrodnika Marcina w chwili, gdy ujrzał, że Buridan został ujęty przez żołnierzy Trencavela. Nie udało mu się wyjść z bójki bez szwanku. Otrzymał niejedno zadraśnięcie, stracił trzy zęby oraz znaczną część włosów z brody. Jego ubranie było w strzępach. Lewy profil różnił się zaś znacznie od prawego.

Nie sądził jednak, aby wycofując się, chciał opuścić Buridana. Nie, nie miał tego zamiaru. Rozważył jednak bardzo rozsądnie, że w niczym mu teraz nie jest w stanie pomóc, zwłaszcza jeśli sam zostanie więźniem. Tymczasem na wolności może się przydać swemu panu.

Po powrocie do Paryża Lancelot Bigorne udał się na ulicę św. Dionizego do mieszkania Buridana.

Czcigodna właścicielka domu, pani Clopinel, siedziała właśnie w swym sklepiku i sprzedawała imbir jakiemuś klientowi, który opowiadał o bitwie na Pre-aux-Clerse i o tym, jak początkowo zwycięscy palestranci i zacy zostali w końcu pobici przez łuczników królewskich.

Zdaniem opowiadającego na polu bitwy pozostała niezliczona moc trupów i rannych. Zginęło co najmniej dwa tysiące żaków. Wiemy już, że informacje te były przesadne, lecz jak to zwykle bywa, wieści przechodzące z ust do ust, rosną jak grzyby po deszczu.

Pani Clopinel zęgnąła się ustawicznie, przynajmniej jeden raz za każdego nieboszczyka.

Bigorne wszedł do sklepika w chwili, gdy gadatliwy klient zakończył swe dramatyczne opowiadanie i zbierał się do wyjścia.

— Pani Clopinel — powiedział Bigorne — teraz ja pani coś powiem. Mój pan, a pani lokator, młodzieniec zachwycający i dzielny...

— Istotnie — potwierdziła czcigodna dama. — Dzielny i zachwycający to prawdziwe cechy pana Jana Buridana.

— Otóż krótko mówiąc, chciałem pani oznajmić, że Buridan udał się w długą podróż.

— Wyjechał! — jęknęła pani Clopinel. — Któż mnie teraz będzie bronił?

Bigorne przyłożył rękę do serca i odpowiedział:

— Ja, pani Clopinel, ja — we własnej osobie! Dowiedz się pani, że pan Buridan przed odjazdem powiedział do mnie następująco: „Bigorne, powierzam ci wszystko, co mam najdroższego na świecie, to znaczy panią Clopinel. Czuwaj nad nią podczas mojej nieobecności. Śpij tylko na jedno oko. Nie wypuszczaj z ręki sztyletu. Gdyby chciano ją ograbić, daj się raczej zamordować...”

— Zaczny młodzieniec! — szepnęła pani Clopinel, ocierając łzę albo udając, że ją ociera. — No i pojechał? Daleko?

— Daleko! Nie wiem, kiedy powróci! A pani tu została... wystawiona na niebezpieczeństwa...

— Jezu Chryste!

— Na rabunek, na kradzieże, na podpalenie...

— Najświętsza Panno, ulituj się nade mną!

— Na napaści łotrzyków, złych mnichów, żaków, no i na inne katastrofy...

— Dość, Bigorne, umrę ze strachu!

— To wszystko groziłoby pani, gdyby nie było mnie — dodał Lancelot. — Lecz ja czuwam!

— Tak, ty czuwasz! — rzekła łaskawie stara.

— Oto co uczynię, pani Clopinel. Zamieszkać w tym samym pokoju, który zajmował mój pan. Będę tam mieszkał do chwili jego powrotu.

— Bardzo dobrze.

— Naturalnie, będę płacił tyle samo co on...

— Ach! Więc chcesz płacić?

— Tyle samo co on, to znaczy nic.

— Niech i tak będzie! — rzekła stara z westchnieniem, widząc, że rozwiewa się jej piękny sen o dobrym interesie.

— Obiecuję bronić cię w nocy i w dzień. Nie ruszę się stąd krokiem. Będzie musiała pani jednak dostarczać mi żywności i trunków, abym mógł utrzymać się przy życiu i nie zginąć z głodu i z pragnienia...

W sercu pani Clopinel rozgorzała walka pomiędzy skąpstwem a tchórzostwem. Tchórzostwo wzięło górę. Postanowiła przystać na propozycję Lancelota. Teraz jednak Bigorne popełnił nieostrożny krok. W chwili gdy stara obiecała mu mieszkanie i życie, chciał podziękować jej godnie. Podniósł się z miejsca i przyłożywszy rękę do serca, uklonił się. Czyniąc ten ruch, zwrócił się do niej, niestety, bardziej pokiereszowaną częścią twarzy. Na ten widok pani Clopinel wydała okrzyk przerażenia.

— Co to jest? — wskazała palcem na jego rany.

— To? — rzekł niepewnym głosem.

— Jesteś cały poturbowany! Biłeś się!

— Ani ja, ani nikt z moich bliskich! Nigdy w życiu! Nigdy się nie biję, chyba że w obronie mądrości, cnoty i podeszłego wieku...

— Biłeś się z żołnierzami królewskimi!

— Ależ...

— Biłeś się w towarzystwie przeklętych palestrantów i żaków! Na pewno szuka cię teraz straż! — wrzasnęła rozwścieczona stara. — Oto dlaczego nie chciałeś ruszać się z domu! Jeśli cię tu znajdą, ja zostanę oskarżona o udzielanie przytułku nicponiowi, któremu grozi stryczek!

— Pani Clopinel, myli się pani, przysięgam na świętą Barbarę.

— Zostanę uwięziona, postawiona pod pręgierzem, a może nawet powieszona! Zabieraj się stąd, włóczęgo! Jestem wierną poddaną jego królewskiej mości! Nie ma w moim domu miejsca dla łotrów! Precz! — krzyczała dalej, chwytając za miotłę.

Wobec tak groźnej broni i wobec krzyków, które mogłyby ściągnąć ciekawych, Lancelot Bigorne wycofał się pośpiesznie. Wybiegł na ulicę, starając się ukryć pod płaszczem swe rany, a pod opuszczonym rondem kapelusza swą zakrwawioną twarz.

— Niech cię cholera, megiero, czarownico, dusikrupo, szatańska sklepikarko! Niech cię febra wytrzęsie! Niech cię pokręci! Niech banda złodziei wdrze się do twego mieszkania i ograbi cię z ostatniej koszuli! Zaczekaj, moja pani! Podałem ci kogoś takiego, kto cię nauczy mądrości! Zasłużyłaś na to! Ale co ja teraz zrobię? Mam całego bogactwa tyle, co garść fig!

Istotnie, wycofując się przed miotłą pani Clopinel, Bigorne wsunął pośpiesznie rękę do worka z suszonymi: figami i zagarnął ich nieco... Teraz żuł je melancholijnie, idąc w kierunku ulicy Tirevache.

Była to bardzo nędzna uliczka, na której grasowały „wesole dziewczęta” i nocni rabusie, dzielący się łupem w brudnych norach, noszących szumną nazwę traktierni.

Do jednej z takich traktierni wszedł Lancelot. Właścicielem jej była dziwna osobistość. Był to po prostu karzeł z niezwykle długimi rękami, które nieomal sięgały ziemi. Człowiek ten obdarzony był herkulesową siłą. Toteż gdy jakiś nocny gość odmawiał płacenia, gospodarz traktierni chwycił go za pas i wyrzucał na ulicę. Wszystkie te zalety szynkarza budziły w nocnych łotrzykach szczerzy podziw i szacunek. Karzeł otrzymał przydomek Noël Połamaniec.

— Jak się masz, drogi przyjacielu — rzekł słodko Bigorne, wchodząc do szynku. — Zawsze dzielny, zawsze mocny. Aaa, można powiedzieć, że Noël Połamaniec jest chlubą całej ulicy Tirevache. Dawnośmy się nie widzieli! Naprawdę, umierałem z tęsknoty! Więc dzisiejszego ranka powiedziałem sobie: „Muszę pójść i zobaczyć się z moim kochanym przyjacielem!”

— Czego chcesz? — burknął karzeł.

— Jeść! — rzekł Bigorne, nabierając odwagi.

— Nic łatwiejszego — odparł Noël Połamaniec. — Co chcesz, aby ci podano?

— Drobiazg! Kawalek pasztetu, jajecznicę z sześciu jajeczek ze słoninką... nigdzie takiej nie ma jak u ciebie, no i chlebusia...

— A pić? Co będziesz pił?

— Dzbanuszek białego wina, mój przyjacielu. Mój drogi towarzyszu...

— Magdalenko! — wrzasnęła Noël Połamaniec.

Gruba dziewczka z gołymi rękami i z rozczochraną głową ukazała się w głębi izby kuchennej.

— Magdalenko! Jajecznica ze słoninką, bochen chleba i kawał pasztetu dla Bigorne’a, a potem dzban białego wina.

— Zaraz! — mruknęła Magdalenka.

Lancelot Bigorne był wniebowzięty.

— A teraz płacić! — rzekł Noël Połamaniec, wyciągając rękę.

— Co takiego? — poderwał się z ławy Bigorne.

— Powiadam — płacić! No już!

— Mój przyjacielu, dlaczego mnie obrażasz, żądając zapłaty z góry?

— Płać albo — won!

- Noëlu, mój drogi Noëlku, skredytuj do jutra!
- Kredyt zdechł! Płać albo idź do diabła!

Lancelot Bigorne westchnął tak, że wzruszyłby nawet serce tygrysa, przypasał rapier, zarzucił na ramiona płaszcz, otarł załzawione oczy i skierował się do drzwi niepewnym krokiem w nadziei, że straszliwy karzeł da się wzruszyć. Stał już przy drzwiach, ale Noël Połamaniec mruczał jedynie gniewnie. Nieszczęsny Lancelot miał już przekroczyć próg, już odwrócił się i chciał obrzucić karła potokiem obelg i wyzwisk, gdy nagle jakiś głos obwieścił:

- Ja płacę!

III

SZYMON MALINGRE

Na te słowa Lancelot odwrócił się pośpiesznie, a nieugięty szynkarz spojrzawszy badawczo na uprzejmego fundatora. Przyjrząwszy się gościowi, rzekł krótko:

- Dobrze. Możesz zostać, Bigorne. Magdalenko, przynieś jedzenie!

Nowo przybyły podał karłowi garść pieniędzy.

— Potem! — powiedział Noël, potrząsając głową. — W mojej traktierni płaci się przy wyjściu, i to dopiero wtedy, gdy jest się zadowolonym z obsługi.

— To prawda! — pośpieszył zapewnić Bigorne, siadając na wprost nieznanego, który dał mu znak, aby zajął miejsce przy jego stole.

Człowiek ten miał twarz zupełnie zasłoniętą kapturem, spod którego sterczał jedynie koniec ostrego nosa. Nieznajomy odrzucił brzegi płaszcza i ukazał usianą śladami ospy bladą i nerwową twarz.

- Szymon Malingre! — bąknął głucho Bigorne bardzo nieufnym tonem.

— Pst! — rzekł mężczyzna. — Tak, to ja. A teraz, kiedy mnie poznałeś, jedz, a potem porozmawiamy. Jesteśmy starymi towarzyszami swojakami... W dzieciństwie bawiliśmy się razem w piasku... Nieco później razem wychodziliśmy na łowy w ciemnych uliczkach Paryża. Jakkolwiek teraz rozdzieleni, możemy przecież uważać się za przyjaciół.

- Nie! — odpowiedział Lancelot. — Jesteś człowiekiem, który życzy mi śmierci.

— Ejże, hrabia de Valois wcale jej tobie nie życzy, a ja przecież jestem jego prawą ręką. Zobacysz zresztą! Jedz, zaraz ci powiem, o co mi chodzi.

- Szukałeś mnie?

- Już od trzech dni...

Lancelot Bigorne zawahał się po raz ostatni. Powiedział sobie jednak, że z tego nieoczekiwanego spotkania uda mu się może wyciągnąć jakąś korzyść dla Buridana. Wietrzył dobry interes, a przy tym właśnie w tej chwili Magdalenka postawiła na stole jajecnicę. Bigorne rzucił na Szymona nieufne, a na jajecnicę czułe spojrzenie. Szepnął:

- Niech się dzieje, co chce, zostaję!

Przypuścił szturm na jajecnicę. Potem na pasztet, potem na kawał kury, a potem, naleśniki. Szymon Malingre był tak hojny, że Bigorne coraz bardziej miał się na bacności. Gdy już wreszcie nasycił głód, nieufność jego dosięgnęła szczytu. Oparł się łokciami o stół i rzekł spokojnie:

- Słucham cię!

- Noël! — rzucił rozkaz Malingre. — Dwie dobre miarki miodu.

„Na pewno ma mi coś ważnego do powiedzenia” — pomyślał Bigorne.

W szynku w tej chwili nie było nikogo. Karzeł podał miód i zniknął.

— Słuchaj — rzekł Szymon Malingre, gdy już zostali sami. — Czy chcesz się wzbogacić?

— Hm! Jestem już bogaty!

— Jak to? To dziwne!

— Dziwne, ale prawdziwe. Wszystko, czego tylko zapragnę, mogę wziąć.

Wieczorem, gdy sakiewka moja jest pusta, muszę tylko obejść kilka dzielnic, odwiedzanych przez bogatych mieszczan, i sakiewka szybko się napełni. To bogactwo, niewyczerpane bogactwo zależne jest tylko ode mnie, a przy tym nikt mi go nie może odebrać.

— Niewątpliwie, lecz gubisz duszę.

— Nie gubię jej! Im więcej kradnę, tym więcej zapewniam sobie łask świętych, zakupując msze za zbawienie mej duszy...

— Niech i tak będzie, ale ciało twoje zasługuje również na względy. Pomyśl tylko, na jakie niebezpieczeństwa jesteś narażony. Ot, dziś na przykład, jak ty wyglądasz?

— To prawda... Ale powiedz mi, czy nie wiesz, co się działo dziś rano na Pre-aux-Clercs?

— Nie, nie wiem nic.

— Czy nie słyszałeś o bitwie pomiędzy wojskiem a żakami?

— Nie. Od trzech dni, to jest od czasu, kiedy zacząłem cię szukać, nie interesuję się niczym innym.

— A powiedz mi, kiedy widziałeś się z twoim godnym panem, wszechmocnym hrabią de Valois?

— Trzy dni temu, ale co cię to obchodzi?

— Masz rację, wszystko to nie powinno mnie obchodzić. Mów dalej.

— Powiadam ci więc, że nie tylko grozi ci niebezpieczeństwo ze strony tych, których chcesz ograbić, lecz również możesz być pochwycony przez straż i możesz powędrować na Montfaucon, jak to już było niedawno.

— Dzięki twemu piekielnemu panu! — wtrącił Bigorne.

— Zamiast tego wszystkiego — mówił dalej Malingre — ofiaruję ci bogactwo, którym będziesz mógł cieszyć się, szczęśliwy, że nie masz już żadnych zatargów z prefektem ani ze strażą.

Bigorne posepny i zadumany spytał:

— Jedno słowo! Jedno jedyne! Czy przychodzisz w imieniu hrabiego de Valois?

— Nie. W moim własnym.

— Dobrze. Czy chcesz, żebym pracował na rzecz hrabiego?

— Nie, przeciw niemu.

— Przeciw hrabiemu de Valois?

— Przeciw jego sakiewce! — wyjaśnił Malingre.

— Dobrze! — wykrzyknął Bigorne. — Zgadza się. Zapomniałem już o tym, że śmiałeś się, kiedy Capeluche chciał zarzucić mi stryczek na szyję. Zapomnę, że jesteś oddany duszą i ciałem temu diabłu, temu szatanowi, hrabiemu de Valois.

W duszy obiecywał sobie większą niż kiedykolwiek ostrożność.

Szymon Malingre, zdawało się, zamyślił się nad tym, co ma powiedzieć.

— To Gillonna poradziła mi zwrócić się do ciebie. Gillonna to mądra baba...

— Gillonna? A któż to jest?

— Ach, prawda, nie znasz jej. Otóż Gillonna jest stara, brzydka, zła, lecz posiada cenną właściwość, upiększającą wszystkie jej wady, mianowicie... kocha pieniądze.

— To wspólna nam cecha — zaśmiał się szyderczo Bigorne.

— Tak, lecz Gillonna kocha pieniądze do szaleństwa, wytęża cały swój umysł, aby ich zdobyć jak najwięcej. Widziałem ją już przy pracy. Wyświadczyła hrabiemu de

Valois przysługę, za którą kazała sobie dobrze zapłacić. Teraz ma plan, w który cię wtajemniczę. Jesteśmy współnikami. Jeśli plan się uda, Gillonna będzie bardzo bogata i ożenie się z nią.

— A jaki będzie mój udział w zyskach? — zapytał Bigorne.

— Podzielimy się sprawiedliwie, na trzy części. Czy ci to odpowiada?

— Owszem. Ale zdaje mi się, że pachnie to zdradą w stosunku do twego pana.

Dobry z ciebie numer.

— No cóż, takie jest życie — odpowiedział Szymon Malingre, a nos jego jeszcze bardziej się wydłużył. — Zdradziłbym samego Boga, gdyby mi to przyniosło jakiś zysk. Rozumiem dobrze Judasza. Nie rozumiem tylko jego trzydziestu srebrników. Ja na jego miejscu kazałbym sobie wypłacić złoto. Zresztą mniejsza o to, jaką nadadzą mi nazwę, chcę być bogaty, aby potem móc żyć szczęśliwie w mojej ojczystej Bethunii. Hej, Noëlu, jeszcze miodu.

Szynkarz wszedł zaspany. Ani myślał podsłuchiwać. Ich rozmowa nie obchodziła go wcale. Znał dobrze obu gości i wiedział, że na pewno knują co najmniej jakieś morderstwo. Jeśli ma ono nastąpić poza progami jego domu, nie dba o nie wcale, jeśli w jego domu — zażąda swojej części łupu.

Gdy już miód stał na stole, a szynkarz oddalił się, Szymon Malingre mówił dalej:

— Czy pamiętasz, co ci się przytrafiło niegdyś, kiedy pełniłeś służbę przy panu de Valois?

— Wiele działo się wtedy rzeczy — odpowiedział Lancelot. — Kto by tam wszystko pamiętał.

— Tak, ale jestem pewien, że o jednej nie zapomniałeś. Ta sprawa w Dijon...

Bigorne spojrzał na niego z lękiem.

— Aha! — przeciągnął Malingre ironicznym tonem. — Widzę, że rozumiesz, co mam na myśli. Chodzi o to, czy dziecko, które miałeś wrzucić do rzeki...

— Które wrzuciłem do rzeki... — przerwał mu Bigorne, mając się jeszcze bardziej na baczności. — Tak, jest to sprawa poważna... Pamiętam, pamiętam dobrze, widzę jeszcze zielone nurty wody i wpadające w nie dziecko... Woda zamknęła się nad nim... no i koniec.

Mówił to wszystko głosem tak posępnym i drżącym, iż widać było, że dręczą go wyrzuty sumienia.

Szymon słuchał go, kiwając głową. Na usta jego wypłynął szatański uśmiech. Wreszcie zapytał:

— A więc dziecko nie żyje?

— Nie ma najmniejszej wątpliwości! — rzekł Bigorne z westchnieniem.

Malingre milczał przez chwilę, po czym dłoń jego spadła na ramię Bigorne'a:

— A teraz wyobraź sobie, że dziecko żyje!

IV

W KTÓRYM JEST MOWA O SYNU HRABIEGO DE VALOIS I O MIESZKANIU, JAKIE ZNALAZŁ DLA SIEBIE LANCELOT BIGORNE

— Co takiego! — zawołał Bigorne, podskakując na swym taborecie.

Malingre uśmiechnął się jeszcze bardziej tajemniczo.

— Tak, wyobraź sobie na chwilę, mój Lancelocie, że zdjęty wyrzutami sumienia, nie wykonałeś rozkazu Małgorzaty Burgundzkiej i jej kochanka hrabiego de Valpis.

— Ale... — wyjąkał Bigorne przerażony.

— Czekaj! Wyobraź sobie, że nie chcąc wrzucić dziecka do rzeki, zostawiłeś je w jakiejś chatce, stojącej w pobliżu...

Bigorne czuł, że lęk ścina mu krew w żyłach. Sięgnął powoli po sztylet. Teraz było dla niego jasne, że hrabia de Valois wiedział o tym, iż on, Bigorne, nie wypełnił jego rozkazu... Wysłał na zwiady Szymona i zaraz wpadną do szynku zbiry hrabiego i pochwyć go. Jednak spokój Malingre'a i to, że szynk był położony w dzielnicy zamieszkiwanej przez łotrzyków, uspokoiły go nieco.

— Po co? W jakim celu miałbym to zrobić? — zapytał ochryplym głosem.

— Czy ja wiem? Może po to, aby je później zabrać.

Ręka Bigorne'a sięgnęła znowu po sztylet. Teraz zrozumiał już plan Malingre'a. Wierzył on w śmierć dziecka, chciał jednak wmówić innym, że chłopiec żyje. Tylko skąd ten szczegół z opuszczoną chatką?

Malingre ciągnął dalej.

— Przed kilku laty ogarnęła mnie tęsknota za naszymi stronami.

— Do diabła! — zaśmiał się szyderczo Bigorne. — Nie wiedziałem, że masz tak miękkie serce.

— Trudno, taki już jestem, zresztą miałem jeszcze inne sprawy do załatwienia. Byłem tam za wiedzą hrabiego de Valois. Otóż na wprost oberży, w której zamieszkałem, żyła stara- już kobieta imieniem Margentyna. Przybyła tam przed kilku laty z mężczyzną i dzieckiem. Gdy ja zjechałem do Bethunił, mężczyzna już nie żył, a chłopak liczył sobie blisko piętnaście lat.

Bigorne słuchał opowiadania z wielką uwagą.

— Jak wyglądał chłopiec? — zapytał głucho.

— Nie wiem — odpowiedział Malingre. — Nigdy go nie widziałem, znałem tylko kobietę, która uchodziła za matkę Janka.

— A więc chłopak nazywał się Janek? — szepnął Bigorne.

— Teraz muszę ci powiedzieć parę rzeczy... Moja tęsknota za ojczystymi stronami wyrażała się w ten sposób, że w dzień siedziałem w oberży, a w nocy włóczyłem się po świecie. Musiałem wypełnić zlecenie mego pana i wywiedzieć się paru rzeczy.

— Mów dalej!

— Otóż pewnej nocy, właściwie pewnego ranka, bo na niebie zapaliła się już zorza, wracając z oberży, usłyszałem jęki. W drzwiach chatki, w której mieszkała kobieta, ujrzałem ją bladą jak widmo... Błagała o pomoc... Wszystkie moje zabiegi były daremne — umarła już po godzinie. Była to Margentyna.

— Uchodząca za matkę piętnastoletniego młodzieńca, zwanego Janem? — zapytał Lancelot

— Tak jest. Gdy już zrozumiała, że umiera, chwyciła mnie za rękę i zaklinając na Boga, powiedziała, że ma do mnie prośbę. Ponieważ jestem dobrym chrześcijaninem, nie mogłem jej tego odmówić. Zresztą jako nagrodę za spełnienie jej ostatniej woli obiecała mi część pieniędzy, jakie posiadała. Zamknąłem drzwi, aby nikt nie mógł nam przeszkadzać w chwili, gdy będzie zwierzała się przed mną ze swej tajemnicy.

Wtedy zaczęła mnie błagać, abym udał się do Paryża, na uniwersytet, gdzie przebywał młody Jan. Za fatygę dała mi dziesięć złotych talarów. Pozostałe dwadzieścia, również w złocie, oraz złoty łańcuszek z zawieszonym na nim medalionem, zawierającym pukiel kobiecych włosów, wręczyła mi z prośbą, abym oddał je Janowi. Niestety, medalion posiadał piękny diament!

Bigorne zacisnął pięści. Cynizm Szymona oburzył go.

— Co miałeś powiedzieć chłopcu! — rzekł ostro.

— Otóż Jan wiedział, że nie jest synem Margentyny, nie wiedział jednak nic więcej poza tym. Margentyna, przesyłając medalion, chciała dopomóc mu w odnalezieniu rodziców, o których wiedziała, że są bogaci i wysokiego rodu. Znała ich nazwisko, albo raczej domyślała się z monogramów na bieliźnie znalezionej dziecka...

— Jakie to nazwisko?! — zawołał Bigorne stłumionym głosem.

— Nie zdążyła mi tego powiedzieć. Śmierć zamknęła jej usta. Zdradziła mi jednak, że wraz z mężem znaleźli chłopca, domyślili się, czym jest on dzieckiem, i chcieli z czasem wyłudzić od rodziców pieniądze. Czy rozumiesz?

— Rozumiem doskonale.

— Tymczasem mąż jej zmarł wkrótce, ona zaś zwlekała ciągle ze spełnieniem swego zamiaru. Wreszcie gdy chłopak już dorósł, wyraził chęć udania się do Paryża. I wtedy jeszcze nie powiedziała mu nic, lecz obiecała sobie udać się tam za nim i wyznać wszystko. Nagła śmierć przeszkodziła jej w tym zamiarze. Ot i cała historia. Co powiesz o niej?

— Ciekawa. Lecz czekam końca.

— Czy sądzisz, że jest koniec? — zdziwił się Malingre.

— Każda rzecz ma swój początek, dalszy ciąg i koniec. Znam tylko początek, pozostaje dowiedzieć się przynajmniej dalszego ciągu.

— Mylisz się, nie znasz nawet początku. Opowiem ci go zatem. Otóż wróciłem do Paryża i... zapomniałem zupełnie o Janie. Zachowałem oczywiście łańcuszek i medalion z diamentem. Diament sprzedałem, lecz medalion z włosami mam. Byłbym zapomniał o całej historii, gdyby pewne słowa Gillonny nie przypomniały mi o niej. Wtedy zacząłem szukać ciebie. A teraz, czy wiesz, gdzie Margentyna i jej mąż znaleźli małego Janka?

— Skąd mogę wiedzieć? — rzekł Bigorne niepewnym głosem.

— Otóż znaleźli go w samotnej chałupce nad rzeką, pod Dijon! Czy ciągle jesteś pewny, że utopiłeś dziecko?

Z tymi słowami Szymon Malingre zajrzał przenikliwie w oczy Bigorne'a. Lancelot westchnął, przesunął ręką po czole i odpowiedział:

— Chciałbym nie mieć tej pewności, nie doznawałbym takich wyrzutów sumienia. Widzę jeszcze biedne maleństwo, jak przebiera rączkami w wodzie, a potem idzie na dno... Stałem przynajmniej godzinę na brzegu, oszalały z przerażenia... Syn hrabiego de Valois nie żyje!

— Dobrze. A teraz powiem ci, dlaczego ja i Gillonna pomyśleliśmy o tobie. Czy wiesz, jak nazywał się mąż Margentyny, którego nazwisko nosi znaleziony przez nich Janek?

— Nie mam pojęcia!?

— Buridan! — rzekł Szymon Malingre.

— Buridan! — powtórzył głucho Bigorne.

A więc on, Bigorne, spośród tylu panów i mieszczan wybrał sobie na chlebodawcę tego, którego ocalił od śmierci. Buridan był synem pani de Dramans! Buridan, który nienawidził hrabiego de Valois i który był z kolei przez niego znienawidzony, jest właśnie synem hrabiego! Bigorne długo milczał, wreszcie odzyskał powoli zimną

krewni. Teraz dopiero ogarnęła go bezgraniczna ciekawość. Czego chciał Szymon Malingre?

Tymczasem zaufany sługa hrabiego mówił dalej:

— Gillonna i ja przypuszczaliśmy przez chwilę, że nie utopiłeś dziecka hrabiego i Anny de Dramans, że zostawiłeś je w opuszczonej chatce i że to właśnie dziecko zostało znalezione przez Margentynę. Wynikałoby stąd, że twój pan, Buridan, jest rodzonym synem hrabiego de Valois. Gdyby hrabia dowiedział się, że jego syn żyje, gdybyś dowiódł mu, że jest nim Buridan...

— Co wtedy?

— Przypuszczam, że hrabia dałby dużo pieniędzy temu, kto uwolniłby go od... syna.

— Możliwe.

Szymon Malingre zawahał się, spoglądając spod oka na Bigorne'a. Nagle szepnęła:

— Lancelocie, czy zdążyłeś już przywiązać się do swego pana? Czy bardzo go kochasz?

— Kogo? Buridana?

— Tak, Buridana, Jana Buridana, twego pana.

— Nienawidzę go — rzekł Bigorne, wychylając do dna swój kubek miodu. — Jest kłótniwy, ostry, ma ciężką rękę. Od razu mi się nie spodobał i nosiłem się z zamiarem pożegnania go.

— Nie trzeba się z nim rozstawać — doradzał Malingre. — Przygotuj się! Przede wszystkim trzeba, abyś wyznał hrabiemu, że nie utopiłeś dziecka, a potem obmyślimy razem, jak ukatrupić Buridana, którego nienawidzisz, i w ten sposób zrobimy majątek!

— Tak — powiedział Bigorne, dławiąc się wściekłością i udając kaszel. — A co ja za to dostanę?

— Powiedziałem już: trzecią część zapłaty Valois.

— Chcę czegoś innego — rzekł Bigorne.

— A czego? — zapytał zdziwiony Malingre.

— Chcę, żebyś mi dał medalion z łańcuszkiem... Więcej nie chcę nic

— To bardzo proste — powiedział Szymon Malingre. — Mogę ci dać medalion, jeśli pójdziesz ze mną na ulicę św. Katarzyny.

Przy tej ulicy stał pałac hrabiego de Valois.

Już po godzinie Lancelot Bigorne był w posiadaniu medalionu, który ukrył starannie na piersi.

— Gdzie się spotkamy, aby omówić dalszą akcję? — zapytał Malingre.

— U Noëla! — odpowiedział Bigorne, postanawiając jednocześnie omijać ten szynk.

Po pożegnaniu Malingre'a odszedł ulicą św. Antoniego, rozmyślając nad wszystkim, co mu się przytrafiło.

Wyszedszy na plac Greve, zaczął monologować:

— Gdzie będę spał? Pani Clopinel wyrzuciła mnie za drzwi, grożąc miotłą. Noël Połamaniec odmówił mi kredytu. Nic mi się nie udaje od czasu, jak zostałem porządnym człowiekiem. Muszę jednak znaleźć dla siebie jakieś mieszkanie...

Gdy tak rozmyślał, stojąc obok domu z filarami, kilkunastu żołnierzy straży miejskiej rzuciło się na niego. W mgnieniu oka został rozbrojony i skrupowany.

— Czy to jest Lancelot Bigorne? — zapytał jakiś głos.

— Tak, panie prefekcie — powiedział sierżant z Chatelet. — Znam go. To nasz stary klient. Dokąd mamy go odprowadzić?

— Do Chatelet! — odpowiedział prefekt, Jan de Precy.

W kilka chwil potem nieszczęsny Bigorne został wtrącony do lochu więziennego. Szepnął do siebie melancholijnie:

— Wreszcie znalazłem sobie przytułek i wikt. Zdaje mi się, że będzie to ostatnie moje miejsce zamieszkania!

Tymczasem prefekt Paryża pędził do Luwru, aby uzyskać u królowej audiencję i donieść, jej o aresztowaniu Lancelota Bigorne'a.

V

STRASZNE ODKRYCIE

Mabel, trzymając Myrtillę za rękę, szła pośpiesznie małymi, ciemnymi uliczkami. Wreszcie zatrzymała się na jakimś placyku, otoczonym żywopłotem.

Był to cmentarz des Innocents. W murze cmentarnym była nieduża furtka. Mabel otworzyła ją. Weszły na podwórze porośnięte chwastami, potem Mabel wepchnęła dziewczynę do mieszkania, zamykając szybko drzwi wejściowe. Zaczęły wspinać się kamiennymi schodami, wreszcie stanęły na piętrze, w jakimś dziwnym pokoju. Minęły ten pokój, weszły do innego, w którym znajdowało się łóżko, stół, kilka krzeseł. Na stole leżały olbrzymie manuskrypty, zamknięte na ciężkie żelazne klamry.

Myrtilla zauważyła, że okna tego pokoju były zakratowane.

— Oto mój dom — rzekła Mabel — oto mój pokój. Będzie on twoim pokojem.

Dom ten sąsiedzi nazywali — Niewdzięcznym Domem. Krążyło na temat tego na poły opuszczonego domostwa wiele tajemniczych opowieści i historii. Z rzadka tylko jego okna były oświetlone. Dochodziły zeń nieraz jakieś dziwne dźwięki, które mogły być poczytane za skargi czy jęki potępionych dusz. Wszystko to tłumaczono po prostu bliskim sąsiedztwem cmentarza.

— Będiesz tu mieszkała — oznajmiła Mabel. — Nie będzie ci tu niczego brak. Będiesz miała moje towarzystwo o tyle, o ile moje zajęcia nie każą mi pozostawić cię samej. Lecz wychodząc, będę zmuszona cię zamknąć. Uprzedzam zresztą, że wszelka chęć ucieczki na nic się nie zda...

Choć Mabel mówiła dosyć łagodnie, słowa jej wywarły na dziewczynie niemiłe wrażenie.

— Nie znam pani i pani mnie nie zna — rzekła, a łza spłynęła jej po policzku — jednak, rzecz dziwna, mam wrażenie, że nienawidzi mnie pani. Dlaczego? Co mogłam uczynić pani złego?

— Nie potrzebujesz się niczego obawiać, dziewczyno. Czyż nie jesteś pod opieką najlepszego z ojców, pana Enguerranda de Marigny'ego?

— Tak — szepnęła Myrtilla. — Mój ojciec nazywa się Enguerrand de Marigny, a mój narzeczony — Buridan!

— Oprócz tego — mówiła Mabel dalej — masz protektorkę jeszcze potężniejszą od niego — królową Małgorzatę!

— Królową — szepnęła niewyraźnie dziewczyna. — Tę kobietę, która ukazała się w celi więziennej, udając, że mi współczuje, a która potem kazała mnie odprowadzić do Diablej Wieżyczki!

— Naprawdę? Czyżby królowa budziła w tobie strach? — mruknęła Mabel.

— Niestety, czuję, że żywi ona do mnie uczucie jakiejś dziwnej odrazy. Czuję, że jestem w jej ręku biednym, pojmanym w potrzask ptakiem, którego, gdy zechce, zdusi...

— Może to i prawda — rzekła Mabel z dziwnym uśmiechem — że królowa cię nienawidzi, lecz naprawdę nie może ci ona uczynić nic złego...

— Dlaczego?

Mabel chwyciła dziewczynę za rękę i powiedziała:

— Czy matka może uczynić coś złego swemu dziecku?

Myrtilla wydało się, że świat zawirował jej przed oczami. Zrozumiała, że zaplątała się w sieć wypadków tajemniczych i strasznych. Mistyczny lęk rozszerzył jej źrenice. Że złożonymi jak do modlitwy rękami szepnęła:

— Co pani mówi? Co za straszne bluźnierstwo wyszło z pani ust?

— Powiedziałam — rzekła Mabel, pochylając się nad dziewczyną — powiedziałam, że ty jesteś moim łupem! Nienawidzę cię! Drogą pośrednią, przez ciebie, postaram się zadać królowej takie cierpienie, jakich ona w moim życiu była sprawczynią!

Małgorzata Burgundzka zamordowała mego syna, a teraz ja, słyszysz, teraz ja chcę zamordować córkę Małgorzaty Burgundzkiej!

Była głucha i ciemna noc, kiedy Myrtilla obudziła się. Nie wiedziała, jak długo siedziała tak w fotelu. Słowa Mabel wywarły na niej przerażające wrażenie.

Córka Małgorzaty Burgundzkiej... Dziecię potajemnej miłości. Porzucona przez matkę... Teraz dopiero zrozumiała, dlaczego jej rzekomy ojciec, pan Klaudiusz Lescot, odwracał zazwyczaj głowę i nie chciał nic mówić, ilekroć prosiła go o to, by jej coś opowiedział o nie znanej matce. Czuli, że jest otoczona powszechną nienawiścią, jakkolwiek była córką najpotężniejszych Judzi w całej Francji... Poczuli się bardzo samotna.

Dowiedziała się jeszcze na domiar złego, że jest przedmiotem zemsty nieznanegoj kobiety... Za jakieś winy matki, o których nie miała pojęcia, ona musi płacić i ona ma teraz zginąć niewinnie.

Wszystkie te myśli wirowały rozpaczliwie w głowie młodej dziewczyny. Otaczające ciemności przejmowały ją lękiem i grozą. Z wielkim trudem podniosła się, aby położyć się do łóżka. Tam przynajmniej mogła ukryć w poduszkach głowę i nie myśleć o niczym... nie patrzeć na nic, nic nie słyszeć.

W chwili gdy powstała z miejsca, usłyszała jakiś dziwny głos. Zadrżała. Skąd płynął ten głos? Ponieważ jednak odzyskała już całkowicie świadomość, rozejrzała się i zauważyła, że drzwi do sąsiedniego pokoju były lekko uchylone. Stamtąd właśnie płynął ów tajemniczy dźwięk. Wraz z tym monotonnym głosem, mruczącym jakieś modlitwy, czy też zaklęcia, do pokoju jej wdarł się promień światła.

Cała drżąca automatycznym krokiem ruszyła w stronę, skąd płynął głos i zajrzała do sąsiedniego pomieszczenia.

Pokój ten był przestronny, czworokątny. Podłoga była z dużych płyt kamiennych, sufit sklepiony. Cztery półsklepienia łączyły się w jedną różę, pośrodku której był wyrzeźbiony jakiś wyraz. Niewątpliwie był to znak kabalistyczny. Cztery półsklepienia, skupione w cztery różę, dzieliły komnatę na cztery części.

W jednej z tych części był olbrzymi komin, na którym w tej chwili płonął ogień. Na kominie stało kilka kotłów, a spod pokrywy unosiła się wonna para. W drugiej części pokoju stał wielki drewniany stół. Leżały na nim olbrzymie księgi z zakładkami z czerwonego jedwabiu. Na końcu każdej wisiały medale wyobrażające różę umieszczoną na sklepieniu. Za księgami stał czarny krucyfiks ze srebrną Męką Pańską. Za krucyfiksem rozpościerała skrzydła wypchana sowa, ptak zła, używany do praktyk piekielnych. W trzeciej części pokoju stały na etażerkach różnego kształtu i wielkości butelki, napełnione płynami. W czwartej wreszcie porozwieszano na ścianach pęki suchych traw.

Myrtilla na widok tego dziwnego pokoju szepnęła z przerażeniem:

— Jestem w mieszkaniu czarownicy!

Zdjęta lekko stała bez ruchu, ledwo oddychając, czekając na ukazanie się widm i duchów, które niewątpliwie Mabel umiała wywołać.

Stała ona w tej chwili przy kominie, odwrócona do niej plecami. Pochylona była nad gotującymi się kotłami, rękę wyciągnęła nad leżącymi na stole manuskryptami. Szeptala głucho jakieś słowa, z których część dolatywała do uszu przerażonej Myrtili.

— Dzisiejszej nocy na pobliskim cmentarzu żywi wejda w kontakt ze zmarłymi. Wywołuję was, wzywam eteryczne duchy, wzywam mocą tych ziół, wzywam, abyście zamieniły tę nieczystą wodę w magiczny płyn. Jeśli księgi mówią prawdę, jeśli eliksir miłości nie jest kłamstwem, jeśli dobrze przeczytałam i dobrze wymówiłam tajemnicze słowa, dzieło moje będzie dzisiejszej nocy skończone... Nadludzkie to dzieło, a noc sprzyjać mu będzie, bo zmarli opuszczą swe mogiły...

Myrtila drżąc słuchała jej słów, nic nie rozumiejąc. Chciała wejść nagle do laboratorium, stawić czoło czarownicy, przewracać tajemnicze naczynia, połtuc butelki... Strach był jednak silniejszy.

W tej chwili mocne, czerwone światło zalało jej pokój. Odwróciła się nerwowo i ujrzała, że światło to pada przez okno. Zdjęta ciekawością podeszła do niego, podniosła zasłonę i... kurczowo uczepliła się krat, czując, że zaraz upadnie.

Okno jej pokoju wychodziło na cmentarz. Na tym cmentarzu zgromadził się przy świetle smolistych łuczów, wetkniętych w ziemię, duży tłum ludzi. Był to tłum dziwny, wyjący, wydający jakieś nieokreślone dźwięki, krzyki rozpaczliwe albo wściekłe jęki. Tłum ten składał się z mnichów, robotników, królów, biskupów, lekarzy, minstreli, kardynałów, kobiet z ludu, królowych, mieszczek, prostytutek. Wszyscy połączeni byli w konwulsyjnym uścisku... Cały ten fantastyczny tłum zgromadził się wokół beczki, stojącej nad otwartą mogiłą. Na beczce stał kościotrup, odziany w długi, czarny płaszcz. Kościotrup odsłaniający tylko ohydny, straszliwie wykrzywioną czaszkę, trzymał w pieszczelach skrzypce i grał jakąś melodię, żywą, lekką i naiwną, która w tym straszliwym otoczeniu zdawała się sprawiać jeszcze posepniejsze i bardziej dojmujące wrażenie niż każda inna. U stóp beczki drugi kościotrup, w szerokiej, czerwonej sukni, trzymał w ręku olbrzymią kosę, którą ścinał głowy przesuającym się przed nim istotom. Straszliwa kosa pracowała bez wytchnienia, a za każdym jej uderzeniem kilka osób padało na ziemię, wijąc się w konwulsjach.

Krzyki przerażenia, straszliwe, obelżywe słowa, okropne szlochanie rozlegało się w tym oszalałym tłumie. Taniec trwał. Gryźli się, drapali, wydzielali sobie wzajemnie włosy. Płynęła krew — prawdziwa, żywa krew, a piekielne skrzypce grały wciąż lekką, skoczną melodię...

Niema z przerażenia, kurczowo ściskając w dłoniach kratę okna, Myrtila patrzyła na to, jak król zdarł sobie wściekłym ruchem z głowy koronę, wrzucił ją do mogiły, a potem sam padł w dół.

— Łaski! — wył kardynał. — Jeszcze jedną prebendę, a wtedy pójdę do ciebie, ty nieubłagana śmierci!

Świsnęła kosa, kardynał padł na ziemię.

— Pozwól mi żyć! — darła się nierządnicą. — Mój kochanek obiecał mi zieloną suknię! Pozwól mi przynajmniej raz w życiu przywdziać zieloną suknię!

— Jestem za młoda i za piękna, aby umierać! — płakała królowa.

— Nieubłagana — jęczał mnich — daj mi czas na żal za grzechy!

Z szalejącego tłumy płynęły okrzyki:

— Żyć! Żyć jeszcze! Życia! Życia! Pozwól nam żyć!

Kościotrup, piekielny minstrel, z wysokości swej beczki wiódł szalony taniec. A nieubłagana, niema śmierć, z obojętnym uśmiechem na odartej z mięśni twarzy ścinała, ciągle ścinała, nie zwracając uwagi na to, kto padał pod jej ciosami.

Nagle zapiał kogut. Rozległy się strasznej posepne wycia. Szkielet zeskoczył z beczki i uciekł. Śmierć schowała kosę pod pachę i poszła jego śladem. Pościanane trupy podniosły się z ziemi i zaczęły biec, wybuchając przeraźliwym śmiechem. Wszystko się pomieszało w jakimś szalonym wirze, wszyscy się popychali, spieszyli, potem nagle pogasły pochodnie... Cisza i ciemności zapanowały na cmentarzu.

Myrtilła nie mogąc ochłonąć z przerażenia cofnęła się od okna. Uciekać! Lecz dokąd? Do sąsiedniego pokoju, gdzie była żywa istota ludzka? Ale ta kobieta groziła jej! Ta kobieta była czarownicą! Była jednak żywą istotą!

Myrtilła chwiejąc się na nogach, podeszła do drzwi i już chciała wejść, aby zwrócić się do Mabel z błagalną prośbą: „Zabij mnie, jeśli chcesz, lecz pozwól pozostać przy tobie, ochroń mnie przed lękiem!” Nagle usłyszała słowa, które padły z ust Mabel i przejęły ją nową grozą:

— Mam teraz czym zabić Buridana! Moja królowo, będziesz miała eliksir miłości, będziesz go miała i sama mu go nalejesz!

Myrtilła zachwiała się, potem jednak miłość przewyciężyła uczucie strachu. Zapomniała o przeżytej grozie, myślała już tylko o jednym: „Buridanowi grozi śmierć!”

Starła się stąpać bez najmniejszego szmeru. Zaczęła nadśłuchiwać... Wychyliła się nieco zza framugi drzwi i ujrzała Mabel trzymającą w ręku flaszeczkę pełną przezroczystego płynu, podobnego do wody źródlanej. Płyn! Fatalna trucizna, która miała zabić Buridana.

Zwiedła twarz Mabel zastygła w wyrazie dumy i triumfu. Trzymała w ręku butelkę, podnosząc ją na wysokość oczu, jakby podziwiając przezroczystość płynu.

— Elixir miłości — szepnęła.

Bardzo ostrożnie postawiła butelkę na stole przy manuskryptach u podnóża krucyfiks.

— Musisz stać przez trzy godziny u stóp tego, który może wszystko — rzekła prawie głośno. — Tak mówią księgi, a księgi nie kłamią... Stare księgi mędrców chaldejskich, indyjskich i egipskich. Elixir będzie działać! A gdyby nawet nie wywarł pożądanego efektu, na pewno sprowadzi śmierć!

Z tymi słowami zdjęła z etażerki małą flaszeczkę i wlała z niej kilka kropli do butelki z eliksirem miłości. Płyn zmętniał na chwilę, potem nabrał znowu przezroczystości kryształu.

— A teraz chodźmy do córki Małgorzaty! — rzekła z uśmiechem.

Odstawiła na miejsce butelkę i skierowała się w stronę Myrtilli. Nagle ujrzała, że drzwi są uchylone.

— Jak mogłam zapomnieć o drzwiach? — szepnęła. — Gdyby dziewczyna przeniknęła moją tajemnicę, musiałaby umrzeć natychmiast.

Jednym skokiem znalazła się w pokoju Myrtilli. Dziewczyna siedziała w fotelu, tak jak w chwili, gdy się z nią rozstała. „To szczęście dla niej” — pomyślała Mabel, oddychając z ulgą. Potem zbliżyła się do fotela.

— Śpi! — rzekła, pochylając się nad Myrtilłą. — Ładne dziecko... Zresztą co ona temu wszystkiemu jest winna?! Tym gorzej! Och! Tym gorzej! Kto miał litość nade mną? Lej łyzy, Małgorzato! Śpi! Nie zbudzi się pewnie aż za kilka godzin... Sen, który następuje po zemdleńniu i wstrząsie nerwowym, bywa zawsze długotrwały. Znam się na tym... Wykorzystam tę okazję. Będę z powrotem za jakąś godzinę.

VI

TAJEMNICZA CELA WIĘZIENNA

Buridan i jego dwaj zamaskowani towarzysze zostali osadzeni w więzieniu przy opactwie Saint-Germain-des-Pres. Za więzienie posłużyła komnata przylegająca do parlatorium: duży pokój opatrzone w mocne drzwi i pozbawiony okien. Po dwóch godzinach pobytu pojmanych w tym improwizowanym więzieniu wszedł jakiś mężczyzna, mówiąc:

— Dzień dobry, moi panowie. Nudzicie się pewnie u tych przeklętych klechów! Rozumiem to. Cierpliwości. Za chwilę ofiarujemy wam mieszkanie godne takich jak wy osobistości.

„Stragildo!” — warknął w duchu Buridan.

— Dobrze, dobrze, bardzo dobrze — mówił dalej Stragildo. — Wszystko zamknięte... ucieczka byłaby niepodobieństwem. Zachwycające! Do widzenia, moi panowie.

Minął dzień...Więżniowie słyszeli jedynie dźwięki, dzwonów zwołujących zakonników na modlitwę, do pracy w polu albo do refektarza.

Mogło być około dziesiątej. Drzwi otworzyły się i pokój rozwidnił się nagle blaskiem pochodni.

Buridan podniósł głowę i ujrzał twarz Stragilda. Wykonawca woli królowej — pomyślał — jest naszym opiekunem. Dokąd ten szatan zamierza nas zaprowadzić? Dobrze! Zobaczymy! Nędznik ten nie ujrzy na mej twarzy bodaj cienia wstrząsających mną uczuć! Cokolwiek powie, cokolwiek uczyni on albo jego wspólnicy, spojrzę im prosto w oczy!” Jakby w odpowiedzi na słowa, które Buridan wypowiedział w głębi duszy, Stragildo zbliżył się do niego z uśmiechem, dobył z kieszeni długą jedwabną szarfę i zaczął zawiązywać nią oczy młodzieńcowi.

— Tym sposobem będziesz mógł łatwiej spoglądać w głąb swej duszy — zaśmiał się ironicznie.

— Czy z zawiązanymi, czy odsłoniętymi oczami zawsze jednakowo dobrze mogę w niej czytać — odparł Buridan.

— I cóż w niej widzisz?

— Ano, to tylko na razie, że boisz się mnie, nicponiu. Nie lękaj się, nie ugryzę cię, chociażby dlatego, aby nie zatruć się jadem zbrodni, którym jesteś przepojony.

— W drogę! — wrzasnął ochryplym ze wściekłości głosem Stragildo.

Buridan zdążył zauważyć, że to samo co z nim, uczyniono również z jego towarzyszami. Usłyszał odgłos licznych kroków, potem poczuł, że go dźwignięto, złożono prawdopodobnie na wozie i wkrótce ruszono w drogę.

Gubił się w domysłach, dokąd mogą jechać.

Po pewnym czasie z turkotu kół po bruku wywnioskował, że wjechał do Paryża. Wóz zatrzymał się. Zdjęto go zeń i dokądś zaniesiono. Usłyszał zgrzyt otwierających się drzwi. Z wilgotnego, cuchnącego pleśnią powietrza osądził, że znajduje się w podziemiach, a potem z zaduchu, jaki nagle go owionął, że wniesiono go do celi. Złożono go na płytach kamiennej posadzki, ktoś .rozciął krępujące jego ręce więzy... Usłyszał zgrzyt zamykających się drzwi, a potem zaległa cisza. Buridan zdarł z oczu szal, rozwiązał więzy krępujące mu nogi i wreszcie powstał. Ujrzał dużą salę, której jedyne zakratowane okienko znajdowało się nad drzwiami wiodącymi prawdopodobnie na korytarz. Pokój oświetlony był woskowymi pochodniami. Prócz pochodni w pokoju była również mała oliwna lampka.

— Ho, ho, jestem traktowany jak jaki książe — szepnął do siebie. — Po raz pierwszy w moim życiu. Dopiero w więzieniu poznałem, co to jest komfort!

Ze zdumieniem zauważył, że w celi znajdowały się trzy łóżka. Zamiast dzbana z wodą i kawałka chleba, jak w każdym więzieniu, ujrzał pośrodku izby suto zastawiony stół. Był nakryty na trzy osoby. Dokoła stały trzy stolki. Byстрым spojrzeniem obrzucił dziwne więzienie i ujrzał w jednym z jego kątów dwóch towarzyszy nieszczęścia, którzy leżeli tam wciąż jeszcze skrzepowani i z zawiązanymi oczami. Pośpieszył uwolnić ich z więzów.

Wtedy dwaj tajemniczy więźniowie zdjęli z twarzy maski. Byli to Filip i Gautier d'Aulnayowie.

— Tam do diabła — wykrzyknął Gautier — gdzie jesteśmy?!

— Któż to może zgadnąć — odpowiedział Burłdan.

— Na drodze do śmierci! — szepnął Filip.

Trójka przyjaciół spojrzała po sobie z przerażeniem... Było niezbitą prawdą, że z tego lokalu droga wieść mogła jedynie do sali tortur. No bo przecież oskarżyć ich można było o bunt, o obrazę przedstawiciela rządu... Wszystko to były oskarżenia nie byle jakie, a przede wszystkim, i to najważniejsze, znajdowali się rękach królowej..

— Za bunt — szubienica — rzekł Filip.

— Za opór zbrojny — miecz katowski dodał Buridan.

— Za obrazę przedstawiciela władzy obcięcie kiści rąk — mruknął Gautier.

— No i nic nie zostaje dla królowej! — rzekł Buridan ze śmiechem.

Filip zbladł. Ilekroć była mowa o Małgorzacie, czuł bolesne ściśnięcie serca.

Trzej przyjaciele zasiedli do stołu. Buridan, który, mimo smutku, miał dobry apetyt, jadł za dwóch i pił za trzech. Gautier, który wypościł się dokumentnie i nie miał specjalnego powodu do smutku, jadł za trzech, a pił za czterech. Tylko Filip jadł i pił półgębkiem.

Podczas jedzenia mówiono o ostatnich wypadkach, a przede wszystkim o nieoczekiwanej nowinie: Enguerrand de Marigny był ojcem Myrtili. Roztrząsano również pytanie — do jakiego więzienia Małgorzata kazała ich wtrącić?

Po długiej wymianie zdań rozmowa zaczęła się rwać, wreszcie powoli, powoli każdy z biesiadników padł na swe łóżko i usnął.

VII

ELIKSIR MIŁOŚCI

- O dziesiątej rano Mabel wyszła z mieszkania. Wychodząc, zamknęła starannie Myrtilę. Pod płaszczem miała ukryty flakon z płynem, który warzyła w nocy. Wkrótce była już w Luwrze, w pokoju królowej. Małgorzata Burgundzka zagadnęła ją na wstępie pełnym zniecierpliwienia i podejrzliwości głosem:

— Gdzie ona jest? Dlaczego nie byłaś u mnie wczoraj?

— Odpowiem najpierw na drugie pytanie. Nie byłam dlatego, że musiałam przygotować obiecany eliksir.

— A gdzie jest Myrtila? — powtórzyła Małgorzata.

— W domu, który jest lepiej strzeżony od każdej fortecy. W domku przy cmentarzu des Innocents!

— Dziś może jeszcze pozostać u ciebie, muszę się namyślić, zastanowić... Czy kryjówka jest pewna?

— Pewniejsza niż w Luwrze!

— Zobaczę się z nią za parę dni. Nic nie nagli. Lecz pamiętaj, odpowiadasz za nią głową!

Mabel uśmiechnęła się dziwnie:

— Odpowiadam zbawieniem duszy.

Królowa zamyśliła się, potem nagle znowu zabrała głos:

— Mam ci dobrą wiadomość do zakomunikowania.

— Dobrą wiadomość?.

— Twój Lancelot Bigorne został pochwycony. Osadzą go w Chatelet. Możesz z nim zrobić, co ci się podoba. Oddaję ci go, jak obiecałam.

Mabel nic nie odpowiedziała. Małgorzata spojrzała na nią i szepnęła w duchu: „Nie chciałabym być w skórze Lancelota!”

— Masz — rzekła dalej już głośno — ten papier.

Mabel wzięła z rąk królowej pergamin i przeczytała:

*Rozkazujemy niniejszym naszemu kanclerzowi wypłacić Janowi de Precy
dwieście talarów w złocie z kasy państwa.*

*Małgorzata Burgundzka
królowa Francji*

— Wasza królewska mość zechce mi wytłumaczyć, co to wszystko znaczy — zapytała Mabel zdziwiona.

— Za tę cenę musiałam od pana de Precy’ego kupić Lancelota Bigorne’a. A gdy nie będzie już pieniędzy w naszych skrzyniach, Marigny napelni je znowu. Dzięki temu papierowi Bigorne nie stanie przed sądem. Musisz więc tylko oddać to pismo prefektowi. Jan de Precy po otrzymaniu tego papieru wypełni dokładnie wszystko, co postanowisz o więźniu. Rozumiesz?

— Rozumiem i dziękuję — rzekła Mabel, a jednocześnie dodała w duchu: „Jeden już jest! Pozostaje Karol de Valois, bardziej winny niż dziesięciu Lancelotów. Pozostaje Małgorzata Burgundzka, bardziej winna od dziesięciu Bigorne’ów i jednego Valois razem wziętych. Gdy oni poniosą karę, będę również mogła umrzeć”.

Królowa spacerowała po pokoju, obrywając płatki z kwiatów wyjętych ze wspaniałych wazonów. Zatrzymała się przed Mabel i rzekła:

— No, a eliksir?

— Oto jest! — odpowiedziała Mabel, dobywając spod płaszcza flakonik z płynem.

Królowa porwała go chciwie i z wielkim zaciekawieniem zaczęła mu się przyglądać pod światło. Płyn był zupełnie przezroczysty. Odkorkowała flakonik i powąchała.

Mabel ani drgnęła. Gdyby Małgorzata w tej chwili chciała spróbować strasznej trucizny, której kilka kropli wystarczyłoby, aby zabić człowieka, Mabel nie sprzeciwiałaby się temu. Najwyżej żałowałaby, że śmierć królowej przeszkodzi jej w wykonaniu jeszcze straszliwszej zemsty. Małgorzata jednak postawiła flakonik na stole. Mabel odetchnęła i rzekła spokojnie:

— Muszę uprzedzić cię, pani, że eliksir ten jest przeznaczony jedynie dla mężczyzny.

— Tak?! — zdziwiła się Małgorzata. — Czy jesteś pewna jego skutku na... nim?

— Już mówiłam, jakie będą. Człowiek ten umrze powoli, umrze, dręcząc się nagle zrodzoną miłością, umrze w twych ramionach, pod twymi pocałunkami.

Małgorzata słuchała jej słów z radością i lękiem. Nienawidziła Buridana, a jednocześnie uwielbiała go. Teraz zdobyła możliwość zabicia go miłością. Wymarzona zemsta.

— Kiedy chce pani podać mu eliksir? — zapytała Mabel obojętnym tonem.

— Co cię to obchodzi? — burknęła królowa.

— Istotnie, niewiele mnie to obchodzi, choć trudno się dziwić, że interesuje mnie moje dzieło. Lecz w interesie pani jest, abym wiedziała, kiedy to nastąpi. W chwili gdy będzie pił eliksir, należy odmawiać zaklęcia. Ja jedna znam formułę tego wezwania do wyższych duchów...

— A więc jutro o północy możesz przystąpić do swoich zaklęć.

Z tymi słowami królowa wyszła do swej kaplicy i padła na kolana przed wyobrażeniem Chrystusa.

— A więc jutro o północy Buridan umrze! —szepnęła Mabel,

MATKA BURIDANA

Prefekt Paryża, pan Jan de Precy, mieszkał w domu pod filarami na placu Greve. Był to człowiek zimny, surowy, bardzo przedsiębiorczy, zdolny do świadczenia wszelkich usług swoim przełożonym.

Owego wieczoru, to znaczy nazajutrz po tym, kiedy Mabel wręczyła królowej eliksir miłości, Jan de Precy kończył kolację, siedząc przy stole ze swoją żoną, osobą wesołą i łagodną w obejściu, oraz z córką. Nagle oznajmiono mu, że jakaś kobieta chce się z nim widzieć. Prefekt udał się do sali przyjęć, przybierając poważny wyraz twarzy.

Stała przed nim nieznamiona. Naciągnięty kaptur zasłaniał zupełnie jej twarz. Zamiast powitania podała mu pergamin. Był to bort do kasy królewskiej, podpisany przez królową.

— Muszę być posłuszny jej królewskiej mości — rzekł krótko prefekt. — Królowa chce, żeby nie było procesu, tak przynajmniej mi powiedziała.

— Tak jest, panie prefekcie. Żadnego procesu. Żadnego niepotrzebnego rozgłosu.

— A więc królowa chce, aby Lancelot Bigorne był po prostu uduszony w swej celi... tak? Natychmiast zajmę się tą sprawą.

— Królowa chce, abys był mi posłuszny — sprostowała kobieta.

— Dobrze! Czy wolisz, aby Lancelot Bigorrie był poddany torturom? Mów! Trzeba będzie sprowadzić kata.

— Powiem to panu po widzeniu się z nim. Gdzie jest więzień?

— W Chatelet. Jest traktowany godnie jak osoba, za którą zapłacono mi dwieście talarów... To znaczy, jak człowiek, którym interesuje się królowa.

— Dziś o jedenastej w nocy chcę wejść do jego celi.

— Chcesz wejść do jego celi? Dobrze, skoro królowa sobie tego życzy... O jedenastej? Dobra godzina. Bardzo dobra. Bądź więc przed jedenastą przy zwodzonym moście więzienia. Przyjdę tam.. Chcąc przy tym dowieść wierności mej królowej, przygotuję wszystko: stryzyk, narzędzia tortur, słowem wszystko, czego będziesz chciała. Powiesz tylko słowo, a...

— Powiem je przy wyjściu z celi.

Gdy stała przy Chatelet, przekonała się, że prefekt dotrzymał słowa. Most zwodzony jakby czekał na nią, aby się podnieść. Dyżurny łucznik czekał na nią również, podszedł i zapytał:

— Czy jesteś, pani, tą, na którą czeka pan Jan de Precy? Proszę wobec tego iść za mną.

Właśnie była jedenastą, gdy żołnierz wprowadził Mabel do głównej kwatery straży. Wkrótce stała przed prefektem, który zapytał:

— A więc chcesz iść do celi Bigorne'a?

— Taki jest rozkaz królowej.

- Dobrze. Czy mam ci towarzyszyć, czy dać ci inną eskortę?
- Chcę być sama.
- Sama? Tam do diabła! A jeśli więzień cię udusi?
- To już moja sprawa — odpowiedziała Mabel spokojnie.

”Ostatecznie — pomyślał prefekt — będzie o jedną czarownicę mniej”. Potem dodał głośno:

- Gdy wyjdiesz z celi, powiesz, czego sobie życzysz.
- Powiem. A teraz każ mnie tam zaprowadzić.
- Zaprowadzę cię sam! To jest razem z pół tuzinem uzbrojonych łuczników.

Prefekt ruszył przodem, a Mabel, wzruszając ramionami, udała się za nim. Już na korytarzu przyłączyło się do nich sześciu łuczników, klucznik i człowiek z pochodnią. Schodzili kręconymi schodami.

W miarę tego jak się posuwali, oczy Mabel stawały się coraz bardziej błyszczące, każdy stopień schodów przybliżał ją do zemsty.

Nagle prefekt otworzył jakieś drzwi.

- Czy to tu? zapytała Mabel.
- Nie. Spójrz tylko.

Mabel wsunęła przez uchylone drzwi głowę i ujrzała wyłożoną płytami kamiennymi salę. Cała podłoga była zalana krwią. Dokoła stały porozstawiane narzędzia tortur: topory, sznury, mała szubienica, na ścianach wisiały obcęgi, szczypcy, noże, w kącie na ogniu grzały się kawałki żelaza.

Mabel ani drgnęła. Prefekt zaczął się śmiać i rzekł:

- Możesz wybierać!
- Wybiorę, gdy się z nim zobaczę — odparła Mabel.

Wtedy prefekt dał znak i za chwilę klucznik otworzył inne drzwi.

Były to drzwi celi Lancelota Bigorne’a.

— Wejdz — powiedział Jan de Precy z pełnym zadowolenia uśmiechem — zaczekamy na ciebie w tamtym miłym pokoiku, który widziałaś przed chwilą.

Mabel skinęła głową i weszła do celi. Trzymała w ręku pochodnię wręczoną jej przez jednego z dozorców.

Lancelot Bigorne spał spokojnie i głośno chrapał. Blask pochodni zakłócił mu sen. Skrzywił się, mruknął jakieś przekleństwo i przewrócił się na drugi bok. W chwilę potem poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Drgnął i otworzył oczy.

Nagle w jego wzroku błysnęło przerażenie. Usiadł na podłodze, przetarł oczy, a potem wtulił się w róg celi. Przeżegnał się i szcękając zębami, szepnął:

— Mieszkanko tamtego świata, zaklinam cię, wróć do grobu i nie zakłócaj dobremu chrześcijaninowi jego ostatniego snu.

Potem nagle, jakby pod wpływem rodzącej się nowej myśli, rzekł z westchnieniem:

— Jeśli niebo zsyła mi taką próbę, to znak, że jutro pójdę na szubienicę. Święty Barnabo, nie mogę ci nic obiecać, lecz musiałbyś mieć serce z głazu, serce niewdzięcznika, gdybyś w ostatniej mej godzinie nie uwolnił mnie od tej zmory!

Zamknął oczy, potem znowu je otworzył w przeświadczeniu, że święty Barnaba nie opuścił go i wysłuchał jego prośby. Zjawia jednak stała ciągle przed nim. Wtedy mruknął znowu:

— Uff! Jest mi chyba pisana śmierć, skoro przychodzą do mnie mieszkańcy zaświatów.

Uzbroił się wreszcie w odwagę, wstał i zbliżył się powoli do rzekomego widma.

— Poznajesz mnie? — spytała Mabel. — Tak! Poznałeś mnie już w wieży Nesle. Wiesz, kim jestem. Wiesz, jaki rachunek chcę wyrównać.

Ręka jej spoczęła na dłoni Bigorne'a. Lancelot zauważył wtedy, że głos widma był świeży i naturalny, jakkolwiek lekko drżący i głuchy ze wzruszenia, ręka zaś płonęła gorączką.

— Ooo! — zawołał — A więc żyje pani?

Gorzki uśmiech rozchylił jej usta.

— Wolałabym, aby Bóg zesłał na mnie śmierć, aby sztylet Małgorzaty przeciął nędzny mój żywot. Nie cierpiałabym tak, jak cierpię teraz. Lecz ty, przekłety, wiedz o tym, że zostałeś aresztowany za moją sprawą! Za kilka minut, po wyjściu stąd, skinę tylko ręką, a przeprowadzą cię do sąsiedniej celi. Wiesz, co tam jest? To sala tortur.

Lancelot Bigorne wzdrygnął się.

— Do diabła! — mruknął. — Mogę ostatecznie umrzeć, lecz nie na torturach. To za dużo na jednego człowieka. Za cóż jednak mają mnie torturować? Nie uczyniłem nic złego i nie mam nic do wyznania.

Mabel spuściła głowę na piersi i milczała. Wreszcie zaczęła mówić powoli:

— Pamiętam tę straszną scenę... Najpierw lodowaty chłód, który ścisnął mi serce, potem ciemna zasłona przed oczami, potem omdlenie... Zdawało mi się, że jednocześnie umarłam i żyję. Wszystko słyszę, a nie mogę nawet poruszyć ręką, wszystko rozumiem, a nie mogę wymówić ani słowa ani też krzyknąć...

— Umarła i żyjąca! — zawołał Bigorne. — Tak! Teraz rozumiem wszystko!

— Wszystko słyszałam... Och! Nędznicy! Och! Podli, którzy nie mieliście litości ani nad matką, ani nad dzieckiem! Słyszę słowa Valois... Słyszę, jak Małgorzata wydaje ci straszliwy rozkaz... Słyszę krzyki mego dziecka... Sama chcę krzyczeć, błagać, podnieść się z ziemi! Nic! Nic! Słyszę, jak zabierasz moje dziecko, aby wrzucić je do wody... Jak mogłeś żyć dalej, Lancelocie?! — Wybuchnęła płaczem. — Mój biedny mały! Mój biedny Janek!

Przez kilka minut w celi słychać było tylko szlochanie Mabel.

— A więc — odezwał się wreszcie Bigorne posępnym głosem — pyta pani, jak mogłem wykonać rozkaz Małgorzaty i żyć potem?

— Mniejsza już o to! — zgrzytnęła zębami Mabel. — Najważniejsze jest to, że trzymam was wszystkich w ręku, wszystkich! Ty pójdziesz na pierwszy ogień. Gdy będziesz zwiżał się w cierpieniach w sali tortur, pamiętaj o tym, że to ja cię zabijam. Żegnaj!

Bigorne podszedł do niej, dobył z kieszeni jakiś błyszczący przedmiot i podał go jej ze słowami:

— Przed odejściem spójrz na to, Anno de Dramans.

Mabel pochwyciła go drżącą ręką i szepnęła:

— Medalion, który zawiesiłam na szyi mego Janka!

Podniosła go do ust i ucałowała. Potem spojrzała na więźnia i rzekła:

— Dziękuję. Przed śmiercią uczyniłeś dobry uczynek, zwróciłeś mi bowiem medalion, który zdarłeś z dziecka przed zamordowaniem go. Schowam tę relikwię pomiędzy inne: jego ubranka, buciki, berecik. To cały mój skarb! Dziękuję ci, Bigorne. Umrzyj w pokoju i bez tortur, ten medalion uchronił cię przed nimi.

— To nie ja zabrałem mu medalion — powiedział Bigorne — i nie ja przechowałem go.

— Co to ma znaczyć? — zapytała Mabel ze zdziwieniem.

— Chcę powiedzieć, że inni znaleźli dziecko i wzięli ten medalion.

Mabel pokiwała powoli głową.

— Tak — szepnęła. — Zwłoki biedaka znaleziono na brzegu rzeki.

— Nie mówię wcale o zwłokach — rzekł Bigorne. — Mówię, że inni znaleźli dziecko!

Mabel przesunęła ręką po czole. Drżała. Bezmyślnie wpatrzyła się w chwiejny płomień pochodni.

Bigorne mówił dalej:

— Ci inni, o których pani mówiłem, znaleźli dziecko w opuszczonej chatce, gdzie je pozostawiłem.

Pierś Mabel podniosła się z ciężkim westchnieniem. Chciała mówić, usta jej jednak pozostały nieme, ręka ścisnęła ramię Bigorne'a z wielką siłą, w oczach było tyle błagania, że Lancelot wzruszony do głębi serca rzekł mocnym głosem:

— Dziecko, które pozostawiłem w chatce, żyje! Mały Janek nie zginął ani z moich rąk, ani z innych...

W ciszy więziennej celi rozległ się straszliwy krzyk. Lancelot Bigorne mówił dalej:

— Pani syn, Anno de Dramans, żyje. Znam go. Widziałem go. W ostatnich dniach rozmawiałem z nim często. Anno de Dramans, czy chce pani zobaczyć swe dziecko?

— Żyje?

— Żyje! — zapewnił uroczystym głosem Lancelot. — Przysięgam na głowę tego właśnie dziecka, które pokochałem, przysięgam na rany Chrystusa.

Mabel nieprzytomna z radości, chłonęła opowiadanie Lancelota o tym, jak pozostawił dziecko w chatce. Potem opowiedział jej jeszcze swą rozmowę z Szymonem Maflingre'em.

— Hola! — zawołał, kończąc opowiadanie. — Co pani robi? Do diabła, serce mi pęknie! Co, ja też płaczę?

Lancelot Bigorne płakał istotnie. Płakał na widok łez matki Buridana. Padła przed Lancelotem na kolana, pochwyciła obie jego twarde i brudne ręce, a potem zaczęła okrywać je pocałunkami. Mówiła jękliwie:

— A ja cię przeklinałam! Życzyłam ci śmierci i tortur! Mój Boże, mój malutki żyje! I tyś go ocalił! Czy jest na świecie lepszy człowiek niż ty? Jak on wygląda? Czy jest wysoki, silny i piękny? Prawda, że tak jest? Mój pocziwy Bigorne, teraz nie martw się już o swój los. Ja się nim zajmę. Lecz czy on nie bardzo cierpiał? Nie... ludzie, którzy go zabrali, byli na pewno dobrymi ludźmi. Czy tylko nie zapomniał swojej matki? Żądaj, czego chcesz, pocziwy Bigorne.

Lancelot otarł oczy i odpowiedział:

— Chciałbym w tej chwili znaleźć się z dala od tych murów. Co zaś do pieniędzy, nie pogardziłbym nimi również. Nie mam bowiem w kieszeni ani grosza.

Mabel przerwała jego wywody, wzięła go za rękę i wyprowadziła z celi. Już na korytarzu spotkała się z czekającymi na nią łuczniczkami.

— Ach! — rzekł Jan de Prścy. — Prowadzisz więc naszego gościa. Widać, że ten zuch pała chęcią pójścia na tortury. A więc coś postanowiła? Stryczek? Tortury?

— Wolność — odpowiedziała Mabel. — Z woli królowej człowiek ten jest wolny.

— Z woli królowej! — powtórzył prefekt poważnym głosem, źle kryjąc zdziwienie.

Łucznicy, słysząc jej słowa, stanęli jak na paradzie i zaszalutowali jak przed samą królową.

— Dozorcy — mówił dalej prefekt — otwórzcie bramy więźniowi i wypuście go z naszego Chatelet!

Już po dziesięciu minutach Lancelot Bigorne, uśmiechnięty od ucha do ucha, wciągał pełną piersią świeży powiew wiatru od strony Sekwany.

— Twoja nędza już skończona, pocziwy Lancelocie — rzekła Mabel.

Gdy stanęli na placu Greve, stróż nocny przeszedł koło nich, wymachując latarką i wołając melancholijnym głosem:

— Paryżanie. Śpijcie w pokoju! Paryżanie, północ wybiła!

— Ponieważ jest pani w łaskach u królowej, nie obawiam się już o pani syna — rzekł Lancelot.

— Jak to rozumiesz?

— Ano, chcę powiedzieć, że był aresztowany podczas buntu żaków na Pre-aux-Clercs. Teraz jednak każesz go pani wypuścić, jak mnie. Nie powiedziałem pani jeszcze, że jej syn to mój pan. Dzielny człowiek, możesz być z niego dumna. Nie ma na świecie odważniejszego, dzielniejszego i silniejszego mężczyzny niż Jan Buridan.

Żałosny jęk przerażenia i rozpacz popłynął przez plac Greve.

— Jan Buridan! Jan Buridan! Czy dobrze powiedziałaś?

— Tak — rzekł przerażony Bigorne. — Takie imię nosi pani syn.

— Paryżanie, już wybiła północ! — rozległ się w dali głos nocnego stróża.

Tym razem odezwał się drugi jęk. Głuchy, stłumiony... Padł on z białych ust pani de Dramans, która osunęła się na ziemię, zdążywszy tylko wykrzyknąć:

— Przekleństwo!

IX

FLAKONIK Z TRUCIZNĄ

Buridan, Filip i Gautier siedzieli w swojej celi przy stole. Była jedenasta. Uczta ich przeciągała się. Nie mogli zrozumieć, dlaczego tak późno dozorca nakrył im do stołu. Nadaremnie Gautier walił pięścią w drzwi, wołając, że szaleje z głodu. Służący odpowiadał jedynie, żeby mieli cierpliwość.

Wreszcie, jak już powiedzieliśmy, podano do stołu, a wieczerza była jeszcze lepsza niż poprzedniego dnia. Buridan i Gautier oddali się bez reszty jedzeniu i dobrym winom, jedynie Filip był smutny i bez apetytu.

Gdy już uczta dobiegała końca, wszedł lokaj. Człowiek, który im usługiwał, wyglądał raczej na lokaja niż na dozorcę.

Musimy jeszcze zaznaczyć, że Filip i jego brat nie zdejmowali masek nawet w nocy w obawie, że ktoś może wejść do celi podczas ich snu.

Otóż lokaj wszedł do celi i postawił na stole flakonik napełniony przezroczystym płynem.

— Co to jest? — zapytał Gautier skwapliwie.

— To likier przeznaczony tylko dla jednego z .was.

— A dla kogo?

— Dla tego, który nie ma na twarzy maski.

— A więc dla mnie! — rzekł Buridan, chwytając za flakonik. — A któż mi to łaskawie przysyła?

Lokaj zniknął. Buridan powąchał płyn. Był bez zapachu. Spojrzał pod światło. Był bezbarwny.

— Likier? Tylko dla mnie? Co to ma znaczyć?

— Ach! — zawołał Gautier. — To jakaś dama ci przysyła, dama, która dowiedziała się, że jesteś w więzieniu.

Buridan wlał zawartość flakonika do swego kubka.

— W takim razie wypiję go sam za zdrowie nieznajomej damy. Kto wie zresztą, czy nie jest to jakiś napój czarnoksięski?

— Czarnoksięski? — Gautier wybuchnął śmiechem.

— Nie pij, Buridan! — rzekł poważnie Filip.

— Dlaczego? Sądzisz, że to trucizna? Nie widzę powodu, dla którego miano by otruć tylko mnie. A zresztą łatwiej by było pozbawić mnie życia w nocy, podczas snu. Sposób, w jaki z nami się obchodzą, dowodzi, że na razie nie knuje się przeciw nam nic złego. Piję więc! Piję za nieznaną panią, która pamiętała o mnie, piję, gdyby nawet tą panią miała być... — chciał dodać: „Małgorzata Burgundzka”.

Wzrok jego padł jednak na Filipa. Zamilkł. A jednocześnie podniósł do ust kubek i wychylił go duszkiem.

— Jaki ma smak? — zapytał Gautier.

— Daję słowo, doskonały! — odparł Buridan, mlasnąwszy językiem.

— Nie zostawiłeś ani kropli?

— Świetny trunek — mówił Buridan dalej — to woda.

— Bez żadnego smaku? — zapytał Filip.

— Niestety! Uspokójcie się, moi drodzy, i zapomnijmy o tym zabawnym przypadku. Podejrzewam lokaja, że zakpił sobie ze mnie. Wniosę na niego skargę przed sądem, gdy rozpocznie się nasz proces.

— Ach! Prawda — rzekł Gautier — przecież będziemy mieli proces! Tak nas tu fetują, że zapomniałem zupełnie...

Do celi wszedł lokaj i w milczeniu zabrał ze stołu pusty flakonik. Wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

Trzej przyjaciele spojrzeli po sobie. Filip zbladł.

— Co mówiłeś? — zapytał zimno Buridan.

— Mówiłem — odpowiedział Gautier — że tak nas tu fetują, iż na pewno zakończy się ta cała afera procesem i...

— Uczciwym stryczkiem! — dodał Buridan, wybuchając nerwowym śmiechem.

Filip d'Aulnay pomyślał. „Buridan wie dobrze, że przysłano mu truciznę, chce w ten sposób uniknąć stryczka! Buridanie, jesteś egoistą, mój drogi!. Głośno zaś powiedział:

— To prawda, na pewno będziemy powieszani albo oddamy głowy pod miecz katowski... Zawiśniesz, mój drogi, między mną a Gautierem.

— Widzę już ten obraz...

— Ja wolałbym co prawda ścięcie...

— Och — wykrzyknął Buridan — stryczek czy miecz... Co za różnica! Tak czy owak to rozstanie się z kochanym życiem...

— Tymczasem chodźmy spać — oświadczył Gautier.

— Niech i tak będzie! — zgodził się z przyjacielem Buridan. — Chodźmy spać. Noc bywa nieraz dobrym doradcą!

Gautier zmierzał do łóżka niepewnym krokiem. Filip podszedł do brata i szepnął mu na ucho:

— Nie rozbieraj się, bracie!

— Dlaczego!? W ubraniu człowiek nigdy nie wyśpi się jak należy.

— Nie rozbieraj się, bo przecież Buridan umrze dzisiejszej nocy!

— Umrze? Dlaczego? Bez nas? Jak to?!

Gautier nagle wytrzeźwiony usiadł na posłaniu, po czym po chwili namysłu poszedł za radą brata i nie rozbierając się, położył się do łóżka.

Buridan tymczasem zaczął wyśpiewywać jakiegoś bardzo wojowniczego marsza. Śpiewał i pogwizdywał, a jednocześnie myślał: „Czy warto rozbierać się? Za godzinę, za dwie najpóźniej trucizna zacznie działać, a wtedy wyruszę *ad patres*. A jeśli to nie trucizna? No to tym gorzej dla mnie! Zresztą śmierć od trucizny może być jeszcze gorsza niż od stryczka! Cokolwiek jednak się stanie, nie wywinę się od niej dzisiejszej nocy. Żegnaj, droga Myrtillo! Żegnaj, życie!”

— Buridan, czy chce ci się spać? — zapytał Gautier spokojnym głosem.

Spojrzał z przerażeniem na Buridana, który zatoczył się i padł na łóżko.

— Daję słowo, że tak! Dobranoc!

— Dobranoc, kochany Buridanie! Dobranoc! — rzekł bardzo łagodnym głosem Filip.

Było już dawno po północy. Przyjaciele jednak nie wiedzieli, która jest godzina, bowiem żaden dźwięk nie przedostawał się ze świata do ich celi.

Gautier wydał ciężkie westchnienie.

— Co ci się stało? — spytał Buridan.

— Jestem, śmiertelnie zmęczony — powiedział Gautier.

Wsunął głowę pod poduszkę, aby zagłuszyć szloch, jaki mimo woli wzbierał mu w piersi.

Nagle pod drzwiami rozległy się pośpieszne kroki. Wszyscy trzej jak na komendę poderwali się z pościeli i stanęli przy sobie. Po chwili od strony korytarza usłyszeli jakiś niesamowity, żałosny jęk. Znowu rozległ się odgłos kroków. Zrozumieli wtedy, że kroki zmierzają w stronę ich celi.

— To piekło! — szepnął Filip.

— Ależ to nie jest więzienie! — rzekł bardzo cicho Buridan. — Teraz rozumiem wszystko! Och! Rozumiem! Wiem na pewno! Jesteśmy w podziemiach wieży Nesle!

Filip padł bezsilny na ławę. Gautier walnął w ścianę zaciśniętą kurczowo pięścią. Buridan stał milczący, blady i skupiony w sobie...

Nagle drzwi celi otworzyły się. Jakaś rozczochrana, nieprzytomna kobieta, której wzrok wyrażał nie dającą się opisać rozpacz, stanęła w progu.

Buridan roześmiał się głośno. Filip zachwiał się na nogach i zbladł pod swą maską. Gautier z przyzwyczajenia sięgnął ręką do pasa. Wszyscy trzej wykrzyknęli jednocześnie:

— Małgorzata Burgundzka!

X

WIDMA Z WIEŻY NESLE

Mabel po chwili ocknęła się z omdlenia.

— Na Boga! — wykrzyknął Bigorne. — Nie powiedziałbym pani, że synem jej jest Buridan, gdybym mógł przypuszczać, iż zrobi to na pani tak piorunujące wrażenie. Co u licha, przecież to tęgi chłop! Możesz szczyścić się takim synem!

— Czy jesteś pewny? — pytała gorączkowo. — Czy jesteś zupełnie pewny? Nie zwódź mnie, błagam!

— Czego chcesz, pani, żebym był pewny? — zapytał Bigornes. — Jeśli zelgałem, niech mi wyprują flaki! Niech ugotują żywcem na świńskim targu jak najprawdziwszego wieprzka!

— A więc to prawda, że to on? Jesteś tego zupełnie pewny! — dodała, nie czekając na odpowiedź. — Wiedziałam, że tak jest. Ta dziwna do niego sympatia... I to w chwili, kiedy przygotowałam jego śmierć!

— Jak to jego śmierć? — spytał przerażony Bigorne.

— Powiedział mi przecież, że ma na imię Jan! Że jest dzieckiem nie znanych rodziców... Och, Boże mój — wołała, łamiąc ręce. — Już dwunasta! Stróż nocny obwieścił północ! Kto wie? A może jeszcze zdążyć?! Do przejazdu! Na prom! Może zdążymy!

Porwała Bigorne'a za rękę i pociągnęła go za sobą gwałtownie. Po chwili jednak zatrzymała się.

— Ja tego nie przeżyję... Czuję, że umieram... Wiedzieć i nie móc go ocalić! Ach! Nie ma Boga w niebie! Zanieś mnie! Mój Bigorne! Jeśli pamiętasz swoją matkę, jeśli ją kochałeś, w imię tej matki błagam cię, zanieś mnie, bo nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

Lancelot Bigorne wziął Mabel na rękę.

— Dokąd mamy iść? Wytłumacz mi, pani, jasno! W przeciwnym bowiem razie nie będę mógł pani bardziej dopomóc niż dopomógłby ci Wichura po wypiciu sześciu flaszek...

— Nieś mnie w stronę rzeki! Prędziej! Ach! Prędziej!

— Do rzeki? Dobrze! — odpowiedział Bigorne i puścił się pędem. — Nad samą już Sekwaną zapytał: — A teraz dokąd?

Mabel stanęła na nogi i poszła dalej już o własnych siłach. Wkrótce tak przyśpieszyła kroku, że nie mógł po prostu za nią nadążyć. Nagle zatrzymała się i przycisnęła rękę do czoła:

— Nic nie widzę! — szepnęła. Nic nie wiem! Lancelocie! Lancelocie!

— Jestem!

— Prowadź mnie! Weź mnie za rękę! Och! Jeśli masz litość nade mną, prowadź mnie prędziej!

Nie czekając, aż spełni jej prośbę, ruszyła szybko dalej.

— Na wszystkich świętych, dokąd pani idzie?

— Dokąd idę? Czyż nie wiesz? Tam gdzie syn mój zamknięty! Tam gdzie zła kobieta chce go otruć! Gdzie umrze, jeśli matka go nie ocali! Do wieży Nesle.

— Do wieży Nesle? — szepnął Bigorne, pełen przerażenia. — Zawsze mu powtarzałem, że wieża Nesle przyniesie mu nieszczęście! A on nie chciał mnie słuchać! Gdyby mnie usłuchał, byłby teraz bezpieczny i kpiłby sobie z łuczników, straży miejskiej i ze wszystkiego... Nie żywi żadnego szacunku do ludzi starszych, od których może usłyszeć mądrą radę!

Tak mamrocząc gnał jednocześnie za Mabel. Dopadli łodzi, a potem Lancelot chwycił wiosła i zaczął wiosłować ze wściekłością. Już po kilku chwilach stali przed wieżą Nesle.

Na ostatnim piętrze wieży Nesle Małgorzata Burgundzka pełna miłosnej gorączki stroiła się jak na bal.

Wiele już razy słyszała o eliksirze miłości. Słyszała o czarodziejskiej mocy takiego napoju, toteż wierzyła głęboko w to, że nareszcie, bodaj czarodziejskim sposobem, zdobędzie miłość Buridana. Była również przeświadczona, iż w chwili kiedy lokaj zaniósł Buridanowi czarodziejski trunek, Mabel odczytuje formuły zaklęć ściągających na napój dodatnie fluidy. Pewna, że teraz Buridan będzie łatwym łupem, pozwoliła sobie nawet na litość nad nim. Powtarzała, strojąc się ciągle:

— Biedak, musi siedzieć w tym lochu! A tym jego przyjaciółom daruję życie.

Niech jemu to zawdzięczają! Kim oni są!? Co mnie to obchodzi? Jacyś młodzi palestranci... przywiązani do niego! Wynagrodzę ich! A jemu ofiaruję potęgę i zaszczyty, teraz przyjmie to wszystko, no bo teraz będzie mnie przecież kochał! Zacznie dzielić moje życie. Nareszcie poznam rozkosz wzajemnej miłości, prawdziwej miłości, miłości namiętnej...

Wysłała lokaja, aby sprawdził, czy Buridan wypił już zawartość buteleczki. W tej właśnie chwili Mabel, która znała hasło, wdarła się do wnętrza wieży. Małgorzata, słysząc jej przyśpieszone kroki na korytarzu, pomyślała: „Lokaj powraca! Co też mi

niesie za wieści? Miłość szczęście czy znowu gorzki zawód? Czy Buridan wypił czarodziejski napój?”

Podbiegła do drzwi, aby jak najprędzej otrzymać odpowiedź, i w progu spotkała się z Mabel.

— To ty? Co się stało? Dlaczego jesteś taka blada?

— Królowo! — wyjąkała Mabel, ledwie żywa z przerażenia. — Czy bardzo kochasz Buridana?

— Wiesz przecież, że tak! — odpowiedziała gorąco Małgorzata.

— Królowo, buteleczka, którą ci dałem, zawiera straszliwą truciznę, która zabija w ciągu kilku godzin... Buridan jeszcze jej nie wypił! Powiedz, och! Powiedz, moja królowo! Powiedz, a wtedy jesteśmy skwitowane!

Małgorzata nie mogła zrozumieć jej ostatnich słów. Nie zwracając na Mabel żadnej uwagi, odtrąciła ją gwałtownym ruchem i ruszyła w kierunku schodów. Była zupełnie zmiądzona. Kierowała nią w tej chwili nie tyle rozpacz, co wściekłość, że wszystkie jej plany zostały zniweczone.

Już stała w progu, gdy nagle usłyszała kroki wracającego z celi więziennej lokaja. Pochwyciła Mabel konwulsyjnie za rękę i rzekła:

— Czekaj, zaraz się dowiesz!

Wszedł lokaj.

Szybko wyrwała mu z rąk buteleczkę. Była pusta.

— Pusta! — wykrzyknęła, wybuchając przerażonym śmiechem.

— Wypił wszystko — dodał lokaj.

— Biegnijmy tam! — zacharczała Mabel. — Jeszcze nie wszystko stracone. Można go jeszcze ocalić!

— Stragildo! — wykrzyknęła Małgorzata obłądnym głosem.

Zjawił się Stragildo zgięty wpół, z szyderczym uśmiechem na ustach.

— Stragildo, zabierz tę kobietę i miej ją na oku!

Dziki krzyk wyrwał się z ust Mabel. Padła na kolana, objęła nogi Małgorzaty ramionami i zaczęła bełkotać: Łaski! Pani! Łaski! Łaski dla niego! To mój syn! Pozwól mi go ocalić!

Stragildo jednak i jeszcze pięciu z jego zbirów rzucili się na Mabel i wynieśli ją z pokoju. Słysząc było jej rozdzierające krzyki i jęki. Krzyki te dotarły nawet do uszu więźniów w podziemiach wieży Nesle.

Królowa wybiegła na korytarz. Wstrząsała nią rozpacz, jakiej nigdy jeszcze w życiu nie doznała. Rozpaczała nie po Buridanie, żałowała nie jego, lecz miłości, którą mógł jej dać. Pieniąc się z gniewu i bólu, weszła do podziemi, w których kazała zamknąć trzech przyjaciół. Stanąwszy pod drzwiami ich celi, rzekła do dozorca, który stale ich pilnował:

— Otwórz!

Dozorca odsunął rygle, drzwi się otworzyły, Małgorzata ujrzała Buridana pośrodku sali w towarzystwie dwóch zamaskowanych mężczyzn. Nie zwróciła na nich uwagi, widziała jedynie Buridana. Głęboko wzruszona zbliżyła się do niego, zapominając nawet o zamknięciu drzwi.

— Buridan — rzekła — wypileś truciznę!

H Głos jej drżał lekko, brzmiał dziwnie czule, a jednocześnie ostro i gorzko. Buridan odpowiedział:

— Wiem o tym, a przynajmniej przypuszczałem to, pijąc. Lecz gdy zgadłem, że się znajduję w apartamentach królowej Małgorzaty Burgundzkiej, gdy się upewniłem, że jestem w wieży Nesle, nabrałem wtedy pewności, iż przysłany mi likier był trucizną.

Ostała przed nim w milczeniu, ciężko dysząc. Dwaj zamaskowani mężczyźni byli nieruchomi jak posągi.

— Buridan — oznajmiła Małgorzata — trucizna zacznie działać dopiero za parę godzin. Możesz być jeszcze ocalony. Ta, która zna środek przeciwdziałający, jest tu, w pobliżu. Buridan, czy chcesz odtrutkę?

— Naturalnie — odpowiedział Buridan bardzo spokojnym głosem — pod warunkiem jednak, że zwrócisz pani wolność Myrtilli.

Małgorzata przyciągnęła ręką silnie bijące serce, wzrok jej stał się twardy.

— Musi pani jeszcze wydać rozkaz panu Enguerrandowi de Marigny'emu, aby nie sprzeciwiał się memu małżeństwu z jego córką.

Usta Małgorzaty rozchyliły się w złym uśmiechu.

— Wreszcie — dodał Buridan — odda pani sprawiedliwość pamięci moich przyjaciół: Filipa i Gautiera d'Aulnayów, zamordowanych przez panią. Rozkażesz zwrócić ich rodowi wszystkie dobra, ukradzione im przez pierwszego ministra. Na tych warunkach zgodzę się żyć dalej. W przeciwnym razie co mi po życiu?

— Już dobrze — syknęła Małgorzata, a wzrok jej zapłonął ogniem. — Wzgardzona, sponiewierana przez ciebie, odtrącona, wtedy gdy ofiarowałam ci moją miłość, musiałam się zemścić. Tymczasem ty szukasz ucieczki w śmierci. Niech i tak będzie! Umrzyj więc! Żegnaj! Żegnaj na zawsze!

Małgorzata obrzuciła raz jeszcze spojrzeniem Buridana, który stał nieruchomy jak skała. Wzrok jej wyrażał nieklamany podziw.

Potem z uśmiechem odwróciła się w stronę drzwi. Drzwi, które zostawiła otwarte, były w tej chwili zamknięte. Uczuła strach, który zmienił się w przerażenie, gdy na jej drodze stanęło dwóch nieruchomych, milczących mężczyzn w maskach.

— Kim jesteście? — zapytała wyniośle, a gdy nie otrzymała żadnej odpowiedzi, zawołała: — Do mnie! Do mnie! Straże!

Drzwi pozostały zamknięte. Nikt nie nadchodził. Co się działo w wieży? Dlaczego słyszała za drzwiami jak gdyby stłumiony śmiech? Teraz czoło jej zrosił pot. Ta cisza w podziemiach, ten otruty przez nią człowiek, który być może lada chwila padnie do jej nóg, ci dwaj zamaskowani mężczyźni, milczący jak posągi. Czowała, że lęk narasta w jej sercu.

— Kim jesteście? — powtórzyła głosem, któremu zdołała nadać odcień pewności. — Kiedy królowa rozkazuje, należy słuchać! Mówcie!

Obaj jednocześnie zdarli z twarzy maski.

Przez chwilę Małgorzata spoglądała na nich w osłupieniu. Potem twarz jej wykrzywił grymas niedowierzania. Zaczęła się cofać, zbladła, nie mogła oderwać oczu od tych dwóch twarzy, z których jedna pełna była bezgranicznego smutku, a druga tchnęła nienawiścią. Potem zasłoniła oczy rękami i z obłądnym strachem wyjąkała:

— Filip i Gautier d'Aulnayowie! Widma z wieży Nesle!

Buridan nie ruszył się miejsca. Grobowa cisza zaległa celę więzienną.

Małgorzata Burgundzka cofała się ciągle, aż wreszcie znalazła się w samym kącie celi. Po drodze zawadziła o stół, który zachwiał się, a stojące na nim naczynia i butelki brzęknęły jak dzwon pogrzebowy.

Znowu zaległa cisza. W ciszy tej Małgorzata uczuła nieprzepartą chęć zajrzenia raz jeszcze w oczy widmom. Odjęła ręce od twarzy i ujrzała... Gautiera, który szedł w jej stronę śmiejąc się szydlerczo, rzekł:

— Ciebie tylko brakowało na naszym świecie, Małgorzato! Słuchaj! Niepodobna, aby Buridan sam zszedł z tego świata. Będiesz mu towarzyszyła! Buridan! Cóż za zaszczyt dla ciebie! Będziesz miał eskortę, i to nie byle jaką, samą królową, i to nie byle jaką królową!

Jednym susem znalazł się przy Małgorzacie.

Filip, błądzący, jak gdyby istotnie był widmem, nie ruszył się z miejsca. Zamknął jedynie oczy, aby nie widzieć, co się stanie.

Królową miotały na przemian lęk i wściekłość. Zrozumiała, że Filip i Gautier uniknęli śmierci. Zrozumiała, że uciekli z worka Stragilda! Zrozumiała również, że Gautier zabije ją za chwilę!

— Buridan! Buridan!— zawołała. — Broń mnie! Nie pozwól mi umrzeć!

— Prędeż! Prędeż! Moi panowie! — szepnęła za drzwiami jakiś ochryply i zdyszany głos.

— Lancelot! — krzyknął Buridan.

— Prędko! — powtórzył Bigorne — za chwilę będzie za późno!

— Nie odejdziemy, aż ona nie poniesie kary! — Gautier chwycił królową za gardło.

— Gautier!

— Co?!

Filip stanął przed bratem. Wzrok jego był błagalny, a jednocześnie groźny, tak że Gautier zrozumiał, iż chwila ta decyduje o życiu lub śmierci Małgorzaty. Powoli wypuścił swą ofiarę z żelaznego uścisku.

— Naprzód! — zawołał Bigorne.

Małgorzata padła na ziemię zemdlona. Filip ukląkł przy niej. Pochylił się, a jego złodowaciałe usta dotknęły ust Małgorzaty.

— W drogę, na świętego Barnabę! — ryczał Bigorne.

Buridan porwał Filipa wpół, podniósł go do góry i oderwał od śmiertelnego pocałunku... Uniósł go ze sobą. W parę chwil potem znaleźli się w parterowej sali wieży, gdzie Bigorne ze spokojnym uśmiechem wskazał im na trzy trupy, leżące na kamiennych płytach posadzki. Potem szyderyczym gestem wskazał również na drzwi w głębi. Były zamknięte, a za nimi służba królowej hałasowała niemiłosiernie. Drzwi te w każdej chwili mogły zostać wyłamane z zawiasów.

— Widzicie, panowie — rzekł Bigorne — był już najwyższy czas!

Istotnie, czas był najwyższy, zaledwie bowiem znaleźli się na dworze, drzwi runęły z łoskotem i służba królowej ze Stragildem na czele wdarła się na salę.

XI

WALKA BIGORNE'A Z SĘPAMI

Lancelot wszedł do wieży jednocześnie z Mabel i pozostał na parterze. Był ciekaw, gdzie znajduje się Buridan. Przypuszczał, że wieża posiada jakieś lochy i że tam właśnie mieszczą się cele więzienne. Którędy jednak można się było do tych lochów przedostać?

Lancelot Bigorne pozostał na dole w towarzystwie mężczyzny, który otworzył im drzwi. Było to silne chłopisko. Nie spuszczał Bigorne'a z oczu, podejrzliwość bowiem była prawem w tym miejscu. Po chwili olbrzym zapytał:

— Przyszedłeś z kobietą, która podała hasło. A więc masz jakiś interes na górze?

— Na górze albo na dole, nie wiem na pewno! — odpowiedział Bigorne.

Olbrzym spojrzał na niego zdumiony.

— Zaprowadź mnie na dół — mówił dalej Bigorne. — Całą wieżę znam już dobrze. Dobra wieża, piękna, daję słowo, lecz mam wrażenie, że powinienem zejść na dół.

— Dobrze — rzekł mężczyzna, którego podejrzewania zmieniły się w pewność.

Podniósł do ust gwizdek... Nie zdążył jednak skorzystać z niego. Padł jak kłoda, powalony pchnięciem sztyletu w samą szyję.

— Do diabła! — mruknął Bigorne — zdaje mi się, że go zabiłem. To bydlę było bardzo ciężkie! Ejże, ejże, pozwól, że się z tobą obejdę niezbyt politycznie...

To mówiąc zaciągnął rannego, czy też zabitego, na koniec sali. Potem jednym susem znalazł się przy drzwiach w głębi, znajdujących się na wprost drzwi wejściowych. lisy Ten gwizdek jest przeznaczony niewątpliwie do zwoływania nie wróbla, lecz sępów!

Nie zdążył dokończyć, gdy jakiś inny mężczyzna, który schodził z kamiennych schodów, wszedł na salę i zawołał:

— Co się stało?

— Nic, mój przyjacielu, albo prawie nic — odparł Bigorne, przyskakując do przybyłego, który zaskoczony zniecka, nie miał czasu odparować śmiertelnego ciosu.

Ujrzał błysk stali... Padł... już było po wszystkim.

Nowy trup... Bigorne pomyślał: „Cóż to jest, że wszyscy oni są tacy ciężcy?! Za moich czasów, gdy po jakiejś bójce zdarzało mi się uwolnić czyjeś zwłoki od klejnotów lub pieniędzy, trupy bywały lekkie jak piórka! Świat staje się dziwnie ociężały! Zły to znak. Zbyt dużo się jada!”

Potem Bigorne pchnął drzwi ze słowami:

Zobaczymy, czy nie ma tam gdzie jeszcze sępów!

Nagle zdziwił się niepomierne. Oto tuż przed nim mur zaczął jak gdyby pękać, rozsuwać się, a w powstałym otworze ujrzął potajemne schody, wiodące dę podziemi. Równocześnie jednak w tym otworze ukazał się mężczyzna, który na widok dwóch nieruchomych ciał stanął przerażony. Mężczyzną tym był jeden z dozorców.

— Jak się masz, przyjacielu — rzekł do niego Bigorne. — Wejdz, proszę. Cóż to ma znaczyć? Mieszkasz we wnętrzu murów? Jesteś więc jednym z miejscowych sępów!

Służący rzucił się na Bigorne'a. Walka była krótka. Bigorne przewrócił przeciwnika, a potem przebił go sztyletem.

W tej chwili ujrzął znowu otwierające się w głębi drzwi.

— Jeszcze jeden sęp! — mruknął, podnosząc zakrwawiony sztylet.

Tym razem jednak nie zaatakował wchodzącego, była to bowiem kobieta. Weszła automatycznym krokiem, jakby nieprzytomna, minęła salę nie oglądając się dokoła, potem tym samym sztywnym krokiem zagłębiła, się w otworze potajemnego korytarza.

— Dostyc już tych sępów — rzekł Bigorne, wykrzywiając się, po czym skierował się ku drzwiom, z których wyszła kobieta i zamknął je, zaryglowując olbrzymie zasuwę.

Kobietą tą była Małgorzata.

Teraz Bigorne zaczął się namyślać, co ma uczynić dalej. Za zaryglowanymi drzwiami rozległy się okrzyki... Zaczęto się dobijać. Bigorne spojrzął na drzwi i uśmiechnął się, potem wzrok jego przeniósł się na trzy trupy.

— Tam, do diabła — mruknął, kiwając głową — mógłbym może mniej silnie... Ale przecież wrogowie.

Nagła myśl wywołała na jego ustach uśmiech. Ruszył ku otworowi w murze i zaczął schodzić schodami. Ujrzał uchylone drzwi. Wiodły one do celi Buridana, Filipa i Gautiera. Zaryglował je...

Dalej wiemy już, co nastąpiło.

Trzej przyjaciele spędzili noc w oberży uczęszczanej przez włóczęgów. Zaprowadził ich tam Bigorne. Całą noc spędzili razem, nie zmrużywszy oka, ciągle mając się na baczności.

Nazajutrz pierwszymi słowami Buridana były:

— Patrzcie! A więc nie umarłem?

— Widocznie jeszcze nie wybiła twoja godzina — rzekł Filip.

— Jednak sytuacja nasza nie poprawiła się wcale — mruknął Gautier. — Ach! Filipie, gdyby nie ty, już by ta żmija nie żyła!
Filip uśmiechnął się blade.
— A ty, Lancelocie, masz krew na rękach — zauważył Buridan. — Biłeś się dzisiejszej nocy?
— Tak, z sępami... Wydziobałyby mi wątrobę, gdybym im na to pozwolił. Widziałeś ich, panie. Mieli bardzo głupie miny... Już są pewnie u Abrahama na piwie!

XII

WYRZUTY SUMIENIA

Gdy Mabel odzyskała przytomność, w pokoju nie było nikogo. Królowa zniknęła, Stragilda nie było również. Na dole słyszała głucho uderzenia, których echo rozchodziło się po całej wieży. Podniosła się z trudem i szepnęła:

— Trucizna na pewno odniosła skutek. Nic już teraz nie może ocalić mego syna! Kto go otrul? Ja! Ja, jego matka! To straszne, a jednak tak jest! To ja przyniosłam truciznę Małgorzacie!

Słyszając nieustające dobijanie się do drzwi, nadstawiła ucha.

— Kto puka? Jakies nowe morderstwo... przeklęta wieżo! Ileż tu już było trupów... A teraz między nimi jest pewnie i ciało Buridana! Bądź przeklęty, losie, który pozwoliłeś mi przeżyć tę noc.

Zdjęta nagłą rozpaczą, zaczęła wydzierać sobie włosy z głowy.

— Lecz jeśli taka ma być kara za moje grzechy, na co zasłużyła Małgorzata?

Zaczęła schodzić potajemnymi schodami. W połowie schodów usiadła na stopniu, oparła podbródek na rękach i czekała.

Krzyki i przekleństwa za zamkniętymi drzwiami trwały ciągle. Wreszcie drzwi ustąpiły pod naciskiem, banda zbirów wpadła do sali, a ona usłyszała okrzyki wściekłości:

— Uciekli! Gońmy za nimi.

„Kto uciekł?” — pomyślała. „Buridan, mój syn? Uciekł? Niedaleko zajdziesz, biedaku!”

Cicho jak widmo wyszła z wieży, minęła most zwodzony, podając znane jej hasło. Długo musiała wałęsać się bez celu po mieście, bo gdy dotarła do swego domku, był już świt. Weszła do laboratorium, a stamtąd do pokoju Myrtili. Dziewczyna spała na łóżku w ubraniu. Spała twardo. Na ustach jej błędził lekki uśmiech. Mabel stanęła przed łóżkiem i zaczęła jej się przyglądać.

„Śpi” — pomyślała. „A ten, którego kocha, w tej chwili już nie żyje. Czy kocha go naprawdę? Tym lepiej! Chciałabym, żeby cały świat cierpiał tak, jak ja cierpię. Dlaczego córka Małgorzaty miałaby być spokojna, gdy mnie dręczy rozpacz?”

Potrząsnęła Myrtilłą, budząc ją. Dziewczyna podniosła się.

— Powiem ci pewną nowinę — rzekła Mabel. — Przede wszystkim jednak powiedz mi, czy naprawdę kochasz Buridana.

— Tak. Kocham go równie silnie, jak on mnie. Oddam chętnie życie, aby tylko on uniknął niebezpieczeństwa.

— Niepotrzebna fatyga, Buridan już nie żyje.

— Otruty, nieprawdaż? — zapytała Myrtilła pozornie spokojnie.

— Tak, otruty przeze mnie.

— A kto podał mu truciznę?

Mabel spojrzała Myrtilli prosto w twarz i odpowiedziała:

— Twoja matka... królowa Małgorzata Burgundzka! Twoja matka!

Tym razem Myrtilła poczuła, że ogarnia ją lęk.

- Być może, że królowa podała truciznę, lecz to pani ją przygotowała.

Mabel spuściła głowę na piersi, głuchy szloch „wstrząsnął jej ciałem.

— To prawda — szepnęła. — Ja przygotowałam truciznę. — po chwili mówiła dalej: Tak, Buridan nie żyje! Nie widziałem go, lecz wiem! Może nawet ktoś otworzył mu drzwi więzienia, ale wolność nie na wiele mu się przyda.

— A więc Buridan uciekł? — zapytała Myrtilła z ożywieniem.

— Tak, ale to mu nie pomoże, umrze. Na pewno już nie żyje.

Myrtilła przycisnęła rękę do serca, jakby chcąc powstrzymać jego radosne bicie.

— Coś takiego! — warknęła Mabel. — Zwiastuję jej śmierć ukochanego, a jej oczy błyszczą radością. Nie oplakujesz Buridana? Cieszysz się z jego śmierci?

— A pani?! — zawołała dziewczyna. — Pani cieszy się z niej bardzo?!

— Ja? Ja? — krzyknęła Mabel. Jednocześnie wybuchnęła posępnym śmiechem: — Widzisz, że się cieszę, przecież się śmieję.

Wtedy Myrtilła zawołała z zapalem:

— Teraz posłuchaj mnie! Chcesz mnie na pewno zabić, jak chciałaś zabić jego!

Otóż umrę szczęśliwa, że zdołałam usunąć grożące Buridanowi niebezpieczeństwo.

Chwyła Mabel za rękę i pociągnęła ją gwałtownie do laboratorium.

— W tym pokoju przygotowała pani truciznę?

— Tak.

— Pozostawiła pani flakonik u stóp krucyfiksu?

Mabel wbiła w Myrtilłę pełen niepokoju i szalonej nadziei wzrok. Dziewczyna podbiegła do etażerki, wzięła w rękę jeden ze stojących tam flakonów i pokazując go Mabel, zawołała radosnym głosem:

— Widziałam panią! Słyszałam! Śledziłam! Kiedy poszłaś, wzięłam twój flakonik i zastąpiłam go takim samym. Flakon, który zaniósłaś królowej, zawierał wodę! A ten, zawierający truciznę... Nie dokończyła i podniosła naczynie do ust.

W tej samej jednak chwili Mabel wyrwała jej buteleczkę z rąk. Oszołomiona dziewczyna patrzyła, jak biedna kobieta padła na kolana, zaczęła bić głową o płyty posadzki, śmiać się, szlochać, a potem chwyciła brzeg jej sukni i zaczęła okrywać go pocałunkami.

— Czy wiesz, kim jestem? — zawołała wreszcie Mabel. — Jestem matką Buridana!

Rozległ się głośny krzyk Myrtilli.

W tej samej chwili matka i narzeczona Buridana padły sobie w objęcia, szlochając radośnie.

XIII

O TYM, JAK BURIDAN, BIGORNE, WICHURA I SPÓŁKA WZBOGACILI SIĘ

Wilhelm Wichura i Riquet Haudryot włóczyli się po mieście smutni i głodni. Od chwili bitwy na Pre-aux-Clercs nie mieli odwagi wracać do domu ani zjawić się w gronie Palestry i Galilei.

Pewnego wieczoru opuścili progi małego szynku, którego właściciel znał ich bardzo dobrze i zgodził się na to, aby spędzili u niego parę godzin. Mimo próśb i gróźb nie chciał jednak przystać na to, by zostali u niego na noc.

— Jeszcze mi życie miłe — powiedział. — Nie mam zamiaru przez was zasłużyć na stryczek.

— Pomyśl tylko! — powiedział Riquet — co za różnica pomiędzy śmiercią w łóżku a na szubienicy! I to, i to śmierć.

— A przy tym — dodał Wilhelm Wichura — wiesz, jakie zajmujemy stanowiska! Cóż za zaszczyt byłby dla ciebie, twojej żony i twego potomstwa, gdybyś zawisnął pomiędzy królem a cesarzem.

Szynkarz jednak był nieubłagany. Wyszli więc zgnębieni na ulicę. Właśnie wybiła dziesiąta. Nagle Riquet Haudryot zatrzymał się.

— Co się stało? — zapytał Wichura, kryjąc się w cieniu. — Czy zauważyłeś gdzieś strażnika?

— Nie! — odpowiedział Riquet. — Tylko przypomniałem sobie, że jakkolwiek u pocziwego szynkarza osusziliśmy sporo butelek, to nie jedliśmy nic i głód w tej chwili skręca mi kiszki.

— Ja również zjadłbym coś. Jakież więc z tego wnioszek?

— Ano, musimy coś zjeść.

— Rozumujesz logicznie. Sam Buridan, mistrz w logicznym rozumowaniu, nie mógłby nic ci zarzucić.

— Lecz Buridana nie ma — westchnął król Palestry.

— On zaprowadziłby nas do lokalu, gdzie moglibyśmy się najeść.

— I to dobrze najeść.

— Mój Boże! Czy nie wstyd, że ty i ja, cesarz i król, włóczymy się po ulicach jak głodne psy?!

— Nawet nie jak psy, bo psy mają węch i umieją sobie wyszperać jakieś zarcie. Rozległy się westchnienia. Zgłodniali kamraci poszli dalej.

— I to wszystko przez tę przekłętą Małgorzatę! — burczał Wichura.

— Och, gdyby trafiła w nasze ręce...

— I cóż byś z nią zrobił?

— Skazałbym ją na przymusowy post — powiedział Riquet. — Osadziłbym ją w wieży Nesle, przywiązałbym do ławy, a potem o parę kroków od niej postawiłbym stół zastawiony wspinałym jedzeniem. Na jednym półmisku pieczona sarnina!

— Niezła rzecz — pochwalił Wichura.

— Na drugim pieczona gęś nadziewana kasztanami.

— Nadziewana kasztanami! — przeciągnął Wichura, oblizując się.

— Tuż obok konfitury gruszkowe, dalej jajecznicę ze słoninką i ogromny, ogromny naleśnik, taki wielki jak księżyc, który spogląda na nas w tej chwili z szyderczym uśmiechem!

— Stój! — krzyknął Wichura. — Daj mi przetrawić!

— Dalej pasztet z węgorka — ciągnął Riquet — a jeśli tego by nie wystarczyło, dodałbym jeszcze smażone kiełbiki prosto z Sekwany... Mniem! Mniem! Chrupiące, ociekające masłem... Taki przysmaczek na jeden ząb!

Kamraci spojrzeli po sobie, a potem jak na komendę zacisnęli pasy. Była to ich kolacja.

— Czy sądzisz — zapytał Riquet już spokojnie — że królowa Małgorzata mogłaby wytrzymać taką torturę? Byłaby to dla niej męka nie lada! Na pewno lubi smaczne kąski! Cóż za subtelna zemsta! Ach! Jaka szkoda, że Buridan nie może tego widzieć.

— To prawda, sam przecież powiedział: „Licitum est occidere reginem”, co znaczy: „Wolno jest zabić królową”. Nie wiem tylko, czy można ją zamorzyć głodem.

— Głupi jesteś! Umieramy przecież z głodu, ty — cesarz i ja — król. Więc i królowa może umrzeć z głodu. Logika przede wszystkim.

Tak rozmawiając ani spostrzegli, że dotarli do placu Greve. Zatrzymali się pod szubienicą, usiedli na ziemi, i spoglądali smętnie w stronę Sekwany. Czuli zmęczenie, głód, niepokój, a jednak nie chcieli usnąć. Miejsce niebezpieczne, często włóczyły się tu patrole. Podnieśli wzrok na szubienicę. Wisielec chwiał się powoli na smyczku.

Szydercza twarz księżycy spoglądała na niego z nieba.

— Ten już nie czuje głodu! — rzekł cesarz, wskazując denata.

— Ani pragnienia! — dodał król.

— Wygląda na bardzo zadowolonego. Patrz, jak się śmieje.

— Masz rację! Śmieje się jak idiota.

— Lepiej mu tutaj niż w łóżku.

— Wiesz co, Wilhelmie, a może to wcale nie taka przykra rzecz być powieszonym?

— Hm!

— Może byśmy spróbowali?

Nagle Wichura pochwycił Riqueta za rękę i szepnął:

— Cicho! Ktoś nadchodzi!

Istotnie, zza zakrętu ulicy od strony rzeki ukazało się kilka osób. Zatrzymali się. Jeden z nich wydał rozkazy innym, a tamci zrobili pół obrotu i ruszyli ciężkim krokiem w stronę Chatelet. Pozostał tylko jeden, który skierował się spokojnie do domku położonego na wprost domu pod filarami.

— Mieszczanin! — szepnął Riquet.

— Przyjacielu! — rzekł Wilhelm.

— Co takiego?

— Czy nie uważasz, że sakiewka tego poczciwego mieszczucha czułaby się lepiej w naszym trzosie niż w jego?

— I ja tak sędzę!

Zerwali się na równe nogi i dopadli biedaka, który zaczął wołać:

— Precz! Z drogi! Do mnie! Straż!

Leżał już jednak na ziemi, a Wilhelm trzymał go za ramiona i zatykał mu ręką usta. Tymczasem Riquet przeszukiwał szybko jego kieszenie.

Nieszczęśliwy mieszczanin po nieudanej próbie obrony stracił przytomność. Po paru minutach dwaj napastnicy uciekli.

Na krzyki napadniętego mieszczanina okno domku, do którego zmierzał, otworzyło się. Ukazała się w nim twarz przerażonej kobiety. Wkrótce potem otworzyły się drzwi wejściowe. Wybiegło kilku służących z bronią w rękę, a za nimi dwie kobiety, które pochyliły się nad zemdlonym i zaczęły wołać na przemian:

— To on! To mój biedny mąż!

— Biedny ojciec!

Rozległy się krzyki, płacz, klątwy.

Mieszczanina przeniesiono do domu i położono do łóżka, a kobiety zaczęły się krzątać koło niego. Wkrótce otworzył oczy i odzyskał przytomność. Pierwsze jego słowa brzmiały:

— Ubranie! Szybko! Moje ubranie!

Ubrał się gorączkowo, a ujrawszy, że ma puste kieszenie, zaklął straszliwie, odtrącił żonę i córkę, obił służących, a potem pobiegł do skarbnika jego królewskiej mości.

— Ile? — zapytał Wilhelm.

— Ano, zobaczy się! Jest srebro, jest złoto!

— Chodźmy do Noëla Połamańca. Ten nam otworzy. Będziemy mogli porachować!

Po chwili stali pod drzwiami szynku, waląc w nie z całych sił i czyniąc straszliwy hałas.

— Ty piekielny szynkarzu! — darł się Wichura.

— Ty diabelski parobku! — wył Haudryot.

— Czy macie pieniądze, moi panowie? — rozległ się za drzwiami głos.

— Pieniądze?! — zaśmiali się dwaj przyjaciele. — Mamy złoto!

— To dobrze! W takim razie otworzę — powiedział spokojnie Noël.

Rozległ się brzęk łańcucha, zgrzyt zasuw, drzwi uchyliły się. W progu stanął karzeł.

Riquet pokazał mu garść, w której ścisnął złote i srebrne monety.

— Hola! Magdalenko! — zawołał karzeł. — Nauczę ja cię spać, kiedy dwaj dzielni panowie są głodni i spragnieni!

— Umieramy z głodu — rzekł Wilhelm.

— Pali nas pragnienie — dodał Riquet.

Po chwili już siedzieli przy stole, a służąca Magdalenka krzątała się koło ogniska, zabierając się do przygotowania kolacji.

Gdy się najedli i napili, gdy uzyskali od szynkarza pozwolenie na przespanie się w szynku na ławkach, zaczęli rachować swój łup. Byli bogaci.

— Starczy na dwa miesiące — stwierdził Wichura.

Riquet zawiązał pieniądze w papier, który znaleźli również w kieszeni mieszczanina.

— Cóż to za pismo? — zapytał Wilhelm.

— To sakiewka mieszczanina. Widocznie nie miał innej. — Rozwinął odruchowo papier. — Patrz! Tu jest coś napisane... Przeczytaj, Wilhelmie, nic nie widzę, może to wina zbyt ciemnych pochodni... Albo może, gdy podpiję, zacynam źle widzieć...

Wilhelm zaczął czytać. Nagle pochylił się do ucha towarzyszowi i szepnął:

— Wiesz, kogo obrabowaliśmy?

— Samego diabła?

— Nie! Jeszcze gorzej! Prefekta miasta Paryża!

Dokument znaleziony przez Riqueta był to bon na dwieście talarów w złocie, wydany przez Małgorzatę Burgundzką na nazwisko Jana de Precy, prefekta Paryża.

Riquet Haudryot zaczął teraz sam odczytywać papier, potem obaj wybuchnęli szalonym śmiechem.

Na salę wbiegł Noël i Magdalenka.

— Cicho! — rozgniewał się karzeł. — Tam na górze mam czterech szlachciców, którzy chcą spać i którzy wcale nie życzą sobie dzięki wam zawierać znajomości ze strażą, te.

— Cha! Cha! Cha! — darł się Riquet, dostając konwulsji ze śmiechu.

— Do stu tysięcy...

— Cha! Cha! Cha! — wtórował mu Wilhelm, który walił się pięścią w kolano, aż się rozlegało.

— Co się stało? Czy was szatan opętał? — pytał przerażony ich śmiechem Noël.

— Jakie лихо wlało w was? — pytała Magdalenka i zarażona ich wesołością, wybuchnęła również śmiechem.

— Czy wiesz, jakimi pieniędzmi zapłaciliśmy ci? Cha! Cha! Cha!

— Pieniądze nie mają zapachu; wszystko jedno od kogo pochodzą!

— Ale te pieniądze! Cha! Cha! Cha! — śmiał się Wilhem.

— Gadajże wreszcie!

— A więc te pieniądze! Cha! Cha! Cha! Ten mieszczanin to prefekt miasta Paryża! Cha! Cha! Cha!

— Pan Jan de Precy?!

— Uhm! Cha! Cha! Cha!

Teraz również karzeł wybuchnął śmiechem. Wesołość tej czwórki była tak donośna, jakby się śmiał cały złodziejski świat. I rzeczywiście, nazajutrz śmiał się już cały Paryż, gdy rozeszła się wieść, że Jan de Precy, prefekt generalny miasta Paryża, którego zadaniem było tępienie złodziei i łotrzyków, został ograbiony przez tychże złodziei pod Samym progiem swego domu na placu Greve.

A tymczasem Wichura, Magdalenka, Haudryot i Noël trzymali się za brzuchy i śmieli się jak wariaci.

Nagle u szczytu schodów wiodących na pierwsze piętro rozległ się jeszcze jeden wybuch śmiechu. Wszyscy podnieśli głowy i ujrzeni spoglądającego w dół z wesołą miną... Lancelota Bigorne'a.

— Patrzcie! — zawołał Riquet — Lancelot!

— Nie było po co. nakazywać mi takiej tajemnicy — mruknął Noël znowu zaszepiony. Teraz sam się pokazujesz.

— To przecież przyjaciele — odpowiedział Bigorne, podchodząc do stołu i nalewając sobie wina.

Wilhelm i Riquet opowiedzieli mu całą przygodę.

Lancelot przemilczał swoje przeżycia, bąknął tylko, że od chwili bójki, na Preaux-Clercs krył się w dzielnicy złodziejskiej.

— A co zrobicie z papierem? — zapytał, wskazując na bon Małgorzaty.

Dwaj towarzysze spojrzeli po sobie niepewnie. Gdyby znaleziono przy nich ten dokument, tortury i śmierć były pewne.

— Spalmy go! — zawołali jednogłośnie.

— Podejmuję się to uczynić. — rzekł Bigorne.

Pochwycił pismo, złożył je i schował do kieszeni. Potem udał się na górę.

Wkrótce w szynku zaległa cisza. Wilhelm i Riquet zmęczeni jedzeniem i piciem usnęli, wsparci łokciami o stół, a chrapali tak, że naczynia stojące na stole drżały.

Nazajutrz rano Bigorne, który ubiegłej nocy odprowadził Buridana i jego towarzyszy do szynku Noëla, zapytał swego pana:

Panie, czy ma pan pieniądze?

— Pieniądze? Powiedziałem ci już, że nie mam nic.

— A panowie?

Filip i Gautier przyznali się również do ostatecznej ruiny.

Bigorne' pokiwał głową i skierował się do drzwi.

— Musimy — teraz zabrał głos Buridan — odbyć naradę. Bez pieniędzy, prześladowani, z takimi jak nasi wrogami musimy się na coś zdecydować. A więc przede wszystkim musimy załatwić porachunki z hrabią de Valois.

Bigorne zadrżał i zatrzymał się tuż przy drzwiach.

— Potem królowa...

— Kocham ją! — szepnął Filip. — Och, Buridan!

— Wreszcie Enguerrand de Marigny, ojciec mojej ukochanej, który zamordował waszego ojca i waszą matkę. Tego zabijecie na pewno.

— Biorę go na siebie — warknął Gautier.

— Dobrze! — mówił dalej Buridan. — Ponieważ bierzecie na siebie Marigny'ego, który jest ojcem mojej narzeczonej, a Filip wzbrania się przed wyrokiem na Małgorzacie, ja podejmuję się załatwić sprawę z Karolem, hrabią de Valois! Biorę go na siebie!

Bigorne spojrział dziwnie jakoś na Buridana i rzekł do siebie: „Hrabia de Valois! Jego ojciec!”

Opuścił pokój, a trzech przyjaciele radzili dalej.

Lancelot poszedł prosto do handlarza starzyzną, którego znał od szeregu lat. Szepnął mu na ucho parę słów, włożył w garść kilka monet, które jeszcze mu pozostały. Udał się wraz z handlarzem do pokoiku leżącego za sklepem. Na ścianach wisiały mundury halabardników, strażników, ozdobione herbami Valois, Marigny'ego a nawet królewskimi.

Tu dopiero Bigorne zdecydował się. Po chwili opuścił sklep przebrany za łuczника straży miejskiej. Skierował się do Luwru. Nie bez drżenia wszedł do Wielkiej Wieży. Na pierwszym piętrze mieścił się skarbiec królewski. Jego mundur pozwolił mu przejść bez przeszkód. Gdy stanął i wreszcie przed jednym z urzędników, rzekł spokojnie:

— Przychodzę po nasze dwieście talarów w złocie.

Skarbnik zaczął się śmiać.

— Dla kogo dwieście talarów?

— Dla pana Jana de Precy, naszego prefekta.

Skarbnik opanował śmiech. Zrozumiał, że chodzi tu o rzecz poważną.

— Jest chory — dodał Bigorne — leży w łóżku, ma febrę. Kazał mnie przywołać do swego pokoju i powiedział: „Lancelocie, czy widzisz ten mieszek?” „Tak, panie”. „Zawieś go sobie na szyję”. „Już, panie”. „Dobrze! A teraz idź do skarbnika jej królewskiej mości i poproś go o wypłacenie mi dwustu talarów w złocie, potrzebuję ich dzisiaj”.

Widząc zdziwioną minę skarbnika, Bigorne, udając, że sobie coś przypomniał, uderzył się w czoło i dodał:

— Zapomniałem, że pan Jan de Precy dał mi do wielmożnego pana pismo. Pewnie liścik, w którym go pozdrawia.

Bigorne pogrzebał w mieszkach, dobył stamtąd bon zdobyty przez Wilhelma i Riqueta na prefekcie i podał go skarbnikowi. Ten zaczął czytać pismo, wstał z miejsca i znikł w sąsiednim pokoju.

Oczekiwanie trwało długo... Minęła godzina, potem druga, wreszcie trzecia. Lancelot poczuł, że ogarnia go strach.

W końcu zjawił się jakiś jegomość, kazał mu iść za sobą schodami i wprowadził na salę, gdzie na stołach były porozkładane stopy złota i srebra.

Bigorne szeroko otworzył oczy.

— Powiesz twemu panu — polecono mu — że mamy tylko pięćdziesiąt talarów w złocie, resztę pan prefekt będzie musiał przyjąć w srebrnej monecie.

— Pan Jan de Precy polecił mi podjąć dwieście talarów w złocie.

— Dobrze, już, dobrze! Wyjdzie na jedno, masz pieniądze.

Zaczął ładować w mieszek Bigorne'a złote i srebrne talary. Potem urzędnik sam zawiązał mieszek i dodał:

— A teraz wynoś się!

Na to tylko czekał Bigorne. Ruszył ku wyjściu, starając się iść jak najspokojniejszym krokiem. Gdy stanął na ulicy, zdawało mu się, że padnie ze wzruszenia. Odwrócił się w stronę Luwru i spoglądał na pałac królewski ze zdumieniem i radością. „Czy to możliwe? Czy mi się śni? Czy to ja wyszedłem zdrów i cało z tej przygody? Czy to mój mieszek zawiera dwieście talarów w złocie?” Nagle ktoś potrącił go tak silnie, że ledwo nie wpadł do rowu pełnego wody. Jakiś wściekły głos zawołał:

— Z drogi, durniu!

Ktoś wyminął go jak huragan i wpadł w bramę pałacową. Lancelot poznał brutala.

— Prefekt! — szepnął i rzucił się do ucieczki.

Był to istotnie Jan de Precy, który stwierdziwszy zniknięcie bonu, biegł uprzedzić o tym skarbnika.

„Za późno!” — ucieszył się w duszy Bigorne. Wkrótce potem znalazł się znowu u handlarza starzyzną, gdzie wymienił strój łuczника na pozostawione u niego swoje ubranie. Zatrzymał jedynie mieszek, w którym znajdowało się złoto i srebro.

W szynku zastał Wilhelma i Riqueta siedzących przy stole i spożywających wspaniały obiad. Skinął na nich. Wszyscy trzej znaleźli się w pokoju zajmowanym przez Buridana i dwóch braci d’Aulnayów.

— Panie Buridan — rzekł Bigorne, wchodząc do pokoju — przyprowadzam posiłki w ludziach — tu wskazał na cesarza i króla — i w gotówce! — dodał, po czym zaczął układać na stole rzędami stosy złotych i srebrnych monet.

XIV

LUDWIK ZABIJAKA

Król Ludwik wybierał się na polowanie. Najbardziej lubił polowanie na dziki. Królowa również chętnie brała udział w tych wyprawach, bowiem dostarczały one jej silnych wrażeń. Do tego stopnia lubiła wszystkie związane z łowami niebezpieczeństwa, że gdy nie było któregoś dnia żadnego wypadku, wracała z łowów niezadowolona.

Król przywdział skórzany kaftan, długie myśliwskie buty, Włożył łosiowe rękawice, potem pośpieszył na pokoje królowej, Ciesząc się z góry, że sprawi małżonce przyjemność, gdy jej oznajmi o projektowanych łowach. Minął szereg pokoi, wreszcie wszedł do komnaty poprzedzającej pokoje królowej.

— Joanno i Blanche! — zawołał, widząc obecne tam siostry Małgorzaty. — Przygotujcie się, za godzinę ruszamy na łowy! Wyprawa na dziki! Śpieszę uprzedzić królową.

— Królowa nie pojedzie! — odpowiedziała Joanna.

— Królowa jest chora! — dodała Blanche.

Ludwik stanął w miejscu osłupiały i przerażony.

— Chora?! — wyjąkał.

— Dziś w nocy królowa zaziębiła się w swojej kaplicy, gdzie za długo pozostawała modląc się. I oto teraz gorączka zatrzymała ją w łóżku.

— Właśnie przed chwilą miałam posłać do waszej królewskiej mości, aby uprzedzić... — dodała księżna Blanche.

Król wykrzywił się jak dziecko, któremu zbiera się na płacz. Potem nagle z ust jego posypały się klątwy i złorzeczenia. Zawołał:

— I co mam z tego, że przed paru dniami posłałem do katedry Notre-Dame dwanaście świec po dwadzieścia i cztery funty wagi każda? Przy tym jeszcze wszystkie były i opasane złotą obręczą. Jakże ci święci są niesprawiedliwi! Więc mówisz, że jest to gorączka?

— Wasza królewska mość! Królowa przed chwilą usnęła!

— Zbudzisz ją, *sire*, i zniszczysz działanie pokrzepiającego napoju, który kazaliśmy dla niej przygotować.

— Chciałbym na nią tylko spojrzeć! — rzekł Ludwik cichym i pokornym głosem. Jednocześnie skierował się ku pokojowi sąsiadującemu z sypialnią Małgorzaty.

Obie księżne zastąpiły mu drogę.

— Co takiego? — zdziwił się król.

— Wasza królewska mość! Błagamy cię... pozwól jej królewskiej mości wypocząć!

— Nie przeszkadzajcie mi spojrzeć na nią, chociaż z daleka...

Ten człowiek, przed którym wszyscy drżeli, sam był wobec sióstr żony zupełnie onieśmielony... Mówił przyciszonym głosem, stąpał ostrożnie na palcach, aby przypadkiem podłoga zbyt głośno nie skrzypnęła mu pod nogami.

Joanna uchyliła drzwi od sypialni, a król wsadził nos do pokoju, patrząc z niepokojem na królową.

Na łożu, stojącym pośrodku olbrzymiej sypialni spoczywała Małgorzata Burgundzka, jak się zdawało pogrążona w głębokim śnie.

— Bardzo blada! — szepnął Ludwik.

— To dobry znak — odpowiedziała księżna Blanche. — Świadczy to, że za kilka dni gorączka ustąpi i królowa będzie mogła podnieść się z łoża.

— Ale ja jednak chciałbym wejść do jej pokoju — rzekł z westchnieniem Ludwik, usiłując wślizgnąć się do środka.

Drzwi jednak były pilnie strzeżone przez księżne, tak że wszelkie usiłowania króla okazały się daremne. Z przykrością musiał więc zrezygnować.

Blanche pchnęła go lekko w stronę kaplicy.

— Pozwól, *sire*, nam działać. Pozwól!

— Jednak...

— Chcesz więc, aby gorączka wróciła? Gdy królowa zobaczy, że jesteś tu, *sire*, zaraz się zdenerwuje, przejmie, a wtedy gorączka wróci... Na pewno zaniepokoi ją twój widok! Ona cię tak kocha!

— Tak, kocha mnie — rzekł król wzruszony i rozczulony. Księżna wypchnęła go powoli z kaplicy... Drzwi zamknęły się nagle.

Stał jeszcze przez chwilę, nasłuchując, wreszcie na czubkach palców ruszył z powrotem. Idąc szeptał do siebie:

— Wypocznij sobie, droga Małgorzato, wypocznij! Zajmę się tym, abyś jak najprędzej wyzdrowiała!

Gdy już był daleko od pokoi królowej, zaczął stąpać po dawnemu, głośno i hałaśliwie. Wszedł szybko do olbrzymiego pokoju, w którym skupili się dworzanie i panowie, wszyscy zaproszeni na polowanie.

— Król! — wykrzyknął herold stojący przy drzwiach.

Wszystkie głowy pochyliły się. W komnacie zaległa cisza.

— Panowie — powiedział król — nie będzie żadnego polowania! —r Potem nagle dodał zasmuconym i pełnym troski głosem: — Królowa jest chora. Chora na złośliwą febrę!

W olbrzymim tłumie panów zawrzało... Wszyscy, wielce wzruszeni wieścią, zaczęli komentować nowinę, wreszcie rozległy się w różnych częściach sali głosy:

— To urok! Ktoś rzucił urok!

— To sprawa tych przeklętych Żydów!

— Ofiaruję w kościele mój złoty łańcuch i ostrogi rycerskie świętemu Jakubowi z Compostello, wielkiemu świętemu hiszpańskiemu, patronowi chorych na gorączki i febry.

— Ślubuję udać się boso do Saint-Germain-des-Pres i przez trzy dni oddawać się tam rozmyślaniom i pokucie.

— Niech mi tylko dziś wpadnie jakiś Żyd pod rękę, przysięgam, że go uduszę!

— Ofiaruję trzy piękne świece do kościoła!

Takie okrzyki, pogróżki, śluby i przysięgi rozlegały się na sali. Król słuchał tego i powoli twarz mu się rozpogodziła. Uprzejmym uśmiechem wynagrodził tych, którzy szczególnie głośno wyrażali swój gniew, oburzenie albo żal.

— A jeśli to wszystko nie pomoże, zamówimy mszę na jej intencję.

Król przeszedł na salę obrad, gdzie czekało na niego kilku dostojników państwa, odprawił ich jednak słowami:

— Panowie, tajna narada!

Słowa te miały oznaczać, że mogą uczestniczyć tylko król, pierwszy minister Enguerrand de Marigny i stryj królewski, hrabia Karol de Valois. Zazwyczaj na tajnych naradach bywali jeszcze mężowie księżniczek Joanny i Blanche — Karol, hrabia de La Marche, i Henryk, hrabia de Poitier. Obecnie jednak znajdowali się w swych hrabstwach, walcząc z niesfornymi sąsiadami i ściągając daniny.

— Drodzy przyjaciele — rzekł król, gdy wszyscy usiedli przy stole. — Oznajmiłem wam już o nieszczęściu jakie nas spotyka. Choroba królowej to gorsza klęska niż walka z Flamandczykami albo innym wrogiem. Pytam was, co mamy przedsięwziąć.

— Sire, zdaje mi się, że najlepsza będzie msza — rzekł hrabia de Valois.

— Tak, tak, istotnie... Zarządzimy to... zarządzimy. Ale — rzekł, uderzając się w czoło — kto wie, czy nie mamy sobie czegoś do wyrzucenia! Czegoś, za co niebo zsyła na nas karę! Może należałoby już przygotować spalenie tej czarownicy...

Ludwik powstał z miejsca i zaczął niespokojnie spacerować po pokoju.

Valois zbladł. Marigny, mimo pewności, że Myrtili nic nie grozi, nie mógł opędzić się przed uczuciem lęku.

— Marigny — odezwał się król. — Poleciałem ci zająć się procesem. Czy już wszystko skończone?

— Tak, *sire*, czarownica jest skazana.

Marigny skłamał, był to jednak jedyny sposób na uspokojenie króla i odwrócenie jego uwagi od niebezpiecznego tematu.

Istotnie, król wyraził swe zadowolenie.

— Valois — powiedział — mianowałem cię gubernatorem Tempie, abyś mógł czuwać nad nią. Co ona robi? Co mówi? Czy nie prowadzi w celi jakichś praktyk, których teraz królowa jest może ofiarą?

Valois zmieszał się, opanował się jednak i odpowiedział spokojnie:

— *Sire*, czarownica jest strzeżona w dzień i w nocy, mogę ręczyć za to, że nie byłaby w stanie przedsięwziąć nic złego.

Valois skłamał tak samo, jak skłamał poprzednio Marigny. Obaj spojrzeli na siebie z ukosa. U każdego z nich w tej chwili nienawiść omal nie wzięła góry nad solidarnością. Valois przygryzał wargi, aby nie krzyknąć: „*Sire*, proces nawet nie zaczęty!” Marigny zaś oddałby cały swój majątek, żeby móc tylko zmiażdżyć swego przeciwnika i zawołać: „*Sire*, czarownica zbiegła z więzienia!” Ludwik, zupełnie spokojny, siedział teraz i monologował. — Czarownica jest skazana, pozostaje nam tylko wypełnić wszystkie formalności, i to jak najprędzej. Egzekucja musi być bardzo uroczysta. Odbędzie się ona na placu Greve. Chcę mieć jasny obraz całej tej sprawy, pójdę więc dziś jeszcze do Tempie. Chcę zobaczyć tę czarownicę i porozmawiać z nią.

Valois znieruchomiał z przerażenia.

Król znowu wpadł w dobry humor. Z właściwą sobie żywością zerwał się z miejsca i pobiegł do królowej, aby ją zawiadomić o powziętych decyzjach. Valois i Marigny pozostali czas jakiś jeszcze w pokoju. Rzekłbyś, wspólne niebezpieczeństwo zbliżyło ich.

Marigny myślał: „Dziś wieczorem król dowie się, że Myrtilli nie ma w Tempie. Jeśli każe uwięzić Valois, a ten nie zdąży wyznać wszystkiego... Dobrze! A więc trzeba tak zrobić, żeby nie zdążył uczynić wyznania. Niech Valois zostanie aresztowany za współudział w czarach”.

Valois mówił w duchu: „Tak, będę cierpiał straszliwie, widząc dziewczynę skazaną na śmierć. Jest to jednak dla mnie jedyna możliwość uniknięcia śmierci... Musi zginąć. Król musi dziś wieczorem znaleźć ją w celi więziennej. Do wieczora muszę znać jej kryjówkę!” Marigny podobnie jak król skierował się do apartamentów królowej. Hrabia de Valois zaś wyszedł z Luwru z liczną eskortą zbrojną i udał się do swego pałacu. Pałac ten, jak większość ówczesnych pałaców, stanowiących własność możnych panów, był fortecą, w której w razie potrzeby można było wytrzymać nawet oblężenie. Hrabia utrzymywał w nim sporo żołnierzy i szlachty mniej zamożnej, stanowiącej poczet tego najbogatszego chyba w całym państwie arystokraty.

Zaraz po powrocie do domu hrabia de Valois kazał zawezwać do siebie swego faworyta i zaufanego, Szymona Malingre'a. O każdej porze dnia i nocy mógł liczyć na pomoc tego chytrego sługi. Pełnił on w hrabiowskim pałacu obowiązki generalnego intendenta. Był znienawidzony przez resztę personelu i służby. Żołnierze darzyli go wzgardą. Był jednak u hrabiego na wyjątkowych prawach.

— Szymonie — rzekł Valois — chodzi tu o sprawę pierwszorzędnego znaczenia... Być może, moje stanowisko na dworze, a kto wie, czy i nie życie jest zagrożone...

— Jaśnie wielmożny pan wie, że do ucieczki wszystko jest zawsze przygotowane w dzień i w nocy.

— Ucieczka! — warknął Valois, zaciskając pięści, a oczy jego błysnęły gniewem. — Czy nic innego już mi nie pozostało? Ustąpić placu Marigny'emu? Pozwolić mu zatriumfować?! Przeżyć jeszcze raz wstyd?! Ależ nie wszystko jeszcze stracone... Na ciebie liczę najwięcej, Szymonie!

— Życie moje należy do ciebie, jaśnie wielmożny panie!

— Nie chodzi tu o życie! Wiem, że należy ono do mnie! Bo w razie podejrzenia nawet o zdradę, podobną do zdrady Bigorne'a nie omieszkam...

— Kazać mnie powiesić? — zapytał spokojnie Szymon Malingre. — Jednak pozwolę sobie zauważyć, że zdrada mego byłego kolegi, Bigorne'a, datuje się od bardzo dawnych już czasów, a on chodzi jeszcze po świecie. Nawet czuje się zupełnie dobrze, lepiej może ode mnie.

— Co chcesz przez to powiedzieć, nicponiu?

— Tylko to, jaśnie wielmożny panie, że nie wystarczy skazać kogoś na śmierć, aby śmierć sama przyszła. Niech mi pan wierzy, jaśnie wielmożny panie, lepiej jest odwołać się do wierności niż budzić lęk wśród ludzi. Lepsze są rezultaty.

— A ty jesteś mi oddany?

— Tak, panie, do wysokości tych stu talarów, które zarobię zawsze w pańskiej służbie w ciągu roku.

— A więc gdybyś zarobił dwieście talarów, byłbyś mi dwa razy bardziej oddany?

— Niewątpliwie, jaśnie wielmożny panie. Nie mam jednak tak wysokich aspiracji. Jestem skromny w moich przyzwyczajeniach i wydatkach, jestem więcej niż zadowolony i wierność moja przez to powinna zyskać w oczach pana jeszcze większe uznanie. Jako dowód mej wierności może posłużyć ta okoliczność, że w każdej chwili mogę przyprowadzić panu tego łajdaka Bigorne'a!

— Jeśli to uczynisz, mój Malingre — rzekł Valois — otrzymasz sto talarów w złocie natychmiast!

XV

MALINGRE I GILLONNA

Szymon Malingre wyprostował się dumnie i rzekł:

— Mogę uczynić więcej, panie hrabio! Kim w gruncie rzeczy jest ten cały Bigorne? Biedak, który nie zasługuje nawet na nienawiść jaśnie wielmożnego pana! Wystarczy, że ja zajmę się nim! Tak skromna osobistość jak ja jest w sam raz dla Bigorne'a. Biorę go więc na siebie. Bądź spokojny, panie hrabio, dni jego są policzone.

— Nienawidzisz go więc?

— Ja? Bynajmniej. Będąc jednak w służbie u pana hrabiego, nienawidzę i kocham tych, których nienawidzi kocha pan hrabia... Pozwalam sobie jednak na wyrażanie tych uczuć jedynie w stosunku do osób równego mi stanu. Inne osoby, nawet wrogo usposobione do pana hrabiego, stoją zbyt wysoko nade mną, abym ośmielił się po nie sięgać. Nie sięgając jednak tak wysoko i trzymając kark przygięty do ziemi, potrafię zerkać w prawo i w lewo i dostrzegam tam wiele ciekawych rzeczy.

— Może nawet za dużo — warknął Valois.

— Nigdy nie jest za dużo, jeśli chodzi o służenie panu hrabiemu! Osądź sam. jaśnie wielmożny panie. W tej chwili oddałbyś chyba cały swój majątek, gdybym ci powiedział, gdzie się znajduje czarownica Myrtilla! A ja wiem, gdzie ona jest!

Twarz hrabiego wyrażała nie dającą się powściągnąć ciekawość. Stał przed triumfującym Malingre'em bez ruchu, walcząc z burzą sprzecznych uczuć.

— Gołąbka już-już miała nam się wymknąć z rąk. Jednak odkryłem, gdzie jest jej gniazdko. Muszę tylko wyciągnąć ramię, a przywiędę jaśnie wielmożnemu panu hrabiemu najpiękniejszą z czarownic.

Ciężkie westchnienie podniosło pierś hrabiego.

— Kocha ją pan, panie hrabio. To wielkie głupstwo z pana strony, ale cóż robić... Zresztą w tej chwili uczucie idzie w parze z pańskimi interesami. Bo czyż nie rozkoszną będzie dla pana chwila, w której porwie pan w ramiona córkę jaśnie wielmożnego pana de Marigny'ego, zwłaszcza że córka ta jest tak miła pańskiemu sercu.

— Milcz, mój Szymonie — wyszeptał Valois — nie rozkrwawiaj mi serca obrazami nieziszczalnych rozkoszy. Czy wiesz, że dzisiejszego wieczoru dziewczyna ta musi być w Tempie?!

— Nie rozumiem!

— Król chce się z nią widzieć i rozmawiać osobiście!

— Tam do diabła! Istotnie, sytuacja jest kłopotliwa!

— A więc posłuchaj. Albo zatrzymam Myrtillę dla siebie i jeszcze tego wieczoru zostanę uwięziony, a potem osądzony, albo zwracam ją królowi... Tą myśl zabija mnie! Szymonie!

Malingre złożył ręce na piersiach. Milczał przez chwilę, wreszcie rzekł:

— Musisz zdecydować się, panie!

— Powiadasz więc, że wiesz, gdzie ona się znajduje?

— Wiem.

— I możesz ją pochwycić w każdej chwili?

— W tej chwili na przykład nie! Wieczorem jednak, o zmroku... tak! Aby ją pochwytać w biały dzień trzeba stoczyć walkę. Zacznie się zamieszanie, krzyki, zbiegną się sąsiedzi. Wtedy wszystko będzie stracone.

— Przekleństwo! Dlaczego nie mogę jej porwać dla siebie! A może jednak to uczynić, a potem zbiec? Co?

— Jest inne wyjście! Pozwól mi, panie hrabio, działać! Król będzie widział czarownicę, a Myrtilła zostanie dla pana!

— Jak to?

— Pozwól mi, panie hrabio, działać! Wróc do Tempie, dokąd wzywają pana obowiązki gubernatora, i czekaj szczęśliwego końca dnia. Odpowiadam za wszystko.

Malingre, nie czekając na nowe pytania, zniknął równie pośpiesznie, jak wszedł. Valois potrząsnął z niedowierzaniem głową. Perspektywa była zbyt piękna. Wierząc jednak w geniusz swego sługi, udał się do Tempie, szepcząc: „Kto wie?”

Szymon Malingre wszedł na górne piętro pałacu. Mieszkał prawie pod dachem. Tam zamykał się zwykle, gdy w wyjątkowych chwilach nie musiał znajdować się przy swym panu.

Wszedł do pokoju dosyć dużego, dobrze oświetlonego i czysto umeblowanego. W pokoju tym siedziała kobieta zajęta dość prymitywnym haftem, jakim kobiety z ludu ozdabiały w owe czasy swe czepce. Jej ropiejące oczy błyszczały jakimś czerwonym ogniem. Twarz jej była blada i zmęczona. Zwróciła na Malingre'a pytające spojrzenie.

— Droga Gillonno — powiedział — tym razem zdaje mi się, że zrobimy majątek, Gillonna zarumieniła się. Jedynie myśl o pieniądzach zdolna była wzruszyć ją bodaj trochę.

— To zależy jedynie od ciebie! — mówił dalej Malingre.

— Czy znalazłeś kryjówkę Bigorne'a?

— Nie mówmy w tej chwili o tym, droga Gillonno. Wszystko w swoim czasie. Słuchaj, mówiłaś mi, że widziałaś bitwę na Pre-aux-Clercs.

— Widziałam to, co chciałam widzieć — odpowiedziała Gillonna, starając się zrozumieć, o co mu chodziło.

— Tak. Miałaś też znakomity pomysł, aby śledzić krok w krok...

— Małą Myrtilłę! Wiem teraz już, czego chcesz. Pragniesz się dowiedzieć, gdzie jest w tej chwili młoda czarownica.

— Tak — odparł Malingre przez zaciśnięte zęby.

— Nie dowiesz się niczego. Mogę podzielić się z tobą Buridanem. Ale Myrtilłę zachowam dla siebie, wyłącznie dla siebie. Nie dowiesz się niczego.

Szymon Malingre zgrzytnął zębami, uśmiechnął się, podszedł do drzwi i zamknął je na dwa spusty. Potem włożył klucz do kieszeni.

— Co robisz? — zapytała Gillonna z pozornym spokojem.

Jednocześnie chwyciła sztylet i pokazała jego ostrze mężczyźnie.

Szymon wzruszył ramionami, usiadł przy stole i rzekł:

— Co robię? Jestem posłuszny rozkazowi hrabiego, mego pana, który polecił mi zamknąć cię na trzy spusty i trzymać w zamknięciu do wieczora.

Gillonna zaczęła się teraz niepokoić. Ukryła jednak tę niepewność uśmiechając się, jeśli grymas, jaki wykrzywił jej twarz, mógł nosić miano uśmiechu.

— Nasz pan hrabia nie jest głupcem, mam do niego zupełne zaufanie. Wierzę, że nie tylko nie uczyni mi nic złego ani nie pozbawi mnie życia, lecz że dotrzyma również słowa w sprawie nagrody pieniężnej za me zasługi. Wie on, iż mogę mu wyświadczyć jeszcze wiele usług. Wie również, że mogę zawiadomić pana pierwszego ministra o tym, co i jak się stało w Różanej Zagrodzie. Mogę stanąć przed oficjałem, a jeśli będę tu uwięziona, przesłać mu pisemne zeznanie. Dowiedzą się wtedy wszyscy, iż to ja

zawiadomiłam Karola de Valois, że Myrtilla jest córką pana de Marigny'ego, że namówiona przez hrabiego de Valois sfabrykowałam woskową figurkę i że Myrtilla nie jest wcale czarownicą. Idź, Szymonie, idź i powiedz twemu panu, że jeśli któreś z nas dwojga ma drżeć przed drugim, to w każdym bądź razie tym drżącym winien być on, nie ja.

Z tymi słowami wzruszyła ramionami i zabrała się do przerwanego haftu. Ręka jej jednak drżała.

— A teraz powiedz mi, gdzie jest ukryta Myrtilla.

— Nie powiem.

— A może mi powiesz, gdzie chowasz złoto i srebro, które wyłudziłaś od mego pana? Jeśli już mamy się pobrać, słuszne jest, żeby majątek nasz był wspólny.

— Nie powiem nic — odparła Gillonna z uporem skąpca.

— Dobrze. Już dzisiejszą noc spędzisz w Tempie!

Choć Gillonna nie była tchórzem, nie mogła się jednak powstrzymać przed uczuciem lęku, jaki ogarnął ją na dźwięk tych słów. Przeżegnała się i zaczęła szeptać egzorcyzmy, jakby odganiając od siebie złe moce. Nie chciała jednak poddać się bez walki.

— A za co szlachetny hrabia de Valois miałby mnie wtrącić do Tempie? — zapytała.

— Uczyniłby to za moją namową, słodka narzeczono! Zaraz zrozumiesz, o co mi chodzi. Czarownicy Myrtilli nie ma w Tempie. Gdzie jest? Diabli raczą wiedzieć! To znaczy wiesz i ty! To na jedno wychodzi, najmiłsza! Tymczasem nasz król ubzdurał sobie, że pójdzie do Tempie porozmawiać osobiście z czarownicą. Czy rozumiesz?

— Nie! — wybełkotała, nie chcąc po prostu pojąć straszliwej rzeczywistości.

Malingre zaczął się głośno śmiać.

— To przecież bardzo proste — powiedział. — Król nigdy nie widział Myrtilli. Każda zakuta w kajdany baba ujdzie za nią. Ponieważ Myrtilli w więzieniu nie ma, należy znaleźć jakąś kobietę, która zechciałaby ją zastąpić w torturach.

— Miłosierdzia! — jęknęła Gillonna.

— Która pozwoliłaby wyrwać sobie język, opalić pięty, poddać się karze obcęg.

— Łaski! — zacharczała Gillonna.

— A potem pozwoliłaby przywiązać się do pięknego słupa, otoczonego pękami chrustu płonącego wesoło. Szukałem, szukałem i nie znalazłem nikogo godniejszego od ciebie w tej roli.

Gillonna padła na kolana i wzniosła błagalnie dłonie do Malingre'a.

— Gdzie jest Myrtilla? — zapytał zimno Malingre.

— Jest w domu zwanym Domem Nawiedzonym w obrębie cmentarza des Innocents.

— Dobrze! A teraz mów, gdzie jest pończocha..

— Jaka pończocha? — wybełkotała Gillonna, zdjęta konwulsyjnym drzeniem.

— Twój skarb! Nie zjem go całego! Połowę zwrócę ci później, po naszym ślubie!

— Szymonie, mój drogi Szymonie, pozostaw mi przynajmniej połowę! Pomyśl tylko, ile mnie kosztowało zdobycie tej garści pieniędzy.

— Dawaj wszystko! — ryknął Malingre z radosnym triumfem.

— A więc wszystko? Straszliwe słowo! Powiedz przynajmniej — połowę!

— Wszystko — powtórzył nielitościwy Malingre.

Gillonna podniosła się z miejsca, jęcząc żałośnie.

Wyrzekała, drapała sobie twarz paznokciami, biła się w piersi, wydierała włosy z głowy, wreszcie udała się do sąsiedniego pokoju, otworzyła szafę, w głębi której ukazał się mały drewniany kuferek.

Malingre rozbił go i wy dobył zeń około stu talarów w złocie i srebrze.

— Hm! — mruknął. — Ta mała pochwaliła się, wcale nie jest bogata! Ale i to jest nie do pogardzenia. A teraz — rzekł głośno — pójdę upewnić się, czy Myrtilła znajduje się tam, gdzie powiedziałaś. Potem wrócę i wypuszczę cię na wolność. Tymczasem zamykam cię i zabieram twój skarb...

Zaledwie Malingre zamknął za sobą drzwi na dwa spusty, Gillonna podbiegła do szafy i wyciągnęła potajemną szufladę, w której był ukryty drugi, dużo większy kuferek, wypchany złotem. Uklękła przed nim, zaczęła głaskać monety, pieścić je, przekładać i przemawiać do nich czule.

— O mały włos nie rozdzielono nas, moje kochane talarki! Co byście zrobiły beze mnie? W jakich nędznych szynkach byście musiały się obracać. Cierpliwości, widzę tu jeszcze luki, dopełnię je, dopełnię...

Zamknęła starannie kuferek, potem skrytkę, a następnie zwróciła się do drzwi, za którymi znikł Malingre. Pogroziła pięścią i zgrzytnęła zębami:

— Jeszcze się zemszczę, mości Szymonie!

XVI

CZAROWNICA

Zapadła noc. Myrtilła zapaliła świecę. Tymczasem Mabel chodziła tam i z powrotem po swym laboratorium. Zajęta była w tej chwili bardzo prozaicznym przygotowaniem posiłku na tym samym kominie, na którym gotowała wywary z ziół. Twarz jej odmłodziła, łagodny uśmiech błędził po jej bladych wargach, była wesoła, nawet nuciła jakąś piosenkę. Gdyby ktoś z mieszkańców Luwru, który oglądał jej zazwyczaj zimną i zniekształconą cierpieniem twarz, ujrzał ją teraz, nie poznałby jej na pewno.

— Chodźmy do stołu — rzekła, podchodząc do Myrtilli i biorąc ją w objęcia.

— Kochana matko — szepnęła dziewczyna.

— Tak, jestem twoją matką jako matka twego narzeczonego! Do tej pory nie mogę ochłonąć na myśl, że o mały włos nie zabiłam go.

— Nie mówmy już o tym — rzekła Myrtilła, wzdrygając się.

Rozpoczęła się teraz długa rozmowa o Buridanie. Noc zapadła, a Myrtilła jeszcze opowiadała o nim zasłuchanej matce. Wreszcie Mabel rzekła:

— Gdy się wszyscy troje połączymy, uciekniemy stąd. Jestem dostatecznie bogata, byśmy mogli wyruszyć w podróż i żyć przez kilka lat bez troski.

— A więc musiałabym rozstać się na zawsze z moim ojcem... — szepnęła Myrtilła, blednąc. — Och! To niemożliwe! Buridan nie żądałby tego ode mnie! A moja matka!?

— Twoja matka! Królowa Małgorzata! Jak możesz nazywać matką tę straszną kobietę!

Myrtilła zamknęła dłońmi usta Mabel.

— Cicho — szepnęła błagalnym tonem. — Jakąkolwiek jest, jest moją matką!

Nagle rozległo się głośne pukanie do drzwi. Mabel zgasła świecę i podbiegła do okna.

— Kim są ci ludzie? — szepnęła. — Czego chcą? Przecież nikt nie wie, że tu się ukrywamy. Nie drzyj, moje dziecko. To na pewno pomyłka.

— Ach! Mateczko! Tak samo niespodziewanie zostałam napadnięta i uprowadzona z Różanej Zagrody.

Pod drzwiami Nawiedzonego Domku Mabel ujrzała w świetle księżycy kilkunastu łuczników. Serce jej zaczęło bić gwałtownie. Uczepiła się kurczowo kraty okiennej.

Tymczasem na dole hałasowano coraz bardziej, usiłując wyłamać drzwi. Nikt z sąsiadów nie wyjrzał nawet oknem. Wszyscy spali.

— Mówię ci, że to pomyłka — powtarzała Mabel, dygocąc ze strachu. — To nie po ciebie. Może po mnie.

Drżała, zrozumiała bowiem, że łucznicy przyszedli aresztować czarownicę Myrtillę. Słysząc było nawet jak ją przeklinali.

— Matko! Kochana matko! Uratuj mnie!

— To jakiś zły sen! — szepnęła Mabel. — Nie mogę pozwolić, aby aresztowano tę, która uratowała życie memu synowi! Jeśli wpadnie w ich ręce, zamordują ją, a wtedy mój syn umrze z rozpacz!

— Słyszysz, matko, wyłamali drzwi wejściowe!

Mabel pociągnęła Myrtillę do laboratorium.

— Prędko, wejdź do tej niszy, tu za tę półkę z butelkami. Nie ruszaj się stamtąd... Zaczekaj, aż cię stąd wypuszczę. Jeśli mnie zabiorą ze sobą, możesz długo czekać... Lecz mnie nie zabiorą.

Myrtilla, pchnięta przez Mabel, ukryła się w niszy, Mabel zaś zamknęła drzwi, przysunęła na dawne miejsce półki, potem zasłoniła twarz maską i czekała.

Usłyszała hałas i odgłos kroków. To szli łucznicy. Skradali się ostrożnie, jakby chcąc zaskoczyć mieszkańców domku. Poskramiając strach, skierowała się w stronę drzwi laboratorium i nie czekając na to, aż je wyłamią, sama otworzyła je na oścież.

Szymon Malingre po niezbyt czulej rozmowie z Gillonną ukrył najpierw w bezpiecznym miejscu zabrane jej pieniądze, potem udał się na cmentarz des Innocents i zaczął wypytywać sąsiadów o Nawiedzony Domek. Z ich paplaniny wywnioskował, że w domku tym mieszkają dwie kobiety. Wtedy pobiegł do Tempie i stanąwszy przed hrabią de Valois, zapytał:

— O której godzinie król ma zamiar rozmawiać z czarownicą?

— Około jedenastej w nocy.

— Dobrze. O dziesiątej pochwycimy czarownicę.

Valois westchnął. Po raz ostatni stoczył ze sobą walkę.

— Gdybym w porę uciekł, Myrtilla byłaby uratowana i ja również. Dlaczego mi w tym przeszkodziłeś?

— Panie hrabio, czcigodny pan de Marigny triumfowałby wtedy. Któż zabroni panu ratować się ucieczką jutro. Będiesz mógł przy tym uciekać nie sam, ale czarownicą, jeśli sprawy zajdą aż tak daleko.

Valois pokrzepiony tymi słowami zgromadził kilkunastu najbardziej zaufanych łuczników, a potem sam z Szymonem jako przewodnikiem udał się na czele oddziału na cmentarz des Innocents.

Gdy już drzwi ustąpiły, hrabia na czele swych łuczników zaczął wspinać się po schodach. Mabel, która stanęła w progu, na widok swego dawnego kochanka wzdrygnęła się. Opanowała się jednak szybko i rzekła: — Witam pana, panie hrabio... Mabel wita pana w swym skromnym mieszkanku.

— Mabel! — szepnął ze zdumieniem hrabia de Valois. — Faworytka królowej.

— Na pewno chce mi pan zakomunikować jakąś wolę królowej?!

— Wolę? Tak! — odparł Valois. — Lecz wolę króla, nie królowej!

Kazał łucznikom zostać na schodach, a sam wszedł do laboratorium, zamknął za sobą drzwi i rzekł:

— Mabel, jesteś oddana królowi i królowej, będę więc dla ciebie łagodniejszy niż dla innych. Przede wszystkim nie myślałem, że zastanę cię tutaj. Ponieważ tak się jednak stało, tym lepiej. Łatwiej, będzie mi spełnić moją misję.

— Jaką misję?

— Aresztowałem czarownicę Myrtille, oskarżoną o czary przeciw królowi. Uciekła mi ona z Tempie. Jest tutaj. Wiem o tym. Muszę za godzinę mieć ją w celi.

— Tej, której pan szuka, nie ma tu — rzekła zimno Mabel.

Valois zgrzytnął zębami. Uczynił ruch w stronę drzwi, jakby chcąc przywołać łuczników. Natychmiast jednak zwrócił się do Mabel:

— Posłuchaj, wiem, że podnosząc rękę na ciebie, podnoszę ją na królową. Wiem, że wszelki gwałtowny czyn, popełniony na tobie, ściągnie na mnie zemstę twej pani. Czarownica Myrtille jest tutaj. Król chce ją widzieć za chwilę. Jeśli przybędzie do Tempie i nie znajdzie jej, będę zgubiony. Zrozumiałaś?

— Pewnie! Dlaczego jednak miałabym pana oszczędzać?

— Oszczędzać? — warknął Valois, marszcząc brwi. — A zresztą, niech tam. To tylko słowo. Zawsze byłem dla ciebie życzliwszy niż ktokolwiek w Luwrze. Wiem, że cię nienawidzą i boją się. Ja zaś zawsze okazywałem ci życzliwość, nawet wtedy kiedy się tego nie domyślałaś. Ty ze swej strony zdawałaś się również być mi życzliwa. Jesteśmy więc sojusznikami.

— Sytuacja pana musi być straszna, jeśli ponizas się do sojuszu ze zwykłą służą — rzekła Mabel głuchym głosem.

— To prawda, masz rację. Czas leci... Oddaj mi czarownicę!

— W Luwrze może jesteśmy sojusznikami — mówiła Mabel dalej — tu jednak nie.

— Dlaczego, Mabel, dlaczego?

— Bo tu nie jestem Mabel.

— Nie jesteś? Kimże więc jesteś? Istotnie, zdaje mi się, że mówisz innym głosem, że jesteś kimś innym niż tam... w Luwrze.

Mabel wyprostowała się, a Valois spoglądał na nią ze wzrastającym niepokojem.

— Skończmy z tym. Kimkolwiek jesteś, musisz mi oddać czarownicę, przywołam moich ludzi i gdybym miał nawet zniszczyć zupełnie tę budę...

— Przysięgam ci, że tutaj dziewczyny nie ma.

— Szymonie! — zawołał Valois.

— Jaśnie wielmożny panie? — szepnął Szymon, wsuwając głowę przez uchylone drzwi.

— Zaczynjcie rewidować dom!

Mabel łamała ręce z rozpacz. Valois nie spuszczał z niej oczu. Na dole słychać było okrzyki łuczników, trzask przewracanych i rozbijanych mebli, wreszcie rozległ się głos Szymona:

— Na dole nie ma nikogo! Idziemy na górę!

— Hrabio de Valois — wykrzyknęła Mabel — potrzebujesz więźnia, zabierz mnie!

— Ciebie!?

— Mnie! Posłuchaj, hrabio. Tak, dziewczyna jest tutaj. Zdradziłam się z tym. Lecz zanim ją znajdziecie, upłynie cała noc, a ty zginiesz. Potrzebna ci czarownica do osądzenia, skazania i spalenia — weź mnie! Czas leci!

— Chcesz tego? — szepnął Valois, drżąc z radości na myśl, że ocali Myrtille, a nie narazi siebie.

— Tak, lecz pod pewnym warunkiem. Musisz zabrać ze sobą wszystkich swoich ludzi. Chcę, aby miała czas na ucieczkę. Jeśli się na to zgodzisz, pójdę z chęcią do Tempie i w obliczu króla podam się za czarownicę. Jeśli nie, przysięgam, że będziecie szukać dziewczyny przez kilka godzin, zanim ją znajdziecie, a wtedy czeka cię, hrabio, stryzyk!

— Niech i tak będzie! — zgodził się Valois. — Co mnie obchodzi, czy dziewczyna ucieknie, czy nie. Obchodzi mnie jedynie to, aby król po wejściu do celi znalazł w niej czarownicę.

— Czy przysięgasz, że spełnisz warunek?

— Daję ci słowo szlachcica, że po naszym odejściu, nie będą podjęte w tym domu żadne poszukiwania. Przysięgam to również na Chrystusa — dodał, zbliżając się do stojącego na stole krucyfiks.

Mabel przez chwilę stała pogrążona w zadumie. Zdawało się, że chce zdjąć z twarzy maskę, wzrok jej jednak wybiegł mimo woli w kierunku skrytki, w której była zamknięta Myrtilla. Szepnęła w duchu: „Czy dowiesz się kiedyś, jakie uczyniłam dla ciebie poświęcenie? Nic to, że udam się do Tempie na pewną śmierć. Nic to! Lecz że wyrzeknę się rozkoszy pokazania hrabiemu de Valois widma Anny de Dramans...”

Nagle podniosła głowę i rzekła krótko:

— Chodźmy już!

— Aresztować czarownicę! — zawołał Valois donośnym, nabrzmiałym radością głosem.

Szymon Malingre wraz ze swymi łucznikami wpadł do laboratorium i stanął zdumiony.

— Czarownica? — rzekł, spoglądając w stronę swego pana.

— Oto jest! — odpowiedział Valois.

— Zrozumiem później! — mruknął Malingre pod nosem i ruszył za łucznikami, prowadzącymi Mabel.

Valois położył mu rękę na ramieniu i szepnął do ucha: Pozostań! Ukryj się gdzieś w pobliżu. Zobaczysz wychodzącą Myrtillę...

— Dobrze! Zrozumiałem!

Po godzinie król został powitany w Tempie przez hrabiego de Valois. Ludwik X z prostej brawury wyraził chęć mówienia z czarownicą, chociaż nie zależało mu na tej wizycie tak bardzo. Zaangażował się jednak i dlatego musiał przyjść do Tempie. Ale wróciłby chętnie do Luwru, nie widząc się z nią wcale, gdyby mógł znaleźć godziwy po temu pretekst.

Valois jednak pośpieszył wydać odpowiednie rozporządzenie i Ludwik, nie chcąc, by go pomówiono o tchórzostwo, zabierał się do złożenia wizyty czarownicy.

— Jeśli wasza królewska mość życzy sobie tego — rzekł Geoffroy de Malestroit — będę mu towarzyszył.

— Cóż znowu! Chcę być sam, jedynie z hrabią i z klucznikiem.

Gdy już zeszli do podziemia i klucznik otworzył drzwi celi, w której znajdowała się przykuta do muru kobieta, król Francji rzekł:

— Czy podobna, aby ludzie żyli tutaj chociaż przez kilka dni?!

— Toteż tu nie żyją, lecz zaczynają umierać. Tu jest agonia. Cela Tempie — to przedsiónek śmierci.

— Nie daj Bóg, aby ktokolwiek z tych, których kocham, był zmuszony przejść przez te tortury!

Wszedł do celi, dając znać hrabiemu i dozorcóm, aby poczekał na niego w korytarzu.

— A jednak tortura czeka jedną z tych osób, którą kochasz, *sire*!

— Kto to mówi?! — wykrzyknął przestraszony Ludwik, cofając się o kilka kroków.

Głos dochodził z głębi celi. Był spokojny, nie wyrażał ani gniewu, ani smutku.

— To ja mówię — rzekła Mabel. — Ja, czarownica.

— Co powiadasz? — zapytał Ludwik z lękiem.

— Powiadam, *sire*, że ktoś z drogich ci ludzi będzie wkrótce zmuszony do poznania tych podziemi, tej mogiły. Będzie cierpiał więcej jeszcze niż ja cierpię. Bo i cóż?... Ja biedna, nędzna, nie znana, przyzwyczajona do nieszczęścia kobieta musiałam dać jeden tylko krok, aby z mej nędzy codziennej przejść do jeszcze większej. Ta zaś osoba, o której myślę, rozstanie się z władzą, ze sławą, z miłością, aby

poznać, co to jest nędza, nienawiść i odraza. Och! Jej cęła będzie jeszcze poseęniejsza niż ta, która cię przeraziła.

— A któż skaże na te cierpienia ową osobę? — zapytał przerywanym ze wzruszenia głosem król.

— Ty sam, *sire*.

— Ja! Łęsz, przekęta czarownico! I któż to jest? Jeden z moich przybocznych? Jeśli twoja przekęta wiedza pozwoliła ci określić karę, zdołasz mi również powiedzieć, jaka będzie wina.

— Wina? Przesępstwo! Zdrada! Tysiękrotna zdrada, na wieść o której będziesz znośił, królu, piekielne męczarnie.

— Czarownico, za duęo i za mało powiedziałaś! O kim myślisz?

— Szukaj dokoła siebie! — rzekęła Mabel. — Szukaj w samym Luwrze. Tam znajdziesz tę, która cię zdradzi!, która cię już zdradza, i którą skarzesz.

— Która mnie zdradza? — powtórzył, Ludwik. — A więc to kobieta?

— Tak, kobieta! Jeśli w ogóle można nazwać kobietą krwawego demona, mającego na sumieniu więcej morderstw niż lat życia, którego sen jest jedną wielką siecią potwornych widziadeł, jednym wielkim tańcem szkieletów.

— Kto to? — ryknął król rozwsięczony. — Powiedz, jędzo, a daruję ci życie.

— Szukaj! — odpowiedzięła Mabel.

Teraz w celi zaleęła dęuga cisza. Blask płonących pochodni rzucał migotliwe plamy na sylwetkę przykutej do muru czarownicy. Nagle brzęknęły kajdany, a król się wzdrygnął. To Mabel zmieniła pozę i poruszyła okowy.

— Dlaczego chciałaś mnie zabić? — zapytał król. — Kto namówił cię do czarowania na moją niekorzyść. Powiedz mi przynajmniej, kto.

— *Sire* — rzekęła powoli Mabel, zdejmując maskę — nie chciałem twej śmierci. Nie czyniłem przeciw tobie żadnych czarów. Przyjrzyj mi się, nie obawiaj się niczego, czy widzisz rysy mej twarzy?

— Widzę. Gdybym miał żyć sto lat, nie zapomnę ich.

Mabel znowu przysłonięła maskę twarz.

— Widzięłaś, królu, twarz kobiety, która nie życzy ci nic zęego. Czy wyczytaęłaś w moich rysach jakęś najdrobniejszą bodaj niechęć do ciebie?

— Nie, na Boga! Zupełnie nie tak wyobraęiałem sobie czarownicę.

— Przestań więc mnie badać, nie mam ci bowiem nic do powiedzenia, nie popeęnięlam wcale zbrodni, o którą mnie pomawiają.

Król znowu zamilkł, a potem dziwnie pokornie mówił dalej:

— Kobięto, sam nie wiem dlaczego, ale twój głos, twarz i słowa wzruszyły mnie. Wierzę, że jesteś niewinna. Wierzę ci, lecz zostaęłaś skazana. Czy chcesz mi powiedzieć, jak się nazywa ta, która mnie zdradza?

Mabel spuścięła głowę. „Matka Myrtilli!” — pomyślaęła z goryczą. „Wczoraj, kiedy o tym nie wiedzięalam, z jakę dziką radością wymówięłabym jej imię! A teraz...”

— No i cóż, czy powiesz?

— Nie! — odpowiedzięła tak stanowczym tonem, że król zrozumiał, iż wszelkie prośby i groźby będą bezowocne.

Opuścięł celę więzienną.

— A więc, *sire* — rzekł Valois z triumfem Z widzięłaś, że czarownica jest dobrze pilnowana, zakuta i że żaden diabeł nie uchroni jej przed karą.

Król minął go bez słowa odpowiedzi. Gdy się wreszcie znalazł na podwórzu Tempie, gdy spojrział w niebo usiane gwiazdami, westchnął głęboo i rzekł:

— Tak, dobrze jest strzeżona. To dziwna kobięta. Przyznaję, że twarz jej wywarła na mnie silne wrażenie...

— A więc widzięłaś ją, *sire*?

— Na chwilę odsłoniła twarz.
— Czy jest piękna? — zapytał Valois obojętnie.
— Była kiedyś królewsko piękna, królowa jedynie mogłaby z nią być porównywana.
— Obudziłeś we mnie, wasza królewska mość, również chęć ujrzenia jej twarzy. Chociaż piękna, jest tylko czarownicą i jutro będzie wydana na męki. Utną jej język za świętokradcze słowa, jakie na pewno wymawiała podczas swych praktyk. Potem utną jej prawą dłoń, za jej pomocą bowiem czyniła czarodziejskie praktyki. Wreszcie zostanie spalona, aby ogień, który pochłonie jej ciało, oczyścił jej duszę.
Król słuchał tych słów z pochyloną głową.
— A więc jutro ma być spalona? — zapytał po chwili.
— Tak, jutro!
Król nagle podniósł głowę i rzekł:
— Chcę, żeby wyrok został na razie zawieszony.
— *Sire!*
— Powiadam, że nie chcę, aby ta kobieta umarła jutro. Taka jest moja wola! Gdy przyjdzie czas, wydam rozkaz.
— Ależ dlaczego, *sire*? Pomyśl tylko, że wszystko już jest gotowe...
— Nie słyszałeś, mój Valois, tego co mi powiedziała. Chcę, żeby mi wyjawiała, kim jest ta kobieta, która w samym Luwrze zdradza mnie. Dlatego też chcę sam zbadać jeszcze raz czarownicę.
— A więc mam czekać na kolejną wizytę waszej królewskiej mości?
— Nie, tym razem chcę, żeby mi przyprowadzono czarownicę do Luwru. Cele wasze są zbyt posępne, nie mam ochoty przychodzić tutaj. A więc, mój Valois, bądź w pogotowiu.
— Kiedy?
— Zawiadomię cię.
Król wsiadł na konia i w otoczeniu całego dworu wrócił do Luwru. Gdy się już znalazł w swej sypialni, szepnął, rozsiadłszy się w fotelu z twarzą ukrytą w dłoniach:
— Słowa tej czarownicy zraniły mi serce? A więc jest kobieta w Luwrze, która mnie zdradza. Kim jest ta kobieta? Chcę wiedzieć! Będę wiedział!
Zadzwoił. Zaufany sługa wszedł do pokoju.
— Pójdź do apartamentów królowej i dowiedz się o jej zdrowie — rzucił rozkaz.
Po kwadransie służący wrócił i rzekł:
— Królowa śpi spokojnie, a księżniczka Blanche i Joanna czuwają nad nią. Gorączka opuściła już jej królewską mość i należy przypuszczać, że królowa wkrótce wróci do zdrowia.
Król skinął głową. Lokaj zniknął.
— Co to ma znaczyć — szepnął Ludwik — że serce me szarpie tak straszny niepokój? Królowa wyzdrowiała, a ja nie cieszę się? Potem raz jeszcze powtórzył: — Kim jest ta kobieta, która mnie zdradza? I w jaki sposób?

XVII

PAŁAC D'AULNAY

Buridan i jego przyjaciele postanowili jednogłośnie założyć kwaterę główną w pałacu d'Aulnayów. Można tu było mieszkać spokojnie, nie wzbudzając zbytnej ciekawości sąsiadów. Ich prześladowcy z pewnością szukaliby tu na ostatku.

Lancelot Bigorne postanowił uczcić uroczysty dzień wspaniałą ucztą. Zakupił więc wszystko, co było potrzebne do biesiady, i sam zajął się jej przygotowaniem.

— Takie specjały! Rzekłbym, że jesteśmy jeszcze w wieży Nesle! — zawołał Gautier.

Zabrano się z apetytem do jedzenia. Rozmowa toczyła się wesoło. Mówiono o przygodach Wilhelma Wichury i Riqueta, o przejściach Buridana i dwóch braci d'Aulnayów, o ostatnim zuchwałym zamachu Lancelota Bigorne'a na kieszeń prefekta de Precy'ego. Filip wybiegł wspomnieniami do bardziej odległych czasów, a mianowicie do dnia zaślubin króla Nawarry, hrabiego de Poitiersa i hrabiego La Marche'a z trzema córkami księcia Burgundii. Uroczystości zakończył wspaniały turniej, na którym właśnie Małgorzata Burgundzka wzbudziła w sercu Filipa gorącą i tak długotrwałą miłość!

— Wtedy to właśnie — przerwał Gautier — poczułem wstręt do piwnych oczu. Pomyślcie bowiem sobie. Brałem właśnie udział w turnieju. Potykam się z jednym z rycerzy. Już-już mam zamiar wysadzić go z siodła, nagle jakaś nadobna niewiasta wbija we mnie piwne cudne oczy... Zapatrzyłem się w nie, utonąłem w nich jak w morzu, a tymczasem podstępny przeciwnik skorzystał z tego i wysadził mnie z siodła. Od tej chwili nie mogę nawet słyszeć o piwnych oczach!

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — powiedział ze śmiechem Buridan. — O jedno niebezpieczeństwo mniej grozi twemu życiu!

— Naucz to pana — dodał Wilhelm, dusząc się ze śmiechu — że nie ma nic zdradliwszego na świecie niż oczy kobiet w ogóle.

— Nie masz racji — odpowiedział Gautier — nauczyło mnie to jedynie nie ufać oczom piwnym.

— O ile wiem, obie księżniczki mają oczy błękitne — bąknął Riquet Haudryot z przekąsem.

Gautier potrząsnął głową, Buridan sposepniał, a Filip zmienił się na twarzy.

— Nie o tym jednak chciałem mówić — ciągnął dalej Gautier. — Otóż po turnieju wróciliśmy do domu, do tego pałacu, i zastaliśmy tam mężczyznę. Był to stary sługa naszego ojca. Okryty kurzem, zakrwawiony, błydy jak śmierć stanął przed nami i zdołał jedynie wyjąkać: „Panowie! Pośpieszcie się!” Zrozumiałem, że stało się jakieś nieszczęście. Wypadliśmy z pałacu jak szaleni. Dosiedliśmy koni i pognaliśmy ulicą Froidmantel. Gdy jednak znaleźliśmy się na rogu, jakiś oddział zbrojny wyminął nas, zmierzając w stronę opuszczonego przez nas pałacu. Odwróciłem się, chcąc zobaczyć, co to ma znaczyć, i ujrzałem, że oddział zatrzymał się przed naszym domem. Po prostu chciano nas aresztować... Oddział ten po to właśnie przybył. Skończyło się na potyczce pomiędzy ludźmi królewskimi a naszymi. Naszych wybito w pień, a pałac zrabowano i częściowo spalono.

— Widząc, że królewscy ludzie zatrzymują się przed naszym pałacem — przejął opowiadanie Filip — chcieliśmy wrócić i wziąć udział w walce, stary sługa jednak rzekł do nas: „Jeśli chcecie, panowie, otrzymać od matki ostatnie błogosławieństwo, pośpieszcie do niej!” Pognaliśmy jak wiatr, konie padły na drodze, pieszo dokończyliśmy podróż, a gdy dotarliśmy do zamku, ujrzelśmy już tylko zgliszcza i ruiny...

Gautier jęknął głucho i zawołał:

— Pić!

Riquet Haudryot napełnił mu kubek winem. Buridan słuchał opowiadania z zaciśniętymi ustami. Zamyślił się głęboko.

— Dwór dopalał się! Podwórze zamkowe zalegały trupy, brodziliśmy we krwi, spiesząc na pokoje ojca. Wreszcie wśród innych ciał ujrzeliśmy trupa... ojca! Ciało jego było przeszyte dwudziestoma strzałami. Przyłożyłem ucho do jego piersi, szukając bodaj ostatniej iskierki życia. Niestety! Ojciec nasz nie żył. Wkrótce potem usłyszałem dobiegający z dalszych pokoi szloch Gautiera.

Przerwał opowiadanie.

— Pić! — rzekł Gautier zduszonym głosem.

Wilhelm Wichura nalał mu wina.

— Poszedłem za nim i ujrzałem naszą matkę. Jeszcze żyła... Jeszcze na ustach jej przewinał się uśmiech, gdy ujrzała swe dzieci. Porwałem ją w ramiona, wyszeptala jedno imię... i umarła. Było to imię Marigny'ego!... Niezależnie od słów matki odgadliśmy, skąd spadł cios na naszą rodzinę. Polegli żołnierze napastnika mieli na sobie liberię z herbami Marigny'ego. W całym naszym zamku nie pozostał nikt przy życiu prócz Gautiera i mnie. Opuściliśmy tę wielką, bratnią mogiłę. Gdy dobrnęliśmy wreszcie do pierwszych chatk wiejskich, zaczęto nam opowiadać o napaści, o obronie, o bitwie. Poczciwi kmiotkowie dopomogli nam pogrzebać ojca i matkę. Gdyśmy już o zachodzie słońca zostali sami nad grobami rodziców, uczyniliśmy z Gautierem uroczysty ślub zemsty. Oto cała nasza historia.

— Smutna jest! — rzekł Wilhelm Wichura.

— Niech się tu tylko zjawi ten Marigny, zasztyletuję go! — dorzucił Riquet Haudryot.

Filip wbił wzrok w Buridana.

Młodzieniec zrozumiał, co oznacza wzrok przyjaciela. Wiedzieli przecież, że Marigny jest ojcem Myrtili.

— Cóż chcesz — powiedział, wruszając ramionami — wydaliście już wyrok na tego człowieka.

Tym razem wzrok Filipa błysnął ogniem. Buridan dodał:

— Jeśli zemsta choć w części złagodzi wasze cierpienia, nie mam najmniejszego prawa przeszkodzić wam w ukaraniu winowajców.

W tej chwili na sąsiednim podwórku rozległy się ryki dzikich zwierząt. Wszyscy zbliżyli się do wychodzącego na nie okna.

Buridan odsłonił okno, aby każdy mógł dobrze się przyjrzeć temu, co się tam dzieje. Widocznie zanosilo się na burzę, bo zwierzęta były wściekłe. Lwy chodziły po klatce tam i z powrotem, szeroko otwierając paszcze. Ciągłe wybuchały pomiędzy nimi niesnaski i walki. Mężczyzna z widłami, stojąc po zewnętrznej stronie klatki, usiłował rozdzielić je, grożąc im, łając je i obrzucając przekleństwami.

— Stragildo! — zawołał Buridan.

— Stragildo! — głucho powtórzyli za nim jego towarzysze.

— Ten sam, który tak głośno się śmiał tego dnia, kiedy miano mnie powiesić — rzekł Lancelot.

— Ten sam, za którego sprawą na Pre-aux-Clercs omal nie zostałem pochowany przez królewskich łuczników! — dorzucił Wilhelm Wichura.

— I ja również! — przytaknął Riquet Haudryot.

— Ten sam, który nas zaszył w worku! Czy pamiętasz, Filipie? — zapytał Gautier ze złowrogim śmiechem. — Ten sam, który strącił nas ze szczytu wieży Nesle. Prawa ręka tego szatana, noszącego imię: Małgorzata!

Filip milczał, lecz był nieprzytomny ze zdenerwowania.

W tej chwili Stragildo uspokoił zwierzęta i zaśmiał się szyderczo:

— Nareszcie zmadrzałyście nieco! Czy nie umiecie zachować się przyzwoicie przynajmniej tego dnia, kiedy przychodzi do was z wizytą taki gość?! Cóż za zaszczyt dla pana, panie Iwie! Wizyta waszej miłościwej pani. Naszej pięknej królowej, Małgorzaty Burgundzkiej!

— Królowa tu przyjdzie! — szepnął Buridan.

— Nadchodzi krwawa królowa! — zazgrzytał zębami Gautier.

— Przyjdzie Małgorzata! — szepnął Filip.

XVIII

RADOŚĆ I PRZERAŻENIE HRABIEGO DE VALOIS

Po powrocie króla Ludwika z więzienia hrabia de Valois odetchnął. Był zadowolony. Nie dbał o to, czy kobieta, która zastąpiła Myrtille, zginie na stosie, czy nie.

— Czy król zechce, czy nie zechce zobaczyć się z nią w Luwrze, co mnie to obchodzi! Jest w tej chwili zadowolony, więcej mi nie jest potrzebne. Nic się nie wyda! Jedynie Marigny mógłby mnie wydać! Jednak i on tego nie uczyni, bo jest ojcem Myrtilli!

Noc spędził spokojnie. Po przebudzeniu kazał przede wszystkim wezwać do siebie Szymona Malingre'a. Szymon jednak jeszcze nie powrócił. Zaczekał jakiś czas, wreszcie nie mogąc usiedzieć na miejscu, udał się do swego pałacu. Wiernego sługi nie było tam jeszcze.

Szymon Malingre postanowił zjawić się w pałacu Valois tylko z Myrtilłą, jak mu to było przez hrabiego polecane. Po odejściu zbrojnego oddziałku, uprowadzającego Mabel, Malingre zaczął rozumować: „Mała jest w domu! Stara powiedziała to przecież wyraźnie. Ale jak ją tu znaleźć? Jeśli pójdę na strych, może przez ten czas uciec do piwnicy, pójdę do piwnicy, ucieknij na strych”.

Zaczął więc od reperacji drzwi, które łucznicy Valois wylamali. Po naprawieniu zawiasów, rygli i zamków zabarykadował się dobrze, ustawiając pod drzwiami cały stos mebli, zupełnie tak, jakby musiał wytrzymać formalne oblężenie.

Zatarł ręce z zadowoleniem. Był co prawda jak w więzieniu, lecz Myrtilła była również zamknięta wraz z nim.

— Teraz mogę jej szukać — powiedział — nie wyskoczy przecież przez okno, które jest zakratowane, ani nie wyjdzie drzwiami, których otworzenie zajmie przynajmniej dwie godziny. A więc mam ją!

Teraz zaczął przeszukiwać piwnicę. Pukał w ściany, zaglądał do każdego kąta, wreszcie przekonany, że tu nie znajdzie dziewczyny, udał się na pierwsze piętro. Po przejrzaniu pokoi na piętrze, zmęczony, postanowił odłożyć dalsze poszukiwania na jutro. Położył się pod drzwiami wejściowymi i usnął. Spał jak zając... z otwartymi oczami.

Nad ranem rozpoczął znowu swoje dzieło. Również bez rezultatu. Doszedł wreszcie do laboratorium i zaczął już zadawać sobie pytanie, czy Myrtilła rzeczywiście była w domu!

— Jeśli jej tu nie będzie, mój czcigodny pan, hrabia de Valois, któremu przysiągłem, że zastanie tu małą, każe mnie po prostu powiesić! Żebym nawet przypomniał mu wszystkie me dawne zasługi i te, jakie mu wyświadczę w przyszłości,

nic nie pomoże. W chwili gniewu każe mnie powiesić, a potem, głupiec, będzie mnie oplakiwać poniewczasie. Tak, lecz jeśli nie znajdę pięknego ptaszka, zemszczę się na Giilonnie i uduszę ją własnymi rękami. Potem zaś, nie pokazując mu się na oczy, zwieję! Patrzcie... patrzcie... Co znaczy ten szmer?

Szmer dochodził z jednego z kątów laboratorium. Przypominał lekkie uderzenia... Było to w pobliżu półek, na których stały butelki i buteleczki z przeróżnymi płynami i napojami. Szeroki uśmiech wypłynął na twarz Mallngre'a, który przystanął, nadśluchując. Szmer rozległ się wkrótce znowu. Malingre przyłożył palec wskazujący do nosa, jeszcze szerzej się uśmiechnął i znowu zaczął nasłuchiwać. Był jednocześnie śmieszny i groźny. Podobny do kota, który zwęszył mysz. Rozmyślał: „Drogie maleństwo jest tam. Podobne do małej myszki, która chroboce. Dlaczego ona tak puka!? Do diabła! Nie tak głośno, moja myszko, bo cię usłyszę! Puka, aby dać znać o sobie tej czcigodnej kobiecie! Nie otrzymuje żadnej odpowiedzi, pomyśli więc, że jest uratowana. W tej chwili mówi sobie na pewno, że nie ma nikogo w domu. Mówi sobie na pewno, że może wysunąć na świat koniuszek swego malutkiego noska! Na pewno w tej chwili próbuje swą malutką rączką otworzyć drzwiczki swej kryjówki... Chroboce, a ja, stojąc tu pod jej kryjówką, czyham na nią! Nigdy jeszcze się tak nie bawiłem! Oto jest!”

Chwila, jaka po tym nastąpiła, była straszna. Myrtilła istotnie otworzyła drzwi swej kryjówki. Jednocześnie wzrok jej padł na Malingre'a stojącego pośrodku laboratorium z palcem przyłożonym do końca nosa, z uśmiechem na ustach, z wyciągniętą szyją. Stał tak nieruchomy, śmieszny, ohydny. Na twarzy jej odbił się wyraz bezgranicznego przerażenia.

— No i cóż, moje piękne dziecko — odezwał się Malingre. — Pójdź tu! Wyjdź ze swej kryjówki! Widzisz, że czekam na ciebie.

Biedaczka wciąż jeszcze nie mogła ruszyć się z miejsca. Wkrótce jednak opanowała swe wzruszenie i strach, jaki w niej wywołał widok tego nieznanego mężczyzny. Podeszła do Malingre'a, stanęła przed nim i zmierzyła go spojrzeniem.

— Co pan tu robi? Jak pan tu wszedł?

— Jak wszedłem? Ależ przez drzwi, moje piękne dziecko! Przez drzwi! Jest to sposób zwykle używany przy wchodzeniu do mieszkań! Co tu robię? Bogiem a prawdą... czekałem na ciebie! Miałem rozkaz zaczekać!

— Miał pan rozkaz — wyszeptła Myrtilła.

— Mój Boże, tak! Przyszliśmy tu w kilka osób. Przed wszystkim aresztowaliśmy tę pocziwą kobiecinę...

— Aresztowaliście? — zapytała Myrtilła z lękiem. — A jaką zbrodnię ona popełniła?

— Nie wiem, na wszystkich świętych, lecz aresztowano ją! Ot i koniec! A ja otrzymałem rozkaz czekać na ciebie, panienko...

Dwie łzy spłynęły po białych policzkach dziewczyny. „Aresztowano matkę Buridana! Biedna mateczka, którą zaczęłam szczerze kochać!”

Szymon Malingre zachwycony powodzeniem, postanowił być wyrafinowanie grzeczny w stosunku do dziewczyny.

— Teraz, moja mała — powiedział lekko — musisz iść ze mną, i to jak najprędzej. Widzisz, że jestem grzeczny, nie zmuszaj mnie do uciekania się do przemocy.

— Mam iść z panem? Dokąd?

— Zobaczysz. Do wspaniałego pałacu, gdzie będziesz bardzo dobrze traktowana. Odpowiadam za to...

Myrtilła potrząsnęła energicznie głową.

Udając, że nie widzi jej ruchu, mówił dalej:

— Wyjdziemy na ulicę, będziesz szła grzeciutko przy moim boku.

Wzrok Myrtilli błysnął nadzieją.

Malingre, który widział ten błysk w jej oczach, przyłożył palec wskazujący do nosa, zamyślił się, potem znowu obleśny uśmiech ukazał się na jego twarzy.

— Niewątpliwie, byłoby ci bardzo łatwo umknąć mi na ulicy powiedział. — Jeśli uciekniesz, pozwolę ci odejść spokojnie. Jeśli zaczniesz krzyczeć, wzywać przechodniów, też nie będę ci czynił przeszkód, nie chcę bowiem narażać się przez ciebie na przykrości. Widzisz więc, że masz ułatwione zadanie. Powiem ci więcej, jeśli mi każesz oddalić się, uczynię to w jednej chwili. Co ty na to, moja mała? Czy mam odejść bez ciebie? Mów, nie krępuj się...

Malingre zamilknął na chwilę, parszając śmiechem.

Myrtilła drżała.

— Tylko muszę cię uprzedzić. Czcigodna kobieta, którą aresztowaliśmy dzisiejszej nocy, jeśli nie pójdziesz ze mną, za godzinę ta poczciwa kobieta będzie powieszona. Ja umygam ręce! Idź sobie, odejdz, uciekaj! Nic mnie nie obchodzi, że ta kochana pani będzie powieszona!

Szymon Malingre nawet nie odwracając się w stronę dziewczyny, która szła teraz posłusznie za nim, zaczął schodzić schodami. Na dole jął odsuwać od drzwi nagromadzone tam meble, które tworzyły improwizowaną fortyfikację.

— Prędeż, och! Prędeż, błagam pana! — odezwał się tuż przy nim głos Myrtilli.

— Aaa... zdecydowałaś się! No, no, uspokój się, jeszcze zdążymy! Ręczę ci za to!

— Chodźmy już! Chodźmy! — zaczęła przynaglać.

Wyszli z domku. Malingre szedł, nie spiesząc się ani nie oglądając na swą towarzyszkę. Nie upłynęło pół godziny, gdy znaleźli się w pałacu de Valois. Malingre zamknął dziewczynę w jednym z pokoi, a potem pobiegł do swego pana.

— Panie hrabio — powiedział, wchodząc do pokoju Valois — ptaszek wpadł już w nasze sidła.

Valois spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Jak to zrobiłeś? — zapytał, starając się ukryć swą radość, co mu się jednak nie udało. — Czy krzyczała?! W biały dzień! Nie była to rzecz bezpieczna ani łatwa. Pewnie musiałeś ją związać! Nie zrobiłeś jej żadnej krzywdy, nieponiu?!

— Pan hrabia nie zna mnie, jak widzę... — rzekł Malingre, pochylając się w czolobitnym ukłonie — ani jej nie związałem, ani też nie kneblowałem ust, nie tknąłem jej palcem. Sama przyszła ze mną jak jagniątko!

Malingre opowiedział wszystkie swe przygody hrabiemu. Valois spojrział z podziwem na sprytnego sługę. Zaczął go chwalić.

— A teraz — rozkazał — przyprowadź mi Gillonnę.

Malingre pobiegł po starą, ciągle jeszcze zamkniętą w pokoju i powiedział do niej:

— Jeśli szepniesz hrabiemu chociaż słówko o tym, co zaszło między nami, opowiem mu wszystko, coś wymyśliła, aby wyłudzić od niego pieniądze! Jeśli zaś będziesz milczała, gwarantuję ci, że zrobimy pieniądze.

Gillonna zrozumiała, że jej współnik nabrał ją po prostu, aby wydobyć od niej tajemnicę miejsca pobytu Myrtilli, a przede wszystkim jej talary. „Cierpliwości — pomyślała sobie — jeszcze się zemszczę”.

— Dobrze — dodała głośno — nic mu nie powiem. Groziłeś mi, okradłeś, ograbiłeś, doprowadziłeś do nędzy, lecz czego nie robi się dla przyszłego męża i w dodatku tak miłego jak ty!

Szymon spojrział na nią zezem i pomyślał: „Szykuje mi jakiś brzydki kawał! Pilnujmy się!” Udał jednak, że słowa jej strasznie mu przypadły do serca.

Gillonna zerknęła na niego spod oka i szepnęła pod nosem:

— Głupiec! Zapłacisz ty mi stokrotnie za strach, jakiego przez ciebie się najadłam. A także i za moje ukradzione talary!

— Gillonno — rzekł hrabia, gdy stanęli przed nim — nasz poczciwy Malingre odnalazł miejsce pobytu Myrtilli.

— Malingre to sprytny człowiek — rzekła Gillonna.

— Tak. Przywiódł czarownicę, która znajduje się teraz w pałacu. Powierzam ją twej opiece. Nie wie nic o tym, jaką rolę odegrałaś w całej jej aferze... Nie wie, jaką usługę wyświadczyłaś jego królewskiej mości.

— I wielmożnemu panu hrabiemu!

— Tak. A więc musi czuć do ciebie zaufanie.

— Niewątpliwie. A gdyby nawet nie było już tak jak dawniej, postaram się wrócić do jej łask. Pan hrabia nie straci nic na tym.

— Jesteś nieocenioną kobietą, Gillonno. Jesteś od dziś członkiem mego domu. Będiesz zarządzała u mnie bielizną. Zaszczytne to stanowisko i przynoszące wielkie dochody; niejedna mieszcza pozazdrości ci tych dochodów.

— Pan hrabia jest dla mnie zbyt łaskaw.

— To tylko początek. Uważaj dobrze na naszego więźnia! — dodał z odcieniem groźby w głosie. — Nikt w pałacu, nikt poza pałacem nie powinien wiedzieć, że dziewczyna się tu znajduje. Jeśli ktokolwiek na świecie dowie się o tym, że tu jest, będziesz miała wyrwany język. Nikt nie powinien zbliżyć się do niej, rozmawiać z nią ani jej widzieć. Jeśli się dowiem, że była przez kogokolwiek widziana, najpierw ten, kto ją widział, będzie miał wyłupione oczy, a zaraz potem ty. Wreszcie jeśli z twojej lub z czyjejkolwiek winy uda jej się umknąć z pałacu, ty i twoi współnicy będziecie spaleni na wolnym ogniu w niskiej sali mego pałacu.

Przez cały czas jego przemówienia Gillonna dygała wdzięcznie przed hrabią raz po raz.

Hrabia aż sapnął na myśl, że Myrtilla mogłaby zbiec. Był jednak pewien, że będzie miał w Gillonnie pierwszorzędną dozorczynię.

— Nie chcę jej widzieć, przynajmniej dziś. Wybierz w pałacu najodpowiedniejsze twoim zdaniem pokoje i pamiętaj o tym, że jeśli załatwisz wszystko dobrze, ściśle i mądrze, możesz być pewna tego, że zdobędziesz majątek.

— Trudno być bardziej oddaną panu hrabiemu — rzekła przymilnie.

— Dobrze już, dotychczas służyłaś mi wiernie. Idź więc! Niech Malingre powierzy twej opiece dziewczynę, a potem przyjdzie do mnie do Tempie. Mój intendent otrzyma rozporządzenie, aby wszystko, czego będziesz potrzebowała, było do twej dyspozycji.

Gillorina i Malingre wyszli z pokoju.

— Widzisz, że majątek jest pewny — rzekł Malingre. — Widzisz, że dzięki mnie zdobyłaś łaski hrabiego, który wyniósł cię do godności zarządzającej bielizną pałacową. Kiedy się pobierzemy?

Malingre był tym razem wyjątkowo szczerzy. Powodzenie Gillonny zaimponowało mu. Powtarzał sobie, że istotnie jest ona godną niego narzeczoną.

Gillonna tymczasem, mimo strasznie przymilnej miny Malingre'a, szła zadumana i milcząca. Wreszcie przerwała jego czułe wynurzenia, przystanęła, zajrzała mu w oczy i zapytała:

— Czy zwrócisz mi je?

— Co? — zapytał zdumiony.

— Moje talary, moje biedne talarki, które mi wydarłeś! Zwróć mi je, Szymonie, powiadasz przecież, że mnie kochasz.

— Tak, kocham cię, lecz właśnie dlatego nie zwrócę ci ich. Zachowam je, abyś była bogatsza w dniu naszego ślubu.

Gillonna nic nie odpowiedziała. Myślała: „Valois powiedział, że ten, kto dopomoże w ucieczce Myrtilli, będzie spalony na wolnym ogniu. Valois dotrzyma słowa, znam go!” To myśląc, rzuciła na Malingre’a szydercze spojrzenie.

Gdy stanęli pod drzwiami pokoju Myrtilli, Szymon wręczył Gillonnie klucz ze słowami:

— Masz, teraz ty działaj. Ja biegnę do pana hrabiego do Tempie.

Hrabia znajdował się istotnie w Tempie. Ku wielkiemu zdumieniu swego sługi, opuścił pałac, nie widząc się z Myrtilłą. Uczynił to nie z delikatności. Ot, po prostu jak kot, który igra z myszką, bo wie, że wystarczy wyciągnąć łapę, by ją pochwycić. Po przybyciu do Tempie przywołał klucznika i zszedł do podziemi jedynie w towarzystwie dozorczy. Chciał się zobaczyć z Mabel. Nie wiedział, co skłoniło ją do poświęcenia się dla Myrtilli, a jednocześnie myślał, że uda mu się dowiedzieć czegoś o dziewczynie. Wszedł do celi, a Mabel na jego widok uśmiechnęła się blado. Nie przypuszczała, że uda jej się spotkać z hrabią sam na sam.

— Przyszedłem pomówić z tobą o dziewczynie, za którą chcesz umrzeć, muszę ci bowiem powiedzieć, że jakkolwiek król odłożył dzień wykonania wyroku, egzekucja odbędzie się. Mogę ci jednak osłodzić ostatnie chwile, abyś uniknęła — już nie śmierci — lecz przynajmniej cierpienia.

— Co chcesz, żebym ci powiedziała, panie hrabio?

— Opisz mi Myrtille: jej charakter, upodobania, gusty...

Mabel rzuciła spojrzenie na hrabiego i zapytała:

— Czy ona jest na wolności? Czy dotrzymałeś przysięgi?

— Dotrzymałem przysięgi — odparł Valois.

— Jest na wolności?

— Dotrzymałem przysięgi — powtórzył Valois.

— Nie odpowiadasz mi na pytanie — rzekła Mabel, usiłując zbliżyć się do niego, kajdany jednak przeszkodziły jej w tym.

Zatrzymała się więc w miejscu i oparła o mur.

— To ty mi nie odpowiadasz na moje pytania!

Wzrok Mabel spod maski błysnął tak silnie, że Valois uczuł niepokój.

„Myrtilła na pewno nie jest wolna!”. ~ pomyślała w duchu.

— Niech tam! — dodała głośno. — Będziemy mówić o niej. Będzie to wielką pociechą dla mnie. Otóż wszystkie gusta, wszystkie upodobania i sympatie Myrtilli zawarte są w tych dwóch słowach: kocham Buridana.

Valois zgrzytnął zębami. Nienawidził Buridana jeszcze bardziej niż Marigny’ego.

— Cierpliwości, egzekucja tego włóczęgi jest kwestią paru godzin! W dobre trafił ręce!

— Chcesz powiedzieć, hrabio, że Buridan trafił w ręce królowej, nieprawdaż?

— Istotnie. Byłem obecny przy jego aresztowaniu na Pre-aux-Clercs.

— Buridan uciekł — rzekła zimno Mabel.

— Uciekł? — zaśmiał się szyderczo Valois. — Oszalałaś!

— Buridan uciekł i uwolni Myrtille, którą ty, krzywoprzysięzca, trzymasz w swej mocy...

— Czy naprawdę jesteś czarownicą? — szepnął hrabia, cofając się z lękiem.

— Buridan ożeni się z Myrtilłą — dokończyła Mabel.

— Mylisz się, kobieto! — rzekł Valois drżącym głosem. — Jeżeli Buridan jest nawet wolny, w co nie wierzę, straż miejska nie omieszka go aresztować. Jeśli twa przekłeta wiedza pozwoliła ci poznać, że pochwyciłem dziewczynę, przyjrzyj się lepiej przyszłości, a zobaczysz Buridana powieszzonego, a Myrtille w moich ramionach...

— Zwrócisz wolność Myrtilli — rzekła Mabel z tym samym spokojem, który budził lęk w sercu Valois.

Zaśmiał się i skierował ku drzwiom.

— Wystuchasz mnie! — krzyknęła Mabel. — Mam prawo rozkazywać ci, Karolu de Valois, wymierzam bowiem sprawiedliwość boską, a nie piekielną. Patrz!

Valois odwrócił się i zobaczył, że Mabel zdjęła z twarzy maskę. Przez chwilę przyglądał się jej ze zdumieniem, potem zaczął bełkotać:

— Ktoś ty? Gdzieś już cię widziałem! Och! Poznaję, poznaję! Jesteś Anna de Dramans!

Zdjęty bezgranicznym przerażeniem uczuł, że nogi uginają się pod nim. Oparł się o mur celi.

Mabel włożyła znowu maskę na twarz i stała bez ruchu. Wreszcie zabrała głos:

— Teraz rozumiesz, jaką mam przeciw tobie broń. Gdy zechcą mnie zaprowadzić do Luwru, pamiętaj, iż przed odejściem będziesz musiał mi dać dowód, że Myrtilła i Buridan są wolni. W przeciwnym razie opowiem królowi o twoich niecznych sprawkach, w czasie kiedyś był faworytem Małgorzaty Burgundzkiej, przyszłej królowej Francji.

Valois nie słuchał dalej, wybiegł z celi, wrócił do swych pokoi, padł na fotel i szepnął:

— Jestem zgubiony!

— Może pan hrabia raczy powiedzieć mi, jaka jest przyczyna jego smutku, może uda mi się znaleźć na to lekarstwo? — odezwał się tuż przy nim jakiś głos.

— To ty, Szymonie?

— Tak, jaśnie panie!

— Jesteś sprytny i pomysłowy — mówił gorączkowo Valois — możesz mi istotnie dać dobrą radę. Posłuchaj więc...

Opowiedział swemu wiernemu słudze wszystko, co mu się przytrafiło w więzieniu, a potem dodał:

— Przede wszystkim należy przeszkodzić tej kobiecie w widzeniu się z królem.

Malingre pomyślał, a potem uśmiechnął się.

— Tylko tyle? A więc wielmożny pan może się uspokoić. Zapewniam, że przekłeta czarownica nie zobaczy się z królem nigdy, a to z tej przyczyny, że przedtem umrze. Powie się wtedy każdemu i królowi też, że sprawiedliwość boska wyprzedziła sprawiedliwość ludzką.

— A jak umrze? — zapytał Valois, spoglądając na Malingre'a z podziwem. — Czy udusisz ją w celi?

— Jeśli trzeba, mogę i ja to uczynić. Lecz jest ktoś, kto podejmie się tej egzekucji i wypełni zadanie jeszcze lepiej, spokojniej. Tym kimś będzie Gillonna!

Tymczasem Gillonna udała się do Myrtilli. Dziewczyna, widząc swoją dawną służącą, wydała radosny okrzyk i rzuciła się na jej powitanie z otwartymi ramionami.

— Poczciwa Gillonno!

Kobieta uczyniła tajemniczy znak, zamknęła starannie drzwi i rzekła:

— Nie jestem tą, za którą mnie masz, nie jestem godna twego zaufania. To ja za namową twoich wrogów, za pieniądze hrabiego de Valois ulepiłam figurkę z wosku, która cię zgubiła.

Myrtilła spojrzała z przerażeniem na mówiącą.

— A teraz, gdy się przyznałam do winy, sądzę, że będziesz miała do mnie zaufanie i uwierzysz w mój żal.

Myrtilła przyglądała się Gillonnie, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia.

— Czy podobna, żebyś to uczyniła?

— Tak, zdradziłam cię.
— Co ci zrobiłam złego? — zapytała dziewczyna.
— Ty? Nic! O ile jestem w ogóle zdolna do kochania, kochałam cię, lecz również kocham pieniądze i to stało się przyczyną twego nieszczęścia.
— Powiedz mi więc, dlaczego mnie właściwie wydałaś w ręce wrogów.
— Bo twój ojciec nazywa się Enguerrand de Marigny i śmiertelna nienawiść dzieli go z Karolem de Valois. Jako córka Klaudiusza Lescota byłabyś szczęśliwsza.

Myrtilła zaniósł się płaczem. Gillonna, mimo zapewnienia o miłości dla Myrtilli, patrzyła spokojnie na jej łzy. Teraz chciała przede wszystkim zemścić się na Szymonie Malingrze za strach, jakiego jej napędził, i za ukradzione talary.

— Nie obawiaj się niczego ani ze strony ojca, ani ze strony królowej — rzekła z żywością — nie stąd grozi ci niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwem dla ciebie jest hrabia de Valois. Lepiej by było, gdyby człowiek ten nienawidził w tobie córkę Marigny’ego. Bo miłość hrabiego jest jeszcze straszliwsza niż jego nienawiść. A w tej chwili jesteś, Myrtillo, w jego pałacu.

Dziewczyna wydała straszliwy okrzyk. Zrozumiała dopiero teraz, co jej grozi. Czuła, że uczucie Valois jest dla niej hańbą. Zapomniała o tym, że Gillonna ją zdradziła i że może zdradzić ją powtórnie, myślała tylko o jednym: jak uniknąć zawieszono nad jej głową niebezpieczeństwa?

Gillonna mówiła dalej:

— Chcę ci złożyć dowód mej skruchy. Chcę ci dopomóc i uratować od hrabiego. Otóż jedynym ratunkiem będzie uprzedzenie pana Buridana o wszystkim...

— Tak, gdyby Buridan wiedział, gdzie jestem, zrobiłby wszystko, aby mnie ocalić.

— Właśnie o tym myślałam — rzekła Gillonna. — Powiedz mi tylko, gdzie mogę go zastać, a będzie wiedział o tobie...

— Jeśli jest wolny, zastaniesz go na pewno w pałacu d’Aulnayów przy ulicy Froidmantel.

Zaledwie wyrzekła te słowa, już ich pożałowała. Na pewno Buridan był wolny. Wrogowie przysłali do niej Gillonnę, aby wywiedzieć się sprytnie o jego kryjówce, a teraz ona, jego narzeczona, zdradziła go! Zamilkła nagle i zaczęła się cofać, spoglądając z nieufnością na służącą.

Stara zrozumiała, co się dzieje w jej sercu.

— Nie ufasz mi, to rzecz zrozumiała, przysięgam ci jednak na me zbawienie, że tym razem nie zdradzę cię. Nie obawiaj się. Jeśli odzyskam pana Buridana, uprzedzę go, potem on będzie działać. Jeśli go nie znajdę, będę działać sama. Chcę dopomóc ci w ucieczce. Będzie to nie tylko naprawieniem mojej winy względem ciebie, lecz również uczynię to we własnym interesie.

Ton, jakim wyrzekła te słowa, był tak przekonywający i szczery, że biedna dziewczyna odetchnęła swobodniej.

„Z jaką przyjemnością ujrzę poczciwego Malingre’a piekącego się na wolnym ogniu, jak to zapowiedział hrabia! Myrtilła musi uciec. A kto będzie współnikiem? — Ty, mój poczciwy Szymonie. Co się stanie z małą po opuszczeniu pałacu — to już nie moja sprawa. Dopełnię zemsty i zdobędę pieniądze” — rozmyślała Gillonna.

XIX

KRÓLOWA NUDZI SIĘ

Małgorzata Burgundzka, nie wysuwając nosa ze swych pokoi, była, zdawało się, pogrążona w śmiertelnym smutku. Jedyłą jej rozrywką i jedynymi towarzyszkami były księżniczki Blanche i Joanna.

Król, szczęśliwy, że groźba choroby minęła, wrócił do swych codziennych zajęć, chcąc jednak uczcić powrót królowej do zdrowia, polecił zorganizowanie zabaw ludowych.

Co prawda, jego służący, cieszący się wielkim zaufaniem swego pana, zauważył, że królowa nie była w ogóle chora, a więc nie ma powodu zapraszać ludu na uroczystości z powodu wyzdrowienia, król jednak, który był w bardzo dobrym humorze, odpowiedział:

— Zrobimy to na zapas. Można bawić się w przewidywaniu przyszłego wyzdrowienia królowej, gdyby, co nie daj Boże, miała naprawdę zachorować. A przy tym zbliża się święto błaznów, ty będziesz ich królem. Będzie to kara za to, żeś mruk.

Pomysł urzędnika święta błaznów zachwycił Ludwika X. Zgromadzono radę i zaczęto debatować nad tym projektem jak nad najważniejszą sprawą państwa.

Tymczasem królowa nudziła się, leżąc na szezlongu z zamkniętymi oczami. Uśmiechała się gorzko, przypominając sobie ostatnie wydarzenia. Rozmyślania swe zakończyła szeptem:

— Gautier wyklął mnie. Nie powinnam była pokazywać się na platformie wieży Nesle.

Otworzyła oczy i spojrzała na siostry zajęte haftem.

— Blanche i ty, Joanno, czyście słyszały o tym, te przekleństwo, ogłoszone w szczególnych okolicznościach, może wywrzeć wielki wpływ na życie człowieka, i zmienić jego bieg albo i złamać je?

— O jakim przekleństwie mówisz?

— Wszystko jedno! — rzekła z niecierpliwością. — Nie odpowiadacie na moje pytanie. Och! Szereg pytań tłoczy się w mojej głowie — mówiła półgłosem. — Co się stało z moją córką, z moją rywalką! I z nimi wszystkimi... Ach! Pochwyć tych dwóch...

Zaczęła chodzić nerwowo po pokoju:

— Joanno, Blanche, posłuchajcie mnie. Dopóki ci mężczyźni żyją, wszelki odpoczynek i spokój jest dla mnie niemożliwy... ani dla was.

Obie księżniczki zadrżały.

— Niech bodaj jeden z nich przemówi — ciągnęła dalej a tajemnica wieży Nesle wyjdzie na jaw. A to równa się naszej zgubie! Hańbiącej śmierci w głębi celi więziennej.

Joanna i Blanche spojrzały po sobie. Sprawa ta była również ich tajną udawką. Mniej jednak były wystawione na niebezpieczeństwo niż królowa, bowiem ich mężowie byli daleko. Staraly się uspokoić swe myśli, a przynajmniej ukryć niepokój.

— Musimy ich odnaleźć — postanowiła Joanna. — Gautier muszą zginąć!

— Tak jak poprzedni nasi kochankowie — dodała Blanche ochryplym głosem.

— Rzucono na mnie przekleństwo — szepnęła królowa.

Wszystkie trzy zamilkły, w pokoju zaległa cisza. Weszły dwie służące z damą dworu na czele i wniosły stolik, zastawiony przekąskami. Na dany przez królową znak postawiły stół i odeszły.

— Siadajmy! — rzekła Joanna. — Wina hiszpańskie są najlepszym lekarstwem na nudy!

Zasiadły przy stole, a wkrótce pod wpływem wina oczy ich błysnęły ogniem, a policzki zarumieniły się.

— Ja nie wierzę w przekleństwo — oświadczyła Blanche. — Jakie znaczenie mają słowa? Wiatr je uniesie i po wszystkim!

— To prawda! — zgodziła się Joanna. — A gdyby nawet przekleństwo mogło wyrzucić jakiś wpływ na życie ludzkie, czyż nie warto znieść wiele, jeśli się przeżyło takie chwile jak my. Posłuchaj, Małgorzato, chodźmy do lwów!

— Nie rozumiecie mnie! Gdyby chodziło tylko o przekleństwo bezimienne, skierowane w stronę potężnych tego świata, nie martwiłabym się nim. Lecz człowiek ten przeklął mnie, mnie osobiście...

— O kim mówisz? — zapytały księżniczki z zaciekawieniem.

— Posłuchajcie. Wydałam rozkaz zamordowania braci d'Aulnayów. Myślałam, że wszystko jest wykonane, wysłałam na platformę, a wtedy ujrzałam tego nędznika Gautiera, który mnie przeklął. Od tej chwili nic mi się nie udaje, czuję, że zawisło nade mną niebezpieczeństwo, boję się!

— Szaleństwo! — zawołała Joanna z nerwowym uśmiechem.

— Chimera! — dodała Blanche.

— Król! — zaanonsował służący, otwierając drzwi.

— Widzę, że śmiejecie się! — zauważył król, wchodząc szybkim krokiem do pokoju. — Chwała Bogu! Jesteś już zupełnie zdrowa, droga Małgorzato?

— Zupełnie, sire! — wyjąkała Małgorzata Burgundzka.

— Przychodzę zwiastować ci dobrą nowinę — rzekł Ludwik zadowolony jak dziecko, które cieszy się z przyszłej zabawki. — Będziemy mieli wielkie święto, święto błaznów. Co powiesz o tym?

— Zachwycający pomysł! — rzekła Małgorzata, opanowując wzruszenie.

Księżniczki klasnęły w ręce.

Król zachwycony zamienił z nimi jeszcze kilka słów i skierował się ku drzwiom. W progu zatrzymał się nagle, uderzył się w czoło i wrócił do królowej.

— Wyobraź sobie — powiedział — chciałem sam zbadać pewną czarownicę. Przysięgam na Boga, że uczyniłem to i rozmawiałem z nią zupełnie tak, jak rozmawiam z tobą.

— Cóż za nieostrożność, *sire*.

— Zgadza się z tym. Nie żałuję jednak tej nieostrożności, kobieta ta bowiem powiedziała mi rzecz pierwszorzędno znaczenia.

— Cóż takiego? — zapytała królowa, widząc, że czoło Ludwika zachmurzyło się.

— Oznajmiła mi, że knuje się przeciw mnie zdrada.

— Zdrada?

— Tak. W Luwrze, w moim najbliższym otoczeniu będę zdradzony.

— Zdradzony? To rzeczywiście ważna wiadomość. A czy czarownica wymieniła imię zdrajcy?

— Nie. Byłby już nie żył. Lecz to nie mężczyzna, to ma być kobieta. Czarownica powiedziała mi: „Szukaj dokoła siebie, w Luwrze!”.

— Kobieta? — wyjąkała Małgorzata.

— Czy jesteś pewna swoich dam dworu? Czy między nimi nie należy szukać zdrajcy?

Małgorzata spuściła głowę. Po chwili milczenia szepnęła:

— Będę szukała i znajdę!

Ludwik X odszedł, królowa blada i drżąca zwróciła się do swoich sióstr.

— Czy wierzycie teraz, że ciąży nade mną fatum?

— Co takiego? — przerażona się Blanche. — Przypuszczasz, że czarownica myślała o tobie?

Królowa nie odpowiedziała nic. Zamyśliła się. Chciała zwalczyć pierwsze odruchy lęku, jakie zaczęły budzić się w jej duszy.

— Chodźmy do lwów! — rzekła nagle, potrząsając głową.

Zwykle szła do lwów w otoczeniu dam dworu i rycerzy. Była to rozrywka, w której cały dwór brał udział. Czasem jednak udawała się tam jedynie z siostrami, a nieraz nawet sama. Z najwyższą przyjemnością zbliżała się do klatek z tymi niebezpiecznymi drapieżnikami, niepodobnymi do naszych dzikich zwierząt ze współczesnych menażerii. Nie były to łagodne, półoswojone zwierzęta, były to prawdziwe bestie. Każdemu pogromcy groziła pewna śmierć w ich paszczach. Jej drapieżna natura lubowała się w widoku ich subtelnych a groźnych skoków, w ich rozwartych pyskach i kocich ruchach. Gdy były czasem spokojniejsze, zadaniem Stragilda było podniecać je i drażnić za pomocą ostrych i mocnych widel.

Małgorzata wraz z siostrami wsiadła do lektyki i udała się na ulicę Froidmantel. Powietrze było parne, zanosilo się na burzę. Grzmoty już rozlegały się od czasu do czasu, błyskawice przesywały przesycone elektrycznością powietrze, toteż widły Stragilda były tego dnia zbędne.

Faworyt królowej pośpieszył na jej spotkanie wraz ze swym sztabem dozorców. Stragildo był jakby zarządcą tego dziwnego budynku. Miał pod swym dowództwem dwunastu pomocników, bardzo starannie dobranych przez niego samego. Wszyscy byli bezgranicznie oddani królowej. Cały ten sztab groźnej służby pełnił podwójne obowiązki: jedne urzędowo, drugie tajnie. Urzędowo byli oni pomocnikami Stragilda w dozorowaniu drapieżników, w pewnych jednak okolicznościach stawali się również pomocnikami Stragilda w jego ohydnych obowiązkach w wieży Nesle. Służyli więc dzikim zwierzętom. Służyli też bogini miłości. Byli również pachołkami śmierci.

Małgorzata traktowała ich tak jak swoje lwy. Jak lwy żywili do swej pani uczucie dziwnego przywiązania. Kto wie, czy nie zaznali rozkoszy jej pocałunków? Kto wie, za cenę jakich pieszczot uzyskanych, czy też przyobiecanych, kupiła od nich milczenie, czyniąc ich współnikami swych zbrodni? Służyli Małgorzacie z zupełnym oddaniem. Była ich bożyszczem.

Jeden Stragildo pozostał spokojny, ironicznie zimny i niezależny. Traktował służbę swą jak obowiązek, nic więcej. Należy przy tym przyznać, że obowiązki te pełnił bardzo sumiennie, usiłując przy tym zdobyć jak najprędzej i jak największy majątek.

Małgorzata na widok śpieszących na jej powitanie dozorców wyjęła z kieszeni sakiewkę, cisnęła ją im i rzekła:

— Możecie odejść! Dziś chcę być sama! Używajcie sobie!

Podnieśli pieniądze i rozproszyli się. Większość z nich udała się do podejrzanych szynków na Val d'Amour. Pozostał tylko Stragildo.

Wiemy już, że podwórze, na którym znajdowały się klatki z drapieżnikami, było przedzielone na dwie części.

Można by je nazwać olbrzymimi klatkami, chronionymi grubą kratą,, dostatecznie wysoką, aby żaden lew nie mógł jej przesadzić.

Wiemy również, że okna pałacu d'Aulnayów wychodziły na drugie podwórze. Jedynie królowa i księżniczki miały prawo wstępu na nie. Podeszły właśnie do kraty z grubych, żelaznych prętów.

W dali za drugą przegrodą widać było lwy, biegnące po swych przestronnych klatkach... Biegały, przeciągając się, ziewając, błyskając ognistym spojrzeniem i węsząc.

Stragildo stanął w pobliżu królowej i księżniczek, gotów w każdej chwili wejść do lwów, gdy tylko Małgorzata da znak. Czynił to zawsze z dziwną przyjemnością. Był on nadzwyczajnym pogromcą. Nieraz zdobywał oklaski całego dworu, gdy wypuściwszy lwa na drugie podwórze, trzymał go w szachu, grożąc widłami, a potem nagle

odrzucając widły i trzymając go na wodzy jedynie siłą swego wzroku. Teraz jednak spoglądał na zachmurzone niebo z niepokojem i mruczał pod nosem:

— Oby tylko nie przyszła jej fantazja kazać mi wchodzić do lwów teraz, przed burzą.

Księżniczka Joanna zwróciła się w stronę królowej, która podeszła do klatki i oparła głowę o jej zimne kraty. Joanna spojrzała jej w oczy i zobaczyła, że Małgorzata płacze.

— Płaczesz? — zapytała półgłosem.

— Daj mi spokój! — odburknęła gniewnie.

— Małgorzato — szepnęła Blanche — co cię gnębi?

— Ach! Dajcie mi spokój! Widzicie przecież, że się nudzę! — odpowiedziała królowa, a potem dodała z nerwowym śmiechem: — Zostawcie mnie samą i wracajcie do Luwru.

Siostry spojrzały po sobie niezdecydowanie. Widząc jednak, że nie dadzą sobie rady z uporem Małgorzaty, skierowały się ku wyjściu.

Tymczasem Stragildo pomrukiwał na stronie:

— Diabeł, nie baba! Znowu dziś ją coś napadło, a w takich chwilach jest straszna. Cokolwiek miałoby się stać, jeśli zechce, abym wszedł do klatki, pójdę sobie w świat. Jestem dostatecznie bogaty, aby dbać o własne życie...

— Stragildo — odezwała się w tej chwili królowa — otwórz drzwi!

— Otworzyć drzwi!? Chcesz pani wejść na drugie podwórze?

— Otwórz drzwi, nędzniku! A jeśli jeszcze będziesz gadać, każę ci obciąć język.

Stragildo widocznie był przyzwyczajony do podobnych pogroźek, bowiem nie przejął się nimi wcale. Uśmiechnął się szyderczo, jakkolwiek w uśmiechu tym przebijał również niepokój. Spojrzał kilkakrotnie na czarne zupełnie niebo, potem pomrukując otworzył szerokie, zakratowane drzwi, które kunsztowny mechanizm zamykał za wchodzącym z głośnym trzaskiem.

Słyszając otwierające się drzwi, drapieźniki w klatce zatrzymały się i zwróciły w kierunku ludzi, którzy przyszli im zakłócić spokój. Potem zaczęły ryczeć, a ryk ten połączył się z odgłosami grzmotów.

— Gdzie jest Cyklop? — zapytała królowa, wciągając chciwie powietrze przesycone elektrycznością i zapachem dzikich zwierząt, słuchając w jakimś upojeniu ryku lwów i pomruku grzmotów.

— Pani — rzekł spokojnie Stragildo — radzę pozostawić Cyklopa w spokoju. Choć kraty klatki są grube, nie można za nic ręczyć z takimi zwierzętami.

Królowa, nie zwracając uwagi na słowa dozorecy, stała już przy klatce Cyklopa.

Stragildo wzruszył ramionami i pochwyciwszy grube widły, z krótkimi lecz ostrymi zębami, ruszył powoli za Małgorzatą.

Cyklop było to wspaniałe zwierzę, przywiezione do Francji w ostatnim roku panowania Filipa Pięknego. Nazwano go tak, ponieważ w podróży, wskutek niedopatrzenia dozorców, stracił jedno oko.

Teraz leżał sobie w klatce nieruchomy, jakby rozmyślając o lasach i pustyniach afrykańskich, o straconej na zawsze wolności.

— Cyklop! — zawołała królowa.

Lew zamknął jedyne swoje oko, potem otworzył je, spojrzał na kobietę, która do niego przemawiała, znowu zamknął oko i położył olbrzymi łeb na przednich łapach.

Małgorzata zwróciła się do Stragilda i rzekła:

— Otwórz klatkę Cyklopa.

Stragildo cofnął się o dwa kroki, rzucił na ziemię widły i skrzyżował na piersiach ręce.

— Boisz się? — zapytała.

— Tak.

Małgorzata podniosła widły i zbliżyła się do drzwi klatki.

— Idź precz! — rzekła.

— Pani! Chcesz zginąć?!

— Precz! — warknęła Małgorzata z takim gniewem, że tym razem Stragildo usłuchał. — Wynos się! — mówiła dalej. — Zwalniam cię na godzinę. Jeśli zjawisz się tu wcześniej, zginiesz!

Stragildo odszedł posłusznie. Zamiast jednak opuścić zupełnie domostwo, wszedł do swego mieszkania i ulokował się przy oknie, wychodzącym na podwórkę, z którego to okna przyglądał się zazwyczaj drapieżnikom.

Małgorzata oparła zęby wideł o zasuwę tak, że wystarczało jedno krótkie uderzenie, aby drzwi klatki otworzyły się.

Nagle zagrzmiał głucho grzmot. Czy to początek burzy, czy obecność człowieka podnieciła zwierzę. Lew zaczął biegać po klatce, sadząc potężnymi, zwinnymi susami, potem otworzył paszczę i ryknął straszliwie.

Królowa zbladła i cofnęła się.

— Ją także obleciał strach! — zaśmiał się szyderczo Stragildo, śledząc ją ze swego okna.

Miał słuszność. Małgorzata bała się. Jej pierwotne podniecenie nerwowe minęło. Zadrzała, widząc, że jest tuż-tuż przy dzikim zwierzęciu. Zaczęła się cofać powoli aż na środek podwórza.

— Oszalałam! — szeptała — jeszcze chwila, a wypuściłabym Cyklopa... Dzięki Bogu, że się opanowałam!

W tej chwili z wychodzącego na podwórze okna ktoś wyskoczył. Jakiś mężczyzna znalazł się na podwórzu, podbiegł do zakratowanych drzwi, odsunął wewnętrzne zasuwę, a potem zaczął iść w stronę klatki z dzikim zwierzęciem. Mijając Małgorzatę, powiedział do niej:

— Małgorzato, zginiesz!

Szedł dalej.

Królowa próbowała uciekać, czuła jednak, że przerażenie paraliżuje jej ruchy. Nie był to może nawet jedynie strach przed śmiercią, był to raczej lęk przed tajemniczym losem, który zawisnął nad nią. Lęk przed przekleństwem! Poznała bowiem mężczyznę...

— Gautier! — szepnęła chrapliwym głosem, zdjęta przerażeniem. — Gautier d'Aulnay!

Gautier d'Aulnay stanął przy klatce z Cyklopem. Uderzeniem pięści odsunął zasuwę, drzwi otworzyły się, lew wyciągnął paszczę, zaczął węszyć, ziewnął, ryknął, a potem dał susa na podwórze, zmierzając w stronę Małgorzaty.

XX

BRACIA

Sześciu mężczyzn stało przy oknie pałacu d'Aulnayów i przyglądało się królowej.

— Sama — szepnął głucho Filip.

— Tak, sama! — odpowiedział zimno Gautier, potem mruknął do siebie: — Sama!

Przyszła chwila działania.

Filip zbladł i cofnął się w głąb pokoju. Buridan przygryzł wargi. Król Palestry i cesarz Galilei poczuli jedynie ciekawość.

Gautier podszedł do stołu suto zastawionego, nalał wina, wychylił duszkiem kubek i wybuchnął nerwowym śmiechem.

Filip zbliżył się do niego, ujął go pod rękę i szepnął:

— Bracie...

Ryk grzmotu zagłuszył jego słowa.

— Zamilcz! Wiem wszystko, co możesz mi powiedzieć, lecz nic nie przeszkodzi mi w wypełnieniu mego zamiaru.

Filip szepnął znowu:

— Bracie, błagam o łaskę dla niej.

— Buridan! I wy, przyjaciele! — zawołał Gautier.

Wszyscy zgromadzili się dokoła stołu, rozumiejąc, że między braćmi dojdzie do gwałtownej wymiany zdań.

— Buridan! — powtórzył Gautier. — Czy myślisz, że Małgorzata Burgundzka, królowa Francji, zasłużyła na śmierć?

— Zasłużyła — rzekł Buridan stanowczym tonem.

— Wilhelmie i ty, Riquecie, czy myślicie, że Małgorzata Burgundzka zasłużyła na śmierć.

— Tak! — odpowiedział Riquet. — Jeśli to wszystko, co o niej opowiedzieliście, jest prawdą, na Boga żywego, który przemawia w tej chwili z niebiosów, sam podpalilibym stos i rzucił na niego tę kobietę.

— A ja — dodał Wilhelm — zaszytyłbym ją własnoręcznie, gdyby zaszła potrzeba, nie jest ona bowiem człowiekiem, lecz szatanem, którego każdy dobry chrześcijanin musi zabić.

— A ja — dodał Lancelot — myślę, że jeśli my nie zabijemy tej kobiety, ona zabije nas.

— Czy słyszałeś, bracie? — rzekł Gautier.

Filip padł na ławę i ukrył twarz w dłoniach.

— Pozostaje więc jedynie wykonać wyrok. Niebo nam ją wydało. Jest sama.

Lancelocie, podaj mi mój łuk.

Bigorne pośpieszył spełnić rozkaz, a Gautier podszedł do okna, odsunął zasłonę i uchyliwszy okno, zaczął celować.

Filip, który przyglądał się tym przygotowaniom z przerażeniem, nie mógł już dłużej panować nad sobą.

— Bracie. — jęknął.

— Milcz! — warknął Gautier. — Jest skazana na śmierć... Umrze!

Gdy już cięciwa była napięta, Buridan odsłonił głowę i szepnął:

— Sprawiedliwości stanie się zadość!

Wilhelm i Riquet zdjęli również kapelusze, uśmiechając się jednak szyderczo, co dowodziło, iż w sercach ich nie było ani odrobiny politowania nad losem skazanej.

— Na świętego Barnabę! — mruzczał Lancelot. — Tak wesoło bawiłem się jedynie tej nocy, kiedy chcieliśmy powiesić mego pana, szlachetnego hrabiego de Valois... Och! Och! Pan Filip zwariował!

Istotnie, w chwili gdy Gautier napiął łuk, Filip przyskoczył do niego, roztrącając Wilhelma i Riqueta, którzy chcieli go zatrzymać, wydarł bratu łuk z rąk i połamał o kolana strzały.

— Do diabła! — wrzasnął Gautier. — Chcesz być przyczyną śmierci nas wszystkich?!

— Zabij mnie — odpowiedział Filip ze straszliwym spokojem — zabij, jeśli uważasz, że moja śmierć jest potrzebna dla twego życia. Lecz dopóki żyję, nic się złego Małgorzacie nie stanie.

Gautier spojrział wściekle na Filipa, potem na Buridana, a następnie przeniósł wzrok na Małgorzatę, która wtedy właśnie odesłała Stragilda i podeszła do klatki z Cyclopem. Zamyślił się. Potem, powziąwszy decyzję, wybuchnął straszliwym śmiechem:

— Żegnaj, bracie! Żegnaj, Buridan! Żegnajcie wszyscy! Jeśli już jeden z nas musi koniecznie poświęcić się za innych, jeśli Filip tak ochrania życie Małgorzaty, jeśli jej zgon ma być fatalny dla jednego z nas, dobrze!

Otworzył gwałtownie okno i wyskoczył przez nie.

Przechodząc koło Małgorzaty, warknął:

— Małgorzato, zginiesz! — Sięgnął po sztylet i zaklął:

— Przekleństwo!

Za pasem nie było sztyletu. Było to dzieło nieszczęsnego Filipa. Wtedy wzrok Gautiera padł na Cyclopa. Nagła myśl zaświtała mu w głowie, a okrutna radość zajaśniała na jego, twarzy. Ruszył w stronę klatki. Po chwili drzwi były otwarte, a Cyclop po krótkim wahaniu, wypadł na podwórze.

Otwierając drzwi klatki, Gautier mimo woli zasłonił się nimi, zresztą zwierzę nie zwracało na niego wcale uwagi, pędziło w stronę zdjętej przerażeniem kobiety.

Małgorzata nie krzyczała, lecz jej szeroko otwarte usta były jakby symbolem krzyku, który uwiązał w gardle.

Lew parsknął, najeżył gęstą grzywę, potem błysnął straszliwymi kłami... Skupił się w sobie... Przygotował się do skoku. Nagle zatrzymał się i zaczął się cofać, mrużąc ze strachu i z wściekłości.

Cyclop cofnął się! Cofnął się przed dwoma zębami krótkich stalowych wideł. Widły te trzymał Filip d'Aulnay.

Wyskoczył na podwórze za bratem!

Przez chwilę dwaj przeciwnicy, zwierzę i człowiek, stali na wprost siebie bez ruchu, niemi, mierząc się spojrzeniami.

Zwierzę cofnęło się, może nie tylko przed widłami, lecz i przed straszliwym wzrokiem Filipa. Wkrótce znalazło się w klatce. Filip podszedł do klatki i dziwnie łagodnym ruchem zamknął drzwi. Wtedy dopiero, jakby pozbywszy się strachu, lew przyskoczył do krat, zaczął bić w nie łapami i ryczeć tak głośno, że ryk ten zagłuszał grzmoty.

Filip zwrócił się do Gautiera i szepnął:

— Przebacz mi, bracie!

Gautier obrzucił Małgorzatę pełnym nienawiści spojrzeniem, wzruszył ramionami i odsunawszy brata na stronę, skierował się w stronę pałacu d'Aulnayów, wołając:

— Buridan! Zdaje mi się, że nie Małgorzata jest skazana na śmierć, lecz my. Tak postanowił mój brat.

— Właż — zawołał Bigorne, wyrzucając oknem duży zwój powrozu, po którym Gautier zaczął się wspinać.

Filip spuścił głowę. Łza błysnęła mu w oku i potoczyła się po wybladłych policzkach. Poszukał wzrokiem Małgorzaty. Leżała zemdlona pośrodku podwórza. Uczynił ruch, jakby chciał rzucić się ku niej i porwać w ramiona. Opanował się jednak, odwrócił od niej głowę, podszedł do sznura zwisającego z okna i również wspiał się po nim.

Stragildo przyglądał się ze swego okna całej tej scenie. Otworzył szeroko oczy na widok Gautiera d'Aulnaya, potem wzrok jego błysnął radością. Wypadł ze swego pokoju na ulicę, mrużąc:

— Jeśli on jest w pałacu d'Aulnayów, są tam wszyscy inni! Tym razem nie uciekną mi!

XXI

SKUTKI ZEMSTY GILLONNY

W chwili gdy Gautier wskoczył do pokoju, zapukano do drzwi. Buridan był zbyt przejęty tym, co zaszło, aby zwrócić na to pukanie uwagę, lecz pozostali towarzysze spojrzeli po sobie z przerażeniem.

— Kto to może być?

— W takiej właśnie chwili!

Znowu zapukano do drzwi i jednocześnie rozległ się żalony głos:

— Na Boga! Otwórzcie. Chodzi tu o życie osoby, którą kochacie.

W tej samej chwili Gautier mówił do Buridana:

— Filip nas zgubi, lecz gdybym nawet miał przyczynić się do śmierci mego brata... Gwałtowny ruch dopełnił jego myśli.

— Musimy teraz znaleźć inną kryjówkę — rzekł Buridan. — Gdy Małgorzata wróci do Luwru, możemy się spodziewać wizyty całego roju łuczników.

— Buridan — szepnął Wilhelm Wichura. — Czy nie słyszysz?

Pociągnął Buridana do drzwi, spoza których rozległ się znowu tajemniczy głos:

— Proszę otworzyć! Panie Buridan, proszę otworzyć! To ja, Gillonna! Otwórz, jeśli chcesz ocalić Myrtillę!

W mgnieniu oka odryglowano drzwi. W progu stała Gillonna.

Bigorne wyjrzał na schody i upewnił się, że były puste.

— To ty, Gillonno?

— Tak, to ja, panie Buridan. Uciekłam z niewoli. Bóg jeden wie, ile mnie to kosztowało trudu, lecz moje przywiązanie...

— Gadaj, stara jędzo, gadaj wyraźnie! Gdzie jest Myrtilla? Gadaj, podejrzewam bowiem, że jesteś nie tylko ofiarą, ale i współniczką gwałtu.

— Ja, współniczką! — pisnęła płaczliwym głosem Gillonna, starając się jednocześnie przyjrzeć wszystkim obecnym. — Przysięgam na wszystkich świętych...

— Gdzie jest Myrtilla? — powtórzył ze wściekłością Buridan, potrząsając starą za ramiona.

— U hrabiego de Valois...

— U hrabiego de Valois?! — szepnął Lancelot. — Fatalnie! U ojca Buridana! To się musiało stać!

Buridan nie posiadał się z radości, zapomniał o wszystkim. Zaczął wypytywać Gillonę, która opowiadała długo i rozwlekle o swych przygodach, przypisując zdradę nie sobie, lecz Szymonowi Malingre'owi.

— To Szymon czuwa nad pańską nieszczęśliwą narzeczoną, która płacze i ciągle mówi o panu. Jeśli jednak znajdzie się pan dziś o północy przy małej furtce pałacowej od strony ulicy św. Antoniego, ktoś otworzy panu tę furtkę i zaprowadzi do Myrtili.

— Kto to uczyni? — zapytał Buridan. — Czy ty? Bądź pewna, że nie minie cię nagroda.

— Nie chcę nagrody — rzekła Gillonna. — A kto otworzy, to nie jest ważne. Najważniejsze, żebym wiedziała na pewno, o której pan przybędzie...

— Powiedziałaś o północy?

— O północy: Wszystko będzie gotowe...

Gillonna uśmiechnęła się złowrogo, a uśmiech ten był przeznaczony dla Szymona Malingre.

— Panie Buridan — rzekła — muszę dodać, że ktoś będzie na pewno przy małej furtce i otworzy panu, gdy zapukasz trzy razy. Lecz gdyby nawet udał, że nie rozumie, czego chcesz od niego, wystarczy przyłożyć mu ostrze szpady do szyi. Poprowadzi pana. Oto, co chciałam dodać... A teraz muszę iść, aby nie zauważono mojej nieobecności.

Złożyła ukłon, podbiegła do drzwi i zniknęła.

— A to ci dopiero! Buridan urodził się w czepku — rzekł Riquet. — Ja nigdy nie zaznałem szczęścia, spodziewam się więc, że Buridan podzieli się nim ze mną!

— Wam, drodzy przyjaciele, będę je zawdzięczał — zawołał upojony radością Buridan.

— A skąd możemy wiedzieć, że to nie jest zasadzka? — wtrącił się Gautier.

— Bracie, masz słuszność — dodał Filip, który wrócił już do pokoju tą samą drogą co Gautier: — Tak, przyjacielu — mówił dalej — zdaje mi się, że ta kobieta chce wciągnąć cię w zasadzkę. Lecz gdyby nawet istniała tylko szczypta prawdy w jej słowach, musimy udać się dzisiaj tam, dokąd ona nam radzi.

— Umówmy się więc i podzielmy nasze role.

— Uwaga! — zawołał Bigorne stłumionym głosem.

Wszyscy skoczyli do pustego przedsionka, w którym trzymał straż Bigorne. Usłyszeli stłumiony szmer i odgłos kroków.

— Co się dzieje? — zapytał Filip spokojnie.

Gautier przyskoczył do okna wychodzącego na podwórko.

— Co się dzieje?! — zawołał. — Ano to, że ta diablica Małgorzata wysłała po nas żołnierzy. Wszyscy zginiemy na szubienicy. Buridan nie będzie mógł ocalić Myrtili, a to dlatego, że panu Filipowi d'Aulnayowi spodobało się zakochać w ukoronowanej nierządniczy.

— Bracie — rzekł głucho Filip — jeśli wyjdziemy stąd cało, zdasz mi sprawę z obelg, jakie rzucasz na jej królewską mość, królową Francji.

— Tego się obawiałem! — szepnął Buridan. — Och! Małgorzato, ze wszystkich twych zbrodni — ta jest chyba największa!

— Baczność! — krzyknął znowu Bigorne.

— Otwierać! — rozległy się głosy na schodach.

Okrzykom tym towarzyszył szcęk lanc i halabard.

— W imieniu króla! — rzekł drugi głos, przekrzykując gwar.

Wichura i Riquet parsknęli śmiechem.

— To on! — powiedział Wilhelm.

— To nasz poczciwy prefekt — dodał Riquet.

Wkrótce uderzenia lancami wzmogły się, drzwi wyleciały z trzaskiem z zawiasów. Do pokoju wdarli się łucznicy.

— Naprzód! — krzyczał Jan de Precy, wiodąc za sobą oddział łuczników.

— Bij! Zabij! — darli się łucznicy.

— Nie! — rozległ się potężny głos. — Brać ich żywcem!

Był to Enguerrand de Marigny.

— Ojciec Myrtili! — szepnął Buridan.

Marigny skinął na łuczników i prefekta. Wszyscy zatrzymali się w miejscu. Napadnięci stali na drugim końcu sali. Wśród nich nie było jedynie Lancelota. Zniknął.

Marigny dał znak i prefekt miasta Paryża zaczął czytać:

— Janie Buridan, Filipie i Gautierze d'Aulnay oraz Wilhelmie Wichura i Riquecie Haudryot, znani jako cesarz Galilei i król Palesty, w imieniu króla jegomości ja, Jan de Precy, prefekt miasta Paryża, ogłaszam was wszystkich za zdrajców i buntowników. Oznacza to, że bez procesu i bez sądu będziecie pochwyteni i odstawieni na Montfaucon, aby tam ponieść karę śmierci, jak na to zasłużyliście. Z łaskowości naszego króla i pana dane wam będzie dziesięć minut na spowiedź i na żal za grzechy, jeśli w ogóle spowiednik uzna was za godnych dostąpienia tej łaski. Potem zostaniecie powieszani za kołnierz i będziecie tak wisieć, aż śmierć przetnie wątek waszego życia. A teraz powiedźcie, czy poddajecie się, czy też mam wydać rozkaz pojmania was.

— Uważaj, kochasiu, abym ja nie przypuścił szarży do twego kałduna, ty diabli pomocie — wykrzyknął zjadliwie Riquet, potrząsając swym sztyletem.

— Niech cię powieszają, ty nicponiu, lecz nie za kołnierz, jak na przyzwoitego człowieka przystało, a za nogę jak najpodlejszego ze złodziei! — zaklął Wilhelm Wichura.

Buridan przyglądał się Marigny'emu badawczym spojrzeniem. Pierwszy minister podniósł rękę, nakazując łucznikom milczenie i sam z kolei zabrał głos:

— Panowie d'Aulnayowie i wy, panowie Wichura i Haudryot, skazani przez sąd królewski, jesteście z łaski naszej królowej ułaskawieni. Uzyskała ona od króla podpisanie wyroku, mocą którego winy wasze zostają wam przebaczone. To jeszcze nie wszystko! — dodał po chwili. — Panowie d'Aulnayowie, otrzymaliście całkowite przebaczenie waszych win i wolność. Jednocześnie przywraca się wam prawo do waszych posiadłości, a każdy z was dostanie dwadzieścia tysięcy talarów pod jednym wszakże warunkiem, że opuście niezwłocznie Paryż, i to pod silną eskortą, która odprowadzi was o trzy mile poza miasto. Wilhelmie Wichura i Riquecie Haudryot, jesteście, jak już mówiłem, wolni... Wszystkie prawa i przywileje pozostają przy was bez żadnych zastrzeżeń. Panowie strażnicy, pozwólcie przejść tym, których ułaskawiła królowa.

Oddział łuczników rozstał się, tworząc przejście.

— Chodź, Buridan — zawołali cesarz i król. — Czy nie słyszysz, że jesteśmy wolni?!

— Hola! — zatrzymał ich Jan de Prścy. — O Buridanie nie było żadnej mowy.

— Widzisz, Filipie, jak twoja dziewczka łży nas! — syknął Gautier. — Uważa nas za zdolnych do opuszczenia naszego przyjaciela Buridana w ciężkiej potrzebie kosztem ocalenia naszego życia.

Filip nic nie odpowiedział, jednak jego kurczowo zaciśnięte palce zdradzały ogromne napięcie nerwowe. Cierpiał straszliwie na myśl, że królowa mogła go posądzić o podłość.

— Jak to nie było mowy o Buridanie?! — zawołał Wilhelm Wichura. — A o kim w takim razie może być mowa?!

— Za kogo nas masz, ty prefekcie z piekła rodem? Za Turków czy Maurów? Drogo zapłacisz tym razem za twą bezczelność, drożej niż te marne dwieście talarów w złocie!

— Dwieście talarów? W złocie? — szepnął zdumiony prefekt. — Czy to nie wy przypadkiem byliście tymi łotrami, którzy ograbili mnie z mojej własności!

— Zdecydujcie się — rzekł Marigny — jeśli chcecie ujść z życiem, jeśli zamierzacie skorzystać z ofiarowanej wam wolności — wychodźcie. Jeśli zaś zostanieie, czeka was śmierć!

— Śmierć! I pan waży się w naszej obecności grozić komukolwiek śmiercią! Przecież wiemy i tak o tym, że jesteś mordercą! Ty, który wymordowałeś całą naszą rodzinę, grozisz teraz nam! Strzeż się jednak! Oby cierpliwość niebios nie wyczerpała się! Podobno czekasz na inaugurację twego ohydneho dzieła, twej szubienicy na Montfaucon... Czekasz na jakąś godną tej uroczystości ofiarę... Pilnuj się! Obyś tym godnym delikwentem nie został sam!

— Brać ich! Brać natychmiast — rzucił rozkaz Marigny.

— Bij! Zabij! — zawołali łucznicy.

Rzucili się w głąb pokoju. W tej samej jednak chwili kilku z nich padło trupem. Inni zatrzymali się.

Jednocześnie Buridan, dwaj bracia, Wilhelm i Riquet wycofali się do sąsiedniego pokoju, to jest do sali, której oko wychodziło na Iwie podwórko. Buridan zamykał odwrót. Jego długa i ciężka szpada zataczała koła, półkoła, biła, kłuła, a za każdym jej poruszeniem kolejny napastnik padał na podłogę. Wściekłym spojrzeniem szukał Marigny'ego.

Walczyli zaciekle. Tylko Filip stał nieruchomy. Skrzyżował ręce na piersiach i myślał: „O, śmierci! Bądź mi pożądaną wybawicielką!”

Gautier walczył jak lew, jednocześnie lżył swych wrogów w okropny sposób.

— Broń się, Janie de Precy! — zawołał Buridan. — Zaraz przyjdzie kolej na Marigny'ego!

Prefekt wycofał się z walki zalany krwią. Dwóch łuczników wyprowadziło go z sali.

Marigny, posępny i milczący, z niekłamanym podziwem spoglądał na tego, którego kochała jego córka. Nienawidził go jednak z całej duszy. Człowiek ten bowiem okrył go hańbą w obliczu całego Paryża już dwukrotnie.

— Naprzód, teraz nasza kolej! — zawołali Wilhelm i Riquet.

Przeszło połowa spośród napastników leżała już na kamiennych płytach posadzki, inni zaczęli się cofać.

Marigny podniósł do ust gwizdek, na którego dźwięk zatupotały po schodach nogi nadbiegających posiłków. Po paru chwilach kilkudziesięciu łuczników mających na piersiach herby Marigny'ego wdarło się na salę i rzuciło na obłożonych. Spotkał ich jednak srogi zawód. Buridan i jego przyjaciele zniknęli z sali.

W chwili gdy ludzie ministra weszli na schody, Lancelot Bigorne, ukryty dotąd w sąsiedniej sali, wypadł stamtąd, porwał Gautiera za ramiona i pchnął go w głąb pałacu. Za jego przykładem poszli Wilhelm i Riquet, którzy pociągnęli przemocą Buridana. Drzwi zostały zamknięte i zastawione olbrzymim kufrem, na który zwalono cały stos mebli.

— Oto nasz fort — powiedział Bigorne — a to zapasy żywności, tu zaś droga do odwrotu.

To mówiąc, wskazywał kolejno na stos mebli, na stół zastawiony jedzeniem i na okno wychodzące na podwórze.

Buridan uśmiechnął się i położył na stole swą zakrwawioną szpadę. Filip usiadł obojętnie na uboczu, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje dokoła niego. Gautier,

Wilhelm i Riquet odwrócili się w stronę stołu — z piersi ich dobył się potrójny okrzyk radości.

— Niedawno ucztowaliśmy — rzekł Gautier — lecz to jeszcze nie powód, abyśmy nie czuli głodu.

— Dostateczny to również powód, żeby mieć pragnienie — dodali inni.

Za drzwiami słychać było ostry głos Marigny'ego wydającego rozkazy. Potem rozległy się okrzyki żołnierzy, wreszcie pierwsze uderzenia w drzwi.

Wilhelm, nie zwracając na to uwagi, utracił szyjkę butelce wina i zaczął napełniać nim kubki. Gautier tymczasem zabrał się do ćwiartowania pieczonej gęsi, używając do tego zakrwawionej szpady Buridana.

Zasiedli do jedzenia.

— Bigorne, przysługuje ci prawo do tego udka — zawołał Gautier. — Buridan, weź to skrzydełko. A mój brat Filip nie potrzebuje nic, bo żyje miłością.

Buridan nie był głodny, lecz czuł pragnienie, zaczął więc pić. Bigorne pożerał podane sobie udko, mrużąc pod nosem:

— Mam co prawda pełen brzuch, ale nie wiem, kiedy i co będę jadł na kolację, trzeba być przezornym i zjeść dwa śniadania.

— O północy — odezwał się Buridan — musimy być w pałacu Valois. Nie zapominajmy o tym.

Tymczasem oblegający wciąż dobijali się do drzwi. Wreszcie strzaskane drzwi otworzyły się na oścież. Spoza góry zwalonych na siebie w nieładzie mebli ukazały się wściekłe twarze napastników.

— Panowie — rzekł Buridan, podchodząc do barykady.

Marginy gestem nakazał żołnierzom milczenie.

— Panowie — mówił dalej Buridan — moi przyjaciele i ja mamy różne interesy na mieście, musimy się umówić porozumieć. Czy nie będziecie łaskawi przez kilka bodaj minut zachować milczenie, abyśmy mogli spokojnie dogadać się ze sobą?

Wybuchły okrzyki wściekłości i obelżywe słowa.

— Cóż za piekło? Gorzej niż na jarmarku! — wrzasnął Wilhelm.

Słowa te wywołały nowy grad wyzwisk, przyjętych przez obleżonych z wielkim spokojem.

— Janie Buridan — rzekł pierwszy minister — wezwę cię do odpowiedzialności za godzinę. Do tego czasu pozostawimy cię w spokoju, lecz potem, staniesz przed sądem królewskim.

— Marigny — odpowiedział Buridan — wzywam cię do odpowiedzialności za miesiąc, lecz potem staniesz przed sądem boskimi

Zapadła noc. Sala, w której znajdował się Marigny i jego ludzie, została oświetlona pochodniami. Sąsiedni pokój tonął w mroku.

Marigny rozmyślał — ktoś może zgadnąć o czym. W każdym razie upłynęła nie godzina, jak to zapowiedział, lecz trzy, a pierwszy minister nie dawał swym żołnierzom rozkazu do ataku. Żołnierze już się zaczęli niecierpliwić i kłąć po cichu. Marigny ciągle milczał. Wreszcie jakby się zbudził z długiego snu, obrzucił swych ludzi orlim spojrzeniem i zawołał:

— Skończyć z tymi buntownikami!

Na te słowa łucznicy ruszyli zwartą ławą na barykadę.

— Naprzód! — zawołał Buridan.

Wszyscy prócz Wilhelma dobyli szpad i zaczęli walczyć z napastnikami. Tymczasem Wilhelm zsunął się po sznurze na podwórko. Za jego przykładem poszedł następnie Gautier. Przy barykadzie zostało tylko czterech obrońców. Gdy przyszła kolej na Filipa, olbrzymi kufer, stanowiący podstawę barykady, został strzaskany

uderzeniem topora, fotele ustawione na nim rozleciały się na wszystkie strony, a oblegający wydali okrzyk zwycięstwa.

Riquet i Bigorne opuścili salę jeden po drugim.

— Teraz pańska kolej! — zawołał Bigorne, chwytając za sznur.

— Mam czas — odpowiedział Buridan, zadając śmiertelny cios jeszcze jednemu z napastników.

W tej samej chwili ostatni rząd nagromadzonych mebli padł zdruzgotany i napastnicy wdarli się na salę. Na ich zwycięski krzyk Buridan odpowiedział szyderczym śmiechem i wyskoczył oknem. Już zza okna rozległ się jego okrzyk.

— Marigny! Pamiętaj, że wezwałem cię do odpowiedzialności na Montfaucon.

Marigny wychylił się i ujrzał cień ludzki szybko zsuwający się po sznurze.

— To czart, nie człowiek — szepnął, zgrzytając zębami. — Nie o tak łagodnej śmierci marzyłem dla ciebie, lecz nie mam wyboru.

Dobył sztyletu i z błyskawiczną szybkością przeciął sznur. Wychylił się jeszcze bardziej nasłuchując, czy z ciemności nie dojdzie do jego uszu krzyk człowieka rozbijającego sobie czaszkę o kamienne płyty podwórza. Usłyszał jednak jedynie mrukliwy głos Gautiera, który sapnął:

— Uff!

Sznur co prawda pękł, lecz Buridan znajdował się w owej chwili zaledwie o parę stóp od ziemi. Spadł na kark Gautierowi, który burknął:

— Co robisz na moim karku?

— Potrzebuję drabinki, bo sznur okazał się zbyt krótki — odpowiedział Buridan. Z tymi słowami zeskoczył z karku Gautiera na ziemię.

Teraz wszyscy rzucili się do kraty pierwszego podwórka, które przebiegli z błyskawiczną szybkością. Znajdujący się na podwórku dozorczy zadawali sobie pytanie, czy to nie dzikie zwierzęta wyrwały się z klatek. Gautier przyskoczył do pierwszego, Wilhelm przyduśił drugiego, Buridan ścisnął trzeciego za gardło i rzekł:

— Jeśli ci życie miłe, otwórz nam szybko bramę, mamy bowiem umówioną schadzkę.

Istotnie, olbrzymia, gruba krata oddzielała podwórze od ulicy.

— Słucham, wielmożny panie! — odparł dozorca zduszonym głosem.

Buridan powlókł służącego do bramy. Zgrzytnęły zasuwki i rygle, brama otworzyła się, wszyscy uciekający znaleźli się na ulicy.

Nagle od strony Luwru napłynął wzmagający się z każdą chwilą hałas. Tłum uzbrojony w pochodnie zalał ulicę. Na jego czele biegł mężczyzna, który widząc otwierającą się bramę budynku lwów, zrozumiał widocznie, co się stało, zaklął bowiem dziko i zwracając się do kapitana de Trencavela, zawołał:

— Nie ma sensu iść dalej, dzikie zwierzęta uciekają! Drapieżniki! Patrzcie, jak wieją.

Owym mężczyzną był Stragildo.

— Jak to dzikie zwierzęta uciekają?! — wykrzyknął kapitan przerażony. — Hola, koledzy! Bacność! Będziemy musieli zmierzyć się z lwami jego królewskiej mości!

— Nie! — odpowiedział Stragildo, wzruszając ramionami. — Gdyby to były tylko lwy, nie powiedziałbym o nich, że są drapieżnikami.

Trencavel spojrział na niego zdumiony, nic nie rozumiejąc, a Stragildo wszedł na podwórze budynku, pomrukując:

— Ten głupiec Marigny pozwolił im uciec. Zdaje mi się, że pora już, abym pomyślał o udaniu się pod bardziej łaskawe niebo. Kto otworzył bramę? — dodał zimno, zwracając się do dozorców, zgromadzonych na podwórku i pełnych przerażenia.

— Ja! — odpowiedział jeden z nich. — Byłem zmuszony przez...

Nieszczęsny nie miał czasu dokończyć zdania. Stragildo dobył zza pasa krótki sztylet i pchnął nim biednego dozorcę w pierś. Nieszczęsny padł jak kłoda, drgnął kilka razy i wyzionął ducha.

— To was nauczy, jak macie słuchać moich rozkazów, które są rozkazami królowej! — syknął złowieszczo Stragildo. — Zabrać trupa tego głupca! W którą stronę udali się uciekający?

Jeden z dozorców, cały drżący, wskazał w kierunku Hal.

XXII

PAŁAC VALOIS

Biła północ, gdy sześciu towarzyszy po pośpiesznym marszu stanęło na placu Greve.

— Spóźnimy się! — szepnął Buridan, nie ustając w biegu.

— Stój! — zawołał jakiś głos w ciemnościach.! — Kto idzie?!

Buridan parł w milczeniu naprzód ze spuszczoną głową. Rozległy się krzyki, wołania i wrzask... Sześciu przyjaciół przedarło się przez oddział straży miejskiej, który zastąpił im drogę.

— Jeden, dwóch, trzech, czterech, sześciu! — rachował Bigorne. — Żaden nie uszedł z życiem. A jednak i w pierwszej, i w drugiej potyczce mogliśmy postradać nasze głowy. Co pan na to, panie Filipie?

— Jestem przekonany, że w trzeciej potyczce, do której dojdzie niebawem, przynajmniej jeden z nas pożegna się z życiem.

— A któż, to będzie, jeśli wolno zapytać? Chciałbym bardzo wiedzieć, bo gdybym to ja miał być, chciałbym przynajmniej wypowiedzieć się przed śmiercią. A ponieważ nie mam spowiednika w kieszeni, na pana, panie Filipie, spadnie obowiązek wysłuchania spowiedzi dobrego chrześcijanina.

— Ten, który zginie — rzekł Filip — nie potrzebuje spowiednika.

— Ach! I któż to jest? — zapytał Bigorne.

— Ja! — odpowiedział Filip.

Biegli dalej już w milczeniu, Bigorne jednak myślał: „Biedny młodzieniec! A jednak miłość ogłupia ludzi! Nie jest jeszcze zupełnym wariatem, lecz już niewiele do tego mu brakuje”.

Stanęli przed furtką, o której wspominała Gillonna. Buridan zapukał trzy razy, jak to było umówione.

Gdy Gillonna wróciła do pałacu Valois, udała się do mieszkania Szymona Malingre’a. Siedział przy stole i spoglądał z zaciekawieniem na butelkę, potrząsając nią od czasu do czasu.

— Jak to dobrze, że cię widzę — rzekł na, widok wchodzącej. — Posłałem nawet po ciebie, droga narzeczono, muszę ci bowiem zakomunikować wolę pana hrabiego.

Gillonna spojrzała na niego badawczo i zapytała:

— O co chodzi?

Malingre podniósł trzymaną w ręku butelkę na wysokość oczu, a potem pogwizdując jakąś melodię, zaczął przyglądać się jej zawartości bardzo uważnie. Wreszcie zaśmiał się.

— Chcesz zrobić majątek... Otóż twój majątek jest w tej butelce. — Zaśmiał się znowu jakimś ohydny, nieprzyjemnym śmiechem.

Gillonna spojrzała na niego i pomyślała: „Wkrótce ja będę się śmiała”.

— Widzisz tę butelkę, najdroższa? — zapytał Malingre. — Kupiłem ją na ulicy św. Marcina od handlarza ziołami, gdzie bywałem już nieraz.

— Czy jest w niej trucizna? — spytała zimno Gillonna.

— Zgadłaś — odparł Malingre, ciągle z tym samym szatańskim uśmiechem.

— A dla kogo?

— Dowiesz się o tym, droga przyjaciółko. W podziemiach w Tempie znajduje się w tej chwili pewna kobieta... Znasz ją. To ta sama, która mieszkała w Nawiedzonym Domku na cmentarzu des Innocents.

Gillonna, słysząc te słowa, przypomniała sobie jednocześnie wszystkie swe urazy i to, jak Szymon wyłudził od niej potrzebne informacje.

— Ach! — domyślił się Malingre. — Widzę, że jeszcze nie możesz mi darować tego, co zaszło. Mylisz się. Działiałem równie dobrze w twoim interesie, jak i w moim, mamy się przecież pobrać. Już jesteś w łaskach u hrabiego. Powierzył ci czuwanie nad tą smarkatą, chce ci również zlecić...

— Otrucie starej — odpowiedziała Gillonna z tym samym spokojem.

— Nie znam kobiety inteligentniejszej od ciebie, Gillonno — zaśmiał się szyderczo Malingre. — Weźmiesz więc ten flakonik, udasz się do Tempie, wejdiesz do jej celi, a reszta to już twoja rzecz.

Gillonna zamyśliła się. Ta okoliczność, pozwalająca na opuszczenie na jakiś czas pałacu sprzyjała jej zamierzeniom. Była teraz pewna, że trzyma w ręku Szymona. Uśmiechnęła się więc, schowała flakon i rzekła:

— Dobrze, za dwie godziny ta kobieta umrze.

Mimo całej zatwardziałości serca Malingre wzdrygnął się. Spoglądał przez chwilę na kobietę, która tak na zimno wydała wyrok śmierci.

— Gillonno, zapewniam cię, że mimo wszystkich naszych nieporozumień stosunki nasze zakończą się jak najpomyślniej.

— Tak! — rzekła Gillonna. — Będzie z nas wspaniała para!

Malingre przyłożył palec do nosa, co było u niego oznaką głębokiej zadumy. Myślał: „Ta Gillonna jest sprytniejsza ode mnie. Muszę się jej pozbyć. Jeśli ja jej nie zniszczę, ona zabije mnie”.

— Gillonno — rzekł głośno — będziesz pływała w złocie. Przystąpiłem do urzeczywistnienia naszego wielkiego planu, widziałem się z Lancelotem Bigorne. Ujawnimy przy pomocy Lancelota, że Buridan jest synem hrabiego de Valois, a wtedy... — Powoli powstał z miejsca. Twarz jego zmieniła się nie do poznania, małe mrugające oczka zaczęły rzucać płomienie. Głosem nabrzmiałym chciwością dodał: — To już nie kilka nędznych talarów zarobimy. To cały majątek Valois' przejdzie przez nasze ręce, przez twoje ręce! Czy słyszysz? Pragnę być bowiem twoim sługą, twoim oddanym małżonkiem. Wiesz przecież, że cię kocham.

Na początku tego przemówienia Gillonna wsłuchująca się bacznie w intonację głosu Malingre'a uwierzyła przez chwilę w szczerą jego słów. Poważnym błędem, jaki popełnił, było owo miłosne nieszczerze wyznanie. Straciła wiarę w jego słowa, odpowiedziała jednak spokojnie:

— Dobrze wiem, że mnie kochasz i jak mnie kochasz. Toteż ugoda nasza stoi i chcąc dać ci dowód mego zaufania, powierzam ci opiekę nad Myrtilłą aż do chwili mego powrotu z Tempie. Wiesz przecież, że pod groźbą śmierci nie wolno mi wtajemniczać nikogo w to, gdzie jest zamknięta dziewczyna. Otóż ty dowiesz się o tym.

Skierowała się ku drzwiom.

„Wpadła w me sidła!” — szepnęła Malingre w duchu.

— Drzwi, których dotknę palcem w przejściu, będą to drzwi od jej pokoju. Pamiętaj jednak, że gdyby pan hrabia dowiedział się, że zdradziłam ci tajemnicę, zginę. Idź za mną w pewnym oddaleniu.

Przeszła szybko przez podwórze i skręciła do nie zamieszkanego skrzydła pałacu. Weszła schodami na górę, na korytarz i przechodząc koło jednych drzwi, dotknęła ich lekko palcem. Potem zeszła na dół i skierowała się do niskiej furtki, położonej za budynkiem przeznaczonym na mieszkanie dla łuczników. Przy furtce Gillonna zatrzymała się. Malingre podszedł do niej.

— Widziałeś drzwi, których dotknęłam. To pokój Myrtili. A teraz posłuchaj! Idę do Tempie i wrócę o północy. Ty zajmujesz się moimi interesami, sprawiedliwe będzie więc, abym ja pomyślała o twoich. Mam pewien pomysł: Jeśli się on ziści, nie będziesz potrzebował już więcej zabiegać o drobne zarobki.

— Cóż to za pomysł? — zapytał Szymon, myśląc jednocześnie, że przed zabiciem Gillonny należy wydrzeć jej wszystko, co się da.

— Dowiesz się, gdy powrócę z Tempie.

— To znaczy o północy? |

— Tak, o północy. Czekaaj przy tej furtce. Zapukam trzy razy, otworzysz mi, a wtedy będziemy mogli swobodnie porozmawiać. Miejsce jest ustronne, nie potrzebujemy obawiać się szpiegów.

Z tymi słowami oddaliła się. Malingre zamknął furtkę i pogrążył się w myślach.

— O północy? Tu? — szepnął. — Będę. Co ona może mi powiedzieć? Ano, zobaczymy.

Gillonna przeszła brzegiem fos pałacowych, a do jednej z nich wrzuciła flakon z trucizną, wręczony jej przez Malingre'a. Szła, śmiejąc się po cichu, szczęśliwa z kawału, jaki przygotowała Malingre'owi. Stała w Różowej Zagrodzie. Domek pozostał nie zamieszkanym, nic się w nim jednak nie zmieniło. Weszła do głównej sali, usiadła na stołeczku w ciemnościach, ukryła twarz w dłoniach i pogrążyła się w myślach.

Czas płynął. Na pobliskiej wieży wybiła jedenasta. Gillonna przeczekała jeszcze kilka minut, potem podniosła się, szepcząc:

— Już czas. Czas wytłumaczyć panu hrabiemu, jak Malingre zdradza go. Sprowadzę hrabiego do pałacu, a wtedy mój drogi Szymon zostanie zaskoczony zniemacka, w chwili gdy prowadzić będzie Buridana do Myrtili. Ja zaś przybędę w samą porę, aby zemścić się na mym czcigodnym narzeczonym.

Gdy wybiła północ, Szymon Malingre stał przy niskiej furtce, wyczekując na sygnał Gillonny. Upłynęło jeszcze kilka minut.

— Czemu ta baba nie przychodzi? — szepnął. — Kto wie, czy nie zdrwiła ze mnie, czy nie knuje jakiejś zdrady?

Rozległo się trzykrotne pukanie do furtki.

— Jest — rzekł do siebie Malingre.

Otworzył. Stał zdumiony — zamiast Gillonny weszło sześciu mężczyzn, zamykając za sobą furtkę.

— Do mnie! Na pomoc! — zawołał Malingre.

Nie zdążył wykrzyknąć nic więcej. Szeroka dłoń Wilhelma Wichury złapała go za gardło, druga ręka spadła jak młot na plecy i przygięła go do ziemi. Jednocześnie Buridan przyłożył mu do piersi sztylet ze słowami:

— Jeszcze jedno słowo, a zginiesz.

— Już milczę — zacharczał Malingre, dusząc się.

— Dobrze. Puść go, Wilhelmie.

Malingre zdumiony przyglądał się otaczającym go ludziom.

— Tak przyjmujesz przyjaciół? — zapytał go jakiś szyderczy głos. — Złożyłeś mi wizytę u Noëla Połamańca w jego osławionym szynku. Ja rewizytuję cię w pałacu Valois, w zakładzie jeszcze bardziej sławnym. Czy może być coś naturalniejszego?

— Lancelot Bigorne! — szepnął Malingre nieco pewniejszym głosem, przypuszczał bowiem, że ta dziwna przygoda jest skutkiem rozmowy, jaką miał z nim w traktierni przy ulicy Tirevache.

— Gdzie jest Gillonna? — zapytał ostro drugi głos.

— Pan Buridan! — szepnął Malingre tym razem naprawdę przerażony.

— Gdzie jest Gillonna? — powtórzył Buridan. — Mów, jeśli nie chcesz zapoznać się z moim sztyletem.

— Znajomość bardzo przyjemna — rzekł Bigorne szyderczo — jakkolwiek stal w brzuchu nie jest zbyt pociągającym posiłkiem. A więc mów, i to prędko. Jeśli chcesz jednak, abyśmy cię ukatrupili, nie krępuj się. Jako dobry przyjaciel wysłucham twej ostatej woli, jestem bowiem również dobrym chrześcijaninem jak ty.

— Czy będziesz cicho, ty pyskaczu? — warknął Wilhelm.

— Panowie — zajęczał Malingre — moi poczciwi panowie! Nie wiem, o co chodzi!

— Dosyć! Prowadź nas do Myrtilli.

— Do Myrtilli — szepnął Malingre, ocierając czoło z potu. — Teraz już rozumiem wszystko! Ta stara przygotowała mi ładny pasztet! Ulitujcie się!

— Masz minutę do namysłu — rzekł Buridan groźnym tonem.

Szymon Malingre zrozumiał, że nie ma wyboru, zwłaszcza że uczył na szyi zimną stal. Zdecydował się zatem.

— Jestem posłuszny! Chodźcie, moi panowie!

— Prowadź! — rozkazał Buridan. — Bigorne, idź przy nim.

— Ruszaj, stary kamracie! — mruknął Bigorne, biorąc Szymona pod rękę. — Ten Buridan jest prawdziwym brutalem, nie zna się na delikatności. To nie to, co my. Rabowaliśmy, kradliśmy, podpalaliśmy, a wszystko cicho i gładko. Nikt z tych, którzy mieli z nami do czynienia, nie skarżył się na nas. Mam cię zabić! Na świętego Barnabę, nic się nie bój. Nawet nie poczujesz.

Tak paplając, Bigorne szedł za Malingre'em w stronę pokoju, w którym była zamknięta Myrtila.

— Tu — wskazał Szymon.

— Otwórz! — rozkazał Buridan.

— Nie mogę tego uczynić, tylko Gillonna ma klucze.

— Myrtillo! — zawołał Buridan.

— Buridan! — odpowiedział wewnątrz pokoju głos dziewczyny, nabrzmiały radością i nadzieją. — Janie, to ty?!

— Tak! Tak! Nie obawiaj się już niczego! Jesteś uratowana!

Z tymi słowami napał ramieniem na drzwi tak silnie, że zaczęły trzeszczeć. Już-już miały ustąpić pod naciskiem, gdy nagle rozległ się gwar i odgłos kroków. Na drugim końcu korytarza ukazał się zbrojny oddziałek, na przedzie którego postępował łucznik niosący pochodnię.

— Nareszcie przyszła śmierć! — rzekł szeptem Filip, a głos jego wyrażał wielką radość.

Oddziałek prowadzony przez samego Valois zbliżył się do sześciu zuchwalców. Nastąpiło zbrojne starcie. Szczęknęła broń, rozległy się okrzyki. Nagle korytarz, dotychczas oświetlony, pograżył się w mroku. To Lancelot uderzeniem pięści powalił łuczника trzymającego pochodnię, a potem nogą przydusił smolną szczapę.

Teraz walka toczyła się po ciemku. Jedynie krzyki i jęki dawały walczącym możliwość orientowania się. Z obu stron płynęły przekleństwa i wyzwiska.

Nagle, rzecz dziwna, sześciu śmiałków, którzy do tej chwili nie szczędzili niepochlebnych epitetów ludziom hrabiego, nawet jemu samemu — zamilkło. Jednocześnie w głębi korytarza zamigotało światło. Nadciągały posiłki, niosąc zapalone pochodnie. Wtem łucznicy hrabiego wydali głośny okrzyk wściekłości. Hrabia zniknął, a wraz z nim Buridan i jego towarzysze.

Z ciemnego kąta wypełził nagle jakiś drżący cień. Był to Szymon Malingre, który całą utarczkę przeleżał na ziemi plackiem. Teraz dopiero podniósł się, Wołając na całe gardło:

— Łotrzy! Na pomoc!

— Pochwyć go, kapitanie — zabrzmiał jakiś głos.

— To on jest zdrajcą!

Szymon Malingre poznał Gillonnę i szepnął:

— Koniec ze mną.

Pochwycono go, skrupowano i wrzucono do lochu, których sporo posiadał pałac Valois. Po chwili otoczyła go cisza i mrok. Przykucnął, położył głowę na kolanach i zaczął szlochać.

Jak długo przesiedział w swej celi więziennej, nie mógłby powiedzieć. Nie czuł głodu, lecz zaczęło mu dokuczać dotkliwe pragnienie.

— Mój Boże, chcę mnie skazać na śmierć głodową. Mam umrzeć z, pragnienia? Wiele dałbym za dzban zimnego piwa. Gdzie tam dzban, wypiłbym całą beczkę, beczkę! Noëlu, drogi Noëlu, pozwól mi wykapać się w beczce piwa. Pozwól mi utonąć w niej! Czy chcesz pieniędzy? Bierz, bierz wszystko, co zdołałem zaoszczędzić! Wszystkie talary! Wszystko za beczkę piwa! Niech już będzie nawet dzban! Chociaż kubek... czystej wody!

Smętne rozmyślenia i urojoną rozmowę z Noëlem Połamańcem przerwał Szymonowi zgrzyt otwieranych drzwi. Odsunięto zasuwę.

Podźwignął się z ziemi zdjęty bezgranicznym przerażeniem. Zapomniał nawet o pragnieniu, które go dręczyło.. Padł na kolana, próbując wzniesć do góry zakute w kajdany dłonie, i zaszlochał:

— Łaski, wielmożny panie! Nie zabijaj mnie! Pozwól mi umrzeć tu z pragnienia! Jeśli już postanowiłeś, że mam umrzeć, czy ci nie wszystko jedno, czy umrę z pragnienia, czy na szubienicy?

W odpowiedzi usłyszał śmiech.

Podniósł głowę i ujrzał Gillonnę, która weszła do celi i zamknęła za sobą drzwi. Potem umocowała w rogu celi pochodnię i zwróciła się do Malingre'a, siadając na wprost niego. Długo mu się przyglądała, potem zaczęła się śmiać.

Malingre wpadł na pomysł, który wydał mu się genialny — zaczął również śmiać się.

Była to dziwna scena. Śmiech Gillonny był złośliwy, brzmiał jak dzwon pogrzebowy, czuć w nim było zaspokojoną zemstę. Śmiech Malingre'a, dobywający się spomiędzy jego rzadkich, spróchniałych zębów, wykrzywił mu twarz strachem. Obydwa śmiechy zlewały się ze sobą, zmagwały się, brzmiały fałszywym tonem.

Nagle Gillonna przestała się śmiać. Malingre uczynił to samo.

— No i? — rzekła kobieta.

— No i? — powtórzył więzień z niepokojem.

Zaległa długa cisza, wreszcie Malingre zabrał głos:

— Świetny żart! Tylko ty, Gillonno, masz takie doskonałe pomysły!

— Prawda, że dobry pomysł? — rzekła szyderczo. — Trzymam cię w rękę, mój Szymonie. Gdy tylko zechcę, pójdziesz na tortury. Ten grymas, który wypłynął ci na twarz, jest na pewno wyrazem radości, lecz wyobrażam sobie, jak się wykrzywisz, gdy

ujrzesz rozpalone w ogniu obcegi albo gdy powąchasz zapach twego przypiekanego ciała...

Szymon Malingre jęknął posepnie.

— Co ci się stało? — zapytała Gillonna. — Czy nie wiesz o tym, że masz być przypiekany na wolnym ogniu? Poprosiłam pana hrabiego, aby cię uwolnił od tej kary i zadowolił się powieszeniem — mówiła spokojnie dalej.

— Och — jęknął Malingre, zgrzytając zębami. — Wstrętny potworze! Ohydna małpo! Ścierwo piekielne!

— A wiesz, co odpowiedział pan? Powiedział mi: „Nie! Chcę widzieć, jak się zaczniesz wykrzywiać, leżąc na rozpalonym ruszcie”. Nie możesz więc pozbawić tej przyjemności ani pana hrabiego, ani mnie.

— Co ci zawiniłem? — jęknął nieszczęsny Malingre.

— Nic. Lecz ja ci też nie czynię nic złego. Chcę tylko przyjrzeć się twojej skrzywionej minie! Ale, ale, czy nie mógłbyś mi powiedzieć, gdzie ukryłeś moje talary?

— Powiem ci. Przysięgam na me zbawienie, że ci powiem, jeśli wypuścisz mnie stąd.

— Dobrze! — rzekła stara. — Nie mówię nie!

— Nie mówisz nie? — Wybełkotał Malingre, nabierając nadziei.

— Tylko, mój drogi narzeczony, jeśli już mamy być ze sobą szczerzy, musisz mi powiedzieć, co w ogóle posiadasz. Wyznałam ci otwarcie, co ja mam. Ponieważ mamy się pobrać...

— Mam się pobrać? — wykrztusił nieszczęsny.

— Przecież obiecałeś mi... Czyżbyś znalazł inną? — dodała z udaną zazdrością.

— Nie! Nie! Ciebie tylko kocham, ciebie tylko chcę za żonę.

— No, zaczynałam już drzeć, że nie dochowasz mi wierności. Ponieważ mamy się pobrać, wyznałam ci, jaki mam majątek. Teraz ty musisz mi powiedzieć, czym rozporządzasz. Wtedy wypuszczę cię stąd.

Szymon Malingre zaczął być coraz lepszej myśli. Odpowiedział z westchnieniem:

— Jakim rozporządzam majątkiem? Mam bardzo mało. Najwyżej jakieś tysiąc soldów...

Gillonna wstała i skierowała się do drzwi.

— Dokąd idziesz? — jęknął więzień.

— Idę po kata. Musi cię pociągnąć za język rozpalonym żelazem, abyś się nauczył rozmawiać rozsądnie z twoją narzeczoną.

— Łaski! Stój! Powiem wszystko!

Kobieta zatrzymała się, spoglądając na Szymona przez ramię. Czekwała. W duszy skąpcza toczyła się straszliwa walka. Spuścił głowę na piersi i zaczął płakać.

— Dwieście talarów w srebrze! — rzekł szybko. — Ach, Gillonno, zabijasz mnie. Muszę cię naprawdę bardzo kochać, jeśli zdecydowałem się powiedzieć ci o tych dwustu talarach, które z takim trudem uciułałem sobie.

Ponownie skierowała się ku drzwiom.

— Dokąd idziesz! — powtórzył biedak z jękiem przerażenia.

— Oszalałeś, Szymonie. Chcę uzdrowić cię z szaleństwa, idę zarządzić, aby rozpalono ruszt w sali tortur.

— Stój! Teraz dowiesz się wszystkiego! Osiemset talarów w złocie! — jęknął i padł na posadzkę zemdlony.

Gillonna usiadła spokojnie i poczekała, aż więzień odzyska przytomność. Gdy otworzył oczy i znowu zaczął szlochać, Zapytała ostro:

— Gdzie jest twój kuferek?

— Ulituj się nade mną! — westchnął Malingre.

— Kuferek! Albo sprowadzę kata! Jeśli zaś powiesz, otworzę kajdany, wyjdziemy razem, połączymy nasze majątki i po pobraniu się, będziemy bogaci. Decyduj się.

— Otworzysz?!

— Głupcze! Wiesz dobrze, że zanadto jesteś mi potrzebny, abym dała ci zgnić w więzieniu. Sama nie mogę niczego dokonać.

— No więc — odpowiedział Szymon Malingre, znowu uspokojony — przeniosłem moje talary do Różanej Zagrody. Są w ogrodzie pod krzakami głogu, na lewo... Kopiać tam, z łatwością można natrafić na mój biedny kuferek.

Gillonna wybuchnęła śmiechem. Śmiech ten wstrząsnął sercem ofiary.

— Posłuchaj, głupcze! Ty zabrałaś tylko część moich talarów. Pod pierwszym kuferkim był drugi, tego drugiego nie widziałeś, w nim było dużo więcej złota. Twoje obrzydłe palce nie dotkną nigdy mego skarbu! Napędziłaś mi wtedy strachu! Jeszcze dziś pamiętam to uczucie! Ale to był jedynie strach w wyobraźni! Z tobą zaś jest inaczej. To, co ciebie spotkało, to jest smutna rzeczywistość! Szymonie Malingre, idę zaraz do Różanej Zagrody! Twój kuferek stanie się moją własnością! A ty, głupcze, będziesz się wykrzywiać przed panem, smażyć się na wolnym ogniu, bo...

Nagle Gillonna wydała pełen rozpaczony okrzyk. Szymon Malingre wyprężył się, jak naciągnięta sprężyna, korzystając z okazji, gdy zaślepiona nienawiścią Gillonna zbliżyła się do niego na tyle, że mógł jej dotknąć. Jego długie, chude ramiona wyciągnęły się jak nogi potwornego pająka, brzęknęły kajdanami i owinęły się dokoła ciała kobiety.

Podczas gdy w więzieniu odbywała się to ponura scena między parą narzeczonych, łucznicy hrabiego de Valois rozbiegli się po całym pałacu, szukając nadaremnie swego pana. Niepodobna było go znaleźć.

Kapitan dowodzący siłami zbrojnymi pałacu udał się do Luwru i zawiadomił króla o tym smutnym wypadku. Król wpadł we wściekłość, królowa zadrżała i zadała sobie pytanie, na co jeszcze odważy się Buridan, jeśli odważył się na tak zuchwały czyn. Marigny ucieszył się w duszy, jakkolwiek ukrył starannie swą radość i zaczął rozmyślać, czy jednak Buridan nie byłby godnym jego córki zięciem.

Na dworze opinie się podzieliły. Jedni cieszyli się, inni płonęli szlachetnym oburzeniem. Widząc jednak, że król jest wściekły, wszyscy jednogłośnie zaczęli wołać, że Buridan i jego dwaj przyjaciele zasłużyli na śmierć.

— Ależ ten Buridan to jakiś diabeł wcielony! — rzekł Ludwik X.

Jednocześnie kopnął nogą mały stolik, zastawiony butelkami. Stolik i butelki rozprysły się w kawałki.

— *Sire* — rzekł Hugo de Trencavel — przyjrzałem się temu człowiekowi i mogę zapewnić, że wart jest co najmniej dziesięciu.

— Widziałem go również — dodał Geoffroy de Malestroit — na Pre-aux-Clercs. Bił się jak lew.

— *Sire* — powiedział z kolei Enguerrand de Marigny — dzisiejszej nocy próbowałem aresztować tego człowieka. Miałem do pomocy dwudziestu łuczników straży miejskiej. Pan de Precy sam nimi dowodził. Poza tym zjawilo się na pomoc czterdziestu moich łuczników. Tymczasem człowieka tego nie aresztowaliśmy, a dwunastu naszych ludzi pozostało na polu walki rannych albo zabitych.

— Ten łotr jest stanowczo zbyt zuchwały — zawołał król. — Dobrze go osądziłem tego dnia, gdy na Montfaucon przybył żądać ode mnie sprawiedliwości. Sprawiedliwości przeciw tobie, Marigny. Otóż zrobimy sprawiedliwość!

Tego samego rana z rozkazu króla herold Chatelet odczytywał na skrzyżowaniu ulic obwieszczenie tej treści:

- 1) Wyznacza się nagrodę za głowę Jana Buridana, urodzonego w Bethunii, absolwenta Sorbony, w wysokości stu talarów w złocie.
- 2) Wyznacza się nagrodę za głowy szlachetnie urodzonych Filipa i Gautiera d'Aulnayów w wysokości sześćdziesięciu talarów w złocie za każdą.
- 3) Wyznacza się nagrody za głowy: Lancelota Bigorne'a, Wilhelma Wichury — cesarza Galilei i Riqueta Haudryota — króla Palestry, w wysokości dwudziestu talarów w złocie za każdą.
- 4) Rozkazuje się wszystkim paryżanom udzielić pomocy prefekturze w schwytaniu buntowników.
- 5) Skazuje się na karę śmierci każdego, kto zechce udzielić im pomocy.

XXIII

WIĘZIEŃ BURIDANA

Gdy Buridan zrozumiał, że musi wyrzec się nadziei odbicia Myrtili, ogarnęła go rozpacz. Postanowił ważyć się na wszystko, popełnić największe bodaj szaleństwo — porwać hrabiego de Valois.

Wilhelm i Gautier, jakkolwiek nie bardzo rozumieli, o co chodzi, pomogli mu w tym i ujęli hrabiego, mimo iż opierał się i krzyczał. Wkrótce stali już na podwórzu pałacowym.

— Cóż to nam dałeś do dźwigania? — zapytał Wilhelm: — Czy to ma być wieprz tuczony, który mamy zanieść na świński rynek?

— Jesteś pijany! — mruknął Gautier. — Czy nie widzisz, że to nie wieprz, lecz pan hrabia de Valois, którego mamy zanieść na jarmark jako straszak na dzieci! Lecz rzeczywiście masz rację! Pan hrabia kwiczy, jak zarzynany wieprzak. Czekać, trzeba go uciszyć!

Gautier złapał Valois za szyję i udawał, że go dusi. Ścisnął go jednak tak silnie, że hrabia nie tylko zamilkł, lecz po prostu zemdłał.

— Tam do licha, czyżbym go naprawdę zadusił? Trzeba przyznać, ci hrabiowie Valois umierają zbyt łatwo.

— Panie Gautierze — zauważył Wilhelm — zawsze mówiłem, że brak panu delikatności.

Tak rozmawiając, biegli wciąż naprzód, aż znaleźli się przed małą furtką, którą wpuścił ich do pałacu Szymon Malingre. Gdy już wyszli na ulicę, Buridan zamknął starannie furtkę.

— Czy żyje jeszcze? — zapytał, spoglądając na Valois. — Żyje! Wraca mu właśnie przytomność.

Istotnie w tej samej chwili hrabia otworzył oczy i rozejrzał się dokoła nieprzytomnym wzrokiem. Po chwili przyglądał się z rozpaczą sześciu twarzom, zwróconym w jego stronę.

— Bardzo dobrze — powiedział — pochwyciliście mnie! Ślicznie, zabijcie mnie więc, a będziecie triumfować do reszty.

— Nie, jaśnie wielmożny panie — odpowiedział zimno Buridan. — Zabiję pana dopiero wtedy, kiedy pan mnie do tego zmusi. Przypomnij sobie, że trzymałem już pańskie życie w moim ręku i że pana ułaskawiłem! Uspokój się, nie pójdziemy na Montfaucon! Chodź więc za nami z dobrej woli, jeśli zależy ci na życiu.

Valois rzucił posępne spojrzenie na swój pałac, który wyglądał jak forteca. Widział migające w oknach światła, słyszał krzyki łuczników, którzy wzywali go,

szukając na próżno. Wiedział, że nic nie poradzi, i mając może nadzieję, iż uda mu się teraz wykręcić łatwiej niż za pierwszym razem, rzekł krótko:

— Idę!

Ruszyli już w drogę, gdy Bigorne zatrzymał ich ruchem ręki:

— Dokąd jednak pójdziemy? — zapytał. — Pan Filip d'Aulnay nie może już nam ofiarować gościny w swym pałacu, który stał się dla nas tym, czym potrzask dla lisów. — Tu zwrócił się do Filipa: — Co takiego? Nie umarł pan?

Filip wzruszył pogardliwie ramionami:

— Nie obawiaj się... To nas nie minie!...

— Nie możemy się pokazać u pani Clopinel, która mnie wyrzuciła za drzwi z powodu mego udziału w potyczce pod Pre-aux-Clercs. Szynk Noëla Połamańca również nie był odpowiednim schronieniem, niegodny bowiem tego zaszczytu Noël nie omieszkałby sprowadzić na nas straż miejską! A więc ponowię me pytanie. Dokąd pójdziemy?

— A gdybyśmy tak poszli do Agnieszki Piedeleu — powiedział Gautier. — Mimo mojej niewierności, kocha mnie ona wielce... Kochana Agnieszka! Nie może się obyć beze mnie i zdaje mi się, że u niej...

— Chodźmy — przerwał Buridan — wiem, gdzie możemy się ukryć i ofiarować jaśnie wielmożnemu panu mieszkanie godne jego osoby. Nikomu, nawet królowej, nie przyjdzie ma myśl szukać nas tam.

Jednocześnie szepnął Bigorne'owi kilka słów na ucho. Lancelot nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia, potem to samo powtórzył Filipowi i Gautierowi. Pierwszy zbladł jak śmierć, a drugi zadrżał ze strachu.

Mimo jednak oznak przerażenia udali się w dalszą drogę. Wkrótce cały oddziałek roztopił się w mroku nocy. Przez jakiś czas szli wewnętrzną stroną wałów, wreszcie stanęli nad Sekwaną. Wsiedli do łodzi i przepłynęli na przeciwległy brzeg. Po pewnym czasie zatrzymali się u podnóża posepnej budowli.

Była to wieża Nesle.

Myśl Buridana, aby ukryć się w wieży Nesle była wytworem rozpacz, była straszna, była tragiczna! Była może nawet niezaszczalna. Gdyby wieża, jak przypuszczał, po ostatnich wypadkach została już opuszczona przez Małgorzatę i jej ludzi, myśl ta byłaby istotnie genialna. Lecz jeśli jakiś garnizon nadał przebywał w wieży, pomysł osadzenia tam hrabiego de Valois i zamieszkania w niej stawał się szalony, gubił Buridana i jego towarzyszy. Stanąwszy u stóp starej wierzby, której gałęzie pograżały się w wodzie, jakby płacząc nad losem nieszczęśliwych ofiar Stragilda i Małgorzaty Burgundzkiej, zwierzył się przyjaciółom ze wszystkich swych wątpliwości:

— Rozumiecie sami doskonale — powiedział — że to, co uczyniliśmy, poruszy cały Luwr, a nawet cały Paryż. Nie porywa się królewskiego stryja, nie ściągając na siebie oburzenia samego króla. Jutro, a może dziś jeszcze, może nawet już w tej chwili zaczną nas szukać. Prześladowani i śledzeni przez wszystkich, w końcu będziemy musieli ulec. Jedno z dwojga...

— O, o, o! — podpowiedział Riquet. — Teraz będziemy mieli krótki wykład logiki!

— Zauważyłem — dodał Wilhelm — że ile razy Buridan zajmował się logiką, w wyniku tego rozumowania mieliśmy dobry obiadek!

— Jedno z dwojga — ciągnął dalej Buridan. — Albo wieża jest nie zamieszкана i wejdziemy tam, rozlokujemy się i spędzimy przynajmniej kilka dni. Albo jest ona zamieszкана!..

— W takim przypadku nie wejdziemy, jeśli już mamy działać według zasad logiki — rzekł Riquet.

— Przepraszam, w takim przypadku wejdziemy również, lecz po wrzuceniu do Sekwany jej mieszkańców. Oto jest mój projekt! Co macie przeciw niemu?

Wszyscy milczeli, przyglądając się równie niemej i tajemniczej wieży.

Wtedy Buridan zbliżył się do niskich drzwi, wiodących do przedsionka. Drzwi te zamknięte były na dwa olbrzymie rygle, a każdy z rygli opatrzony był ogromną kłódką. Buridan obejrzał je również, uśmiechnął się szyderczo, zszedł nad rzekę, wyszukał duży, mocny kamień i zaczął je rozbijać. Echa uderzeń rozległy się daleko, odbijając się w murach wieży. Nikt jednak nie wyjrzał oknem, nikt się nie odezwał. Wieża była po dawnemu głucha i milcząca. Wkrótce kłódki były rozbite. Wtedy Buridan, dopomagając sobie ostrzem sztyletu, podważył zamek i drzwi otworzyły się. Wszyscy weszli do przedsionka, prowadząc ze sobą hrabiego de Valois. Bigorne zamknął drzwi i zasunął wewnętrzne rygle. Na ścianie dopalała się mała lampka. Możliwe, że Małgorzata rozmyślnie kazała w wieży Nesle palić w nocy światło, aby sądzono, że jest ona zawsze zamieszкана. Bigorne pozapalał pochodnie, których w przedsionku dużo leżało na ziemi.

Obeszli wieżę od dołu do góry. Była zupełnie pusta.

— Nikt tu nie mieszka — rzekł Bigorne, wracając z wyprawy

— Tak! — zgodził się Buridan posępnym głosem. — Mieszkają tu jedynie widma.

— I moje wspomnienia! — szepnął Filip.

— Dobrze już — przerwał mu Buridan. — Mam wrażenie, że nikt się nie domyśli naszej obecności. Ty, Bigorne, zajmiesz się aprowizacją. Was poproszę, abyście mnie zostawili na parę chwil z hrabią de Valois. Musimy porozmawiać o sprawach osobistych.

Wszyscy towarzysze usłuchali Buridana, uznając go tym samym za swego przywódcę. Zrozumieli również, że jego rozmowa z Valois będzie decydująca.

— Nie dałbym w tej chwili ani grosza za skórkę hrabiego! — rzekł Wilhelm, schodząc na dół.

— Jak mogę jeszcze żyć, gdy w moim sercu zbudziły się i dręczą mnie z dawną siłą wszystkie te wspomnienia? — szepnął Filip.

— Lancelot miał zająć się aprowizacją — burknął Gautier. — Jestem głodny.

— A ja spragniony! — dodał Wilhelm.

Zaczęli szukać Bigorne'a. Nie było go jednak na dole. Pozostał na górnym piętrze z Buridanem i Karolem de Valois.

Gdy Buridan spojrzął za siebie, ujrzał swego służącego stojącego w progu i plecami opartego o drzwi. Ręce założył na piersiach. Stał spokojny i zimny.

— Co tu robisz? — zapytał ostro Buridan.

— Widzi pan, czekam na pańską rozmowę z panem hrabią. Rozmowa ta będzie ważna dopiero wtedy, gdy ja będę przy niej. Mówcie więc, panowie, a zależnie od tego, co powiecie, ja rzeknę jedno słowo, jedyne, które potem pogrzebię w głębi mej duszy jak w mogile!

Ton, jakim mówił te słowa, był tak dziwny, że Buridan spojrzął na niego i w jego wzroku wyczytał jakieś nie dające się wytłumaczyć współczucie. Zamyślił się i zrozumiał, że ten niedawno jeszcze łotrzyk, ten były sługa hrabiego de Valois, a obecnie jego służący jest w posiadaniu jakiejś wielkiej tajemnicy. Szepnął:

— Dobrze już! Pozostań i słuchaj!

Hrabia de Valois siedział w szerokim fotelu. Milczał i był pozornie spokojny. W jednym ręku ścisnął jednak rękojeść sztyletu, a drugą ręką dotykał dużej bojowej szpady, broni niebezpiecznej w ręku tak doświadczonego jak on człowieka.

Buridan usiadł na wprost niego.

— Nieprawdaż, panie hrabio, że obdarzając pana wolnością, wtedy gdy po raz pierwszy miałem pana w moim ręku, złożyłem dowód mej wielkiej uprzejmości?

Valois uśmiechnął się gorzko i pogardliwie.

— Nie wiem, czy postępowanie pana wówczas można uważać za zasługujące na pochwałę. Ta zasadzka, ten współudział zwykłych łotrzyków, te rany, zadane moim towarzyszom, którzy do dziś dnia jeszcze nie opuszczają łóżek...

— W czepku się urodzili — wtrącił Bigorne. — Powinni byli dawno leżeć w grobie.

— Milcz, Bigorne! — skarcił go Buridan.

— Milczę już, lecz na świętego Barnabę, śmiem zauważyć, że ilekroć swędzi mnie język, zawsze każe mi go pan połykać, lepiej już od razu każ go wyrwać!

Valois mówił dalej:

— To, że wówczas darowałeś mi życie, nie dodało jedynie jeszcze jednej zbrodni do szeregu już popełnionych przez ciebie.

— Jesteś pan, panie hrabio, bardzo szlachetny, że oddajesz mi tę sprawiedliwość. Idźmy dalej. Otóż na Pre-aux-Clercs w trakcie pojedynku na rapiery mogłem z powodzeniem przekuć pana na wylot. Nie uczyniłem tego. A dlaczego? Nie wiem sam. Jakiś fatalizm łączy nas ciągle ze sobą. Znalazłeś się na skromnej ścieżce mego życia, pan, który możesz chodzić szerokimi drogami, którego życie jest tak wspaniałe! Podczas gdy moje jest ciche i skromne. Dlaczego nie chce pan pozostawić mnie w spokoju? Jesteś bogaty, ja — biedny. Opływasz w sławę, o mnie nikt nic nie wie. Jesteś potężny, ja... cóż ja znaczę? Dlaczego nie chce pan pozostawić mi tych okruchów szczęścia, które niebo mi przeznaczyło?

Głos Buridana drżał wzruszeniem. Na jego szczupłej twarzy pojawił się wyraz szlachetnej szczerości. Valois spoglądał na niego z pogardą.

— Czegóż chcesz? — zapytał ostro.

— Chcę zaproponować panu zawarcie uczciwego pokoju, umowy, której święcie dotrzymam!

Valois wybuchnął śmiechem. Był przekonany, że słowa Buridana zrodziły się ze strachu przed nim.

— Pokój między nami? Łotrze! Czekaj już na ciebie kat! Mógłbym najwyżej okazać ci tyle względów, żeby złagodzić nieco ostrość wyroku.

Buridan skrzywił się lekko, opanował się jednak i mówił dalej:

— Jak już powiedziałem, pan jest potęgą, a ja drobnym pyłem. Czasem jednak wystarczy ziarno piasku, aby całe państwo runęło, tak czytałem w starych manuskryptach. Pilnuj się, hrabio, abym nie stał się dla ciebie owym ziarnkiem piasku! Proponuję ci pokój. Zawrzyjmy układ. Dotrzymam go i raz jeszcze daruję ci życie. Obiecuję nigdy nie godzić na nie, żądam w zamian jedynie pańskiej neutralności. Więcej nawet, jeśli ci będzie potrzebna kiedyś pomoc w jakimś niebezpiecznym przedsięwzięciu, chętnie wystawię na szwank moje życie...

— I czegoż żądasz w zamian?

— Niczego, prócz jednej rzeczy, jedynej... Nie żądam ani pańskiej życzliwości, ani protekcji...

— A więc czego żądasz? Powtarzam!

— Otóż, panie hrabio, na Montfaucon wyznałem panu, że kocham pewną młodą dziewczynę... Dziewczyna ta była wtedy więziona przez pana. Widzi pan, mam rację, że los mój wiąże się z pańskim losem. Jakkolwiek udało jej się wydostać z Tempie, w czym dopomogła królowa, znowu jest ona pańską niewolnicą i znajduje się w pańskim pałacu.

— Kto ci powiedział, że Myrtilła jest u mnie? — zapytał hrabia ochryplym głosem.

Buridan szukał odpowiedzi. Bigorne wtrącił wtedy pośpiesznie:

— Szymon Malingre.

— Panie hrabio — mówił dalej Buridan — zwróć mi Myrtilłę, daj słowo, że nigdy nie będziesz godził na jej wolność, a będę twoim człowiekiem!

Valois milczał, widać jednak było, że jest głęboko poruszony. Spoglądał na Buridana z zazdrością człowieka, który patrzy na szczęśliwego rywala.

— Nie zwrócę ci dziewczyny z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego że ośmieliłeś się pokochać ją, pannę wysokiego rodu...

Buridan, bardzo blady, zapytał:

— A po wtóre?

— A po wtóre, dlatego że ja ją kocham!

Buridan przesunął ręką po czole, powstał i rzekł ze stłumionym gniewem:

— Panie hrabio, mam zaszczyt oznajmić panu, że jeden z nas dwóch musi umrzeć.

Dobry szpada, wsparł się jej ostrzem o podłogę i rzekł:

— Jesteś moim jeńcem, mogę w każdej chwili zamordować pana. Prawo to przysługuje mi, jesteś bowiem wrogiem... zwyciężonym. Moglibyśmy wrzucić pańskiego trupa do Sekwany, sprawa byłaby skończona. Lecz ja proponuję panu uczciwą walkę, tak jak proponowałem ją Enguerrandowi de Marigny'emu. Broń się więc! Broń się! W przeciwnym razie przysięgam, że zamorduję pana bez litości.

Valois podniósł się z miejsca i stanął w pozycji obronnej. Po chwili szpada przeciwników skrzyżowały się.

Bigorne przyglądał się całej scenie w milczeniu, zbladł jedynie.

Valois zaatakował pierwszy. Uchwycił oburącz ciężką wojenną szpadę i zamierzył się do straszliwego ciosu w głowę, którym chciał strzaskać czaszkę przeciwnika. Szpada jednak przecięła powietrze i utknęła w podłodze. Buridan uniknął ciosu i uskoczył w bok.

Znowu zawrzała walka. Tym razem na sztylety. Nagle noga powinęła się hrabiemu, padł na ziemię... Buridan klęczał już przy nim, ściskając go lewą ręką za gardło.

W prawej ręce błysnął sztylet.

— Czy oddasz mi Myrtille? — syknął.

Valois zgrzytnął zębami, zamknął oczy i odpowiedział: |

— Nie.

— A więc umrzyj! — wykrzyknął Buridan.

Ramię jego podniosło się do ciosu. Nie opadło jednak, ktoś bowiem pochwycił Buridana za rękę. Był to Lancelot j Bigorne.

— Do stu piorunów! — wykrzyknął Buridan. — Czy chcesz umrzeć wraz z nim?!

— Janie Buridan — rzekł Bigorne uroczystym tonem — nie zabijesz tego człowieka!

— Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? — wołał Buridan donośnym głosem.

Bigorne odpowiedział:

— Ponieważ człowiek ten jest twoim ojcem!

Buridan i Bigorne stali na wprost siebie. Buridan blady jak trup, Bigorne spokojniejszy niż zwykle, lecz z dziwnie uroczystym wyrazem twarzy.

— Mów! Wytlumacz się! Bo — daję słowo, zamorduję cię zamiast tego człowieka, o którym mówisz, że jest moim ojcem!

Potem dodał prawie szeptem z nieskończonym zdumieniem:

— Moim ojcem?

— Panie hrabio — rzekł Lancelot — muszę pana teraz tak nazywać, ponieważ wiesz, czym jesteś synem. Panie hrabio, historia jest straszna, lecz jednocześnie bardzo prosta. Dowiedz się więc, że owym dzieckiem, którego historia tak pana wzruszyła, owym Jankiem, którego pozostawiłem w opuszczonej chatce w zamiarze zwrócenia go matce, był pan! Zapytasz mnie, skąd wiem o dalszych twych losach i o tym, że to ty właśnie udałeś się do Paryża, aby studiować w Sorbonie. Opowiem to

panu później, kiedy będziesz w stanie wysłuchać mnie spokojnie. Teraz powiem ci tylko, co się stało z panią de Dramans.

— Moja matka! — szepnął Buridan, a oczy jego napęłniły się łzami. — Mów mi o niej! Mów, co się stało z moją matką.

— Chce pan tego?

— Chcę.

— Jeszcze kilka dni temu nie wiedziałem, jaki spotka ją los, teraz również nie wiem, jakie przeszła koleje od owej chwili... w Dijon. Wiem tylko to, że żyje! Widziałem ją!

— Widziałeś ją? — zawołał Buridan rozdzierającym głosem. Żyje! Moja matka żyje! Bądź błogosławiony za tę wiadomość!

— Widziałem ją! — powtórzył Bigorne. — A co najważniejsze, panie hrabio, pan widział ją również!

— Ja! — zawołał Buridan, czując, że zaczyna tracić zmysły.

— Tak! Pani de Dramans, panie hrabio, twoja matka, Janie Buridan, to kobieta, która czekała na ciebie pewnego wieczoru na wybrzeżu Sekwany. To kobieta, która podeszła do ciebie na ulicy Froidmantel. To kobieta, która rozmawiała z tobą u podnóża wielkiej wieży Luwru.

— Milcz — szepnął Buridan ogarnięty przerażeniem.

— Widzę w pańskiej twarzy i z pańskich oczu, że zrozumiałeś teraz, iż to twoja matka owej przekłętej nocy zaprowadziła cię za rękę do krwawej wieży, gdzie Małgorzata Burgundzka czekała na ciebie, aby cię zamordować!

Buridan padł na kolana, a potem osunął się na ziemię zemdlony. Bigorne pochylił się nad nim i szepnął:

— Biedny młodzieniec, taki dzielny, taki dobry, taki szlachetny i taki nieszczęśliwy! Czy dobrze zrobiłem, wyznając mu prawdę? A zresztą Bóg rozsądzi, jeśli w ogóle Bóg wtrąca się do czynów i słów Lancelota Bigorne'a.

Lancelot wziął zemdlonego Buridana w ramiona i zniósł go do sali, w której zgromadziła się reszta towarzystwa. Nic im nie wyjaśniając, jął krzątać się dokoła zemdlonego, a gdy ten zaczął wracać do przytomności, skinął na nich w milczeniu, dając znak, by pozostawili Buridana samego. Oddalił się wraz z nimi.

Buridan pozostał sam ze swymi myślami. Myśli te obracały się jedynie dokoła matki. O ojcu, który znajdował się kilka kroków od niego, w sąsiednim pokoju, nie myślał wcale. Żyła w nim jedna tylko gorąca myśl — o matce. O wszystkim innym zapomniał. Zapomniał na razie o Myrtili, o panu de Marigny, o królowej Małgorzacie, o królu, o ojcu — Karolu de Valois! Zapomniał, gdzie się znajduje. Powtarzał jedynie z bezgraniczną czułością:

— Biedna matka!

Bigorne, który bez żadnych skrupułów podsłuchiwał pod drzwiami, słyszał stłumione łkanie.

Gdy Buridan już się trochę opamiętał, wyszedł na platformę wieży. Był już dzień. Słońce przedarło się przez złote pyły wschodu i zalało ziemię blaskiem swych promieni. U stóp Buridana rozciągał się Paryż owinięty w lekką gazę mgły, jakby utkaną w ciągu nocy przez jakieś wieszczki. U podnóża wieży Sekwana toczyła leniwie swe szare wody. Ze zwojów porannej mgły wynurzały się wieże, wieżyczki i ostre dachy domów, a po drugiej stronie rzeki czerniała olbrzymia forteca z fosami, wałami, potężnymi wieżami. Rozsiadła się szeroko, rozpościerała swe liczne skrzydła. Był to Luwr! Luwr, w którym spała na pewno jeszcze Małgorzata Burgundzka... matka Myrtili.

Buridan zszedł z platformy wieży i udał się do komnaty, w której znajdował się Valois. Bigorne, wychodząc z pokoju, zasunął drzwi na zasuwę, zamykając więźnia.

Twarz Valois była znużona, zmięta, posepna jak twarz człowieka, który spędził kilka godzin na ciężkiej walce wewnętrznej. Na twarzy tej jednak nie dostrzegłbyś żadnego głębszego uczucia.

Buridan wbił w hrabiego spojrzenie. W jego sercu żyła jeszcze jakaś nadzieja. Na co? Nie umiałby tego powiedzieć. Czekał może na jedno słowo, na jakiś ruch, na błysk w oczach, na coś wreszcie, co by mu dowiodło, że człowiek ten widzi w nim swego syna. Valois podniósł się, wsparł się oburącz na swej olbrzymiej szpadzie i zaczął mówić:

— Młodzieńcze! Poznałeś dzisiejszej nocy straszliwą tajemnicę. Nieszczęście chciało, że wierny sługa powiedział ci o tym, o czym nigdy nie powinieneś się dowiedzieć. Uchowaj cię, Boże, od wygłaszania sądu o moim postępowaniu względem ciebie i twej matki. Człowiek ten powiedział ci prawdę! Nie staraj się jednak zagłębiać w tę sprawę bliżej, nie staraj się badać mej przeszłości, nie ubiegaj się o tytuł, który nie jest twoim tytułem. Wiedz o tym, że dla ciebie jestem i pozostałem hrabią de Valois, ty zaś dla mnie — Janem Buridanem, zapisanym w rejestrach Sorbony, jako syn nie znanych rodziców. Wiedz o tym, że jeśli odzyskam wolność, będziesz dla mnie Janem Buridanem — zdrajcą i buntownikiem, przywódcą zdrajców i przywódcą buntowników. Jeśli więc chcesz uniknąć kary, która cię czeka, jedynym wyjściem dla ciebie będzie zamordowanie tego, o którym dowiedziałeś się, że jest twoim ojcem!

Z tymi słowami rozsunął brzegi swego płaszcza i podszedł do Buridana, nadstawiając pierś do śmiertelnego ciosu.

Buridan przez cały czas nie wyrzekł ani słowa. Wpatrywał się uporczywie w twarz mówiącego, jakby nie mogąc oderwać od niego wzroku.

Valois zakończył:

— Jeśli ja będę żył, ty zginiesz! Jeśli chcesz żyć, zabij mnie!

Buridan podszedł powoli do drzwi, otworzył je na oścież i sennym gestem wskazał hrabiemu wyjście. Droga była wolna. Był to gest człowieka, który czyni skazańcowi łaskę, obdarzając go życiem, albo gest człowieka, który wygania kogoś z domu. Nie wyrzekł ani słowa. Lewą ręką uczeplił się kurczowo framugi drzwi, jakby w obawie, aby nie padł, zdjęty nagłym przerażeniem.

Hrabia de Valois przekroczył próg. Szedł powoli, wpatrzony w syna. Mijając go zatrzymał się, jakby raz jeszcze wzywając go do czynu. Buridan stał nieruchomy. Wtedy hrabia de Valois wzruszył ramionami, nasunął na ramiona swój ciężki płaszczyz. Nie odwracając już głowy w stronę syna wyszedł z pokoju i zszedł na dół kręconymi schodami.

Buridan wybuchnął płaczem.

XXIV

SZELMOWSKA BANDA

Valois stanął w przedsionku. Drzwi były zaryglowane. Tuż przy nich stał mężczyzna na czatach owinięty w płaszcz, w kapeluszu nasuniętym na oczy. Stojąc spał tak przynajmniej można było sądzić, bo głośno chrapał. Chrapanie to jednak było mocno podejrzone...

Wartownik trzymał w ręku sztylet.

Mimo płaszcza nasuniętego na twarz i opuszczonego randa kapelusza Valois poznał w stojącym Bigorne'a. Twarz hrabiego wykrzywiła się wściekłym gniewem, położył rękę na rękojeści szpady, jakby chcąc przebić nią śpiącego. Bigorne jednak zaczął chrapać tak hałaśliwie, że widoczne było, iż nie śpi i że śledzi bacznie każdy ruch hrabiego.

— Cztery i sześć! — rozległ się okrzyk za plecami hrabiego.

— Pięć i sześć! Wygrałem! — pisnął inny głos.

Valois odwrócił się i ujrzał dwóch mężczyzn grających w niszy przedsionka w kości. Zdawało się, że nie widzieli go wcale.

— Dobrze! — zawołał Wilhelm Wichura, jeden z grających. — Wygrałeś jego głowę. Lecz to jeszcze nie wszystko. Głowa to dobry kawałek, nie przeczę, lecz i reszta także ma swoje znaczenie.

— Zgoda — odezwał się Riquet, drugi gracz. — Ja gram o skórę tego bydlaka. Rzucaj.

— Niech i tak będzie! Zaczynam!

Wilhelm Wichura zmieszał kości, a potem wyrzucił je I na stół.

— Trzy i cztery! — wykrzyknął, wykrzywiając się. — To jakieś czary!

— Dwie piątki! — zawołał Riquet z triumfem. — Moja skóra! — Parsknął śmiechem.

— Riquecie — rzekł Wilhelm z gniewem przegrywającego gracza — nie będę już więcej z tobą grać.

— Wilhelmie, nie chcę tracić twej przyjaźni. Czekać, stawiam dwie szynki zwierzaka przeciw głowie i skórze, które wygrałeś!

— Zgoda! — zawołał Wilhelm rozpromieniony.

Znowu rzucono kości. Wilhelm miał dwójkę i jedynekę.

— Do wszystkich diabłów! Ktoś rzucił na mnie urok! — mruknął.

Teraz Riquet zmieszał kości i wyrzucił je na stół. Wilhelm wydał okrzyk triumfu.

— Dwie jedyнки! Przegrałeś, mam teraz obie szynki i skórę pana hrabiego.

Z tymi słowami podniósł się od stołu i podszedł do Valois.

— Panie hrabio — powiedział — należy pan do mnie, bo wygrałem pana w kości. Chodź za mną! Każde uczciwe bydlę idzie za swoim panem!

Valois przysłuchiwał się całej tej scenie spokojnie, nie zdradzając najmniejszego strachu.

— Bando rzezimieszków — rzekł zimno — zanotujcie to sobie, że wasz herszt chce, abym wyszedł z tej jaskini zdrowo i cało.

— Herszt! — zawołał Wilhelm. — Herszt! A gdzie jest ten herszt? Hej! Riquet, czy widziałeś go? Jeśli wiesz gdzie on się znajduje, poszukaj go i spytaj, w jakim sosie mamy podać pana hrabiego?

— Zapamiętajcie to sobie — ciągnął dalej Valois — że wszelki gwałt popełniony na mojej osobie będzie srogo pomszczony. Na pewno poszukuje już was straż miejska za wszystkie wasze sprawy. Poza tym dzisiejszej nocy wdarliście się do mego pałacu, co

jest takim samym zuchwalstwem, jak byście się wdarli do Luwru. Obiecuję wam ulaskawienie, jeśli wola waszego herszta zostanie wykonana niezwłocznie.

— Hej! Bigorne! Ty nieszczęsny suśle! — zawołał Riquet. — Czy słyszałeś, co mówi to bydle?

Valois uczył, że krew lodowacieje mu w żyłach, teraz był pewien, że ci zuchwalcy postanowili go zabić.

— Panie hrabio — odezwał się Riquet — obiecujesz nam ulaskawienie i przebaczenie wszystkich naszych grzechów?

— Zaraz się rozplaczę — jęknął Wilhelm — już leję łzy z rozczulenia!

Valois spojrział na Wilhelma i zobaczył, że siedzi na podłodze, z nogami założonymi na krzyż, trzymając na kolanach mały koszyczek pełen cebuli, którą bardzo starannie obierał.

Riquet wrzasnął z przerażenia.

— Co widzę! Chcesz usmażyć go z cebulką? Wiesz przecież, że nienawidzę cebulowego sosu!

— Nie gniewaj się — jęknął cesarz Galilei — pozwól mi wypłakać się do syta. Nie wiem na pewno, czy to rozczulenie, czy też cebula wyciska te łzy, ale jak długo żyję, nigdy jeszcze tak rzewnie nie płakałem.

Nagle Valois usłyszał chrząkanie świni, a potem ujrzał Lancelota Bigorne'a, który na czworakach biegał po sali, świetnie udając ruchy i kwiczenie wieprzaka. Riquet jął mu wtórować, a Wilhelm Wichura, zonglując cebulami, zaintonował basem „De profundis”.

Valois stał ciągle nieruchomo, bez słowa i drżał z przerażenia, spoglądając na całą scenę błędnym wzrokiem. Scena ta była straszna, dowcipy ordynarne i brutalne, lecz jak wiemy, cała ówczesna epoka nie była lepsza. Każdy żart w owych czasach był gwałtowny i pospolity.

Trzej zuchwalcy cieszyli się niezmiernie i co chwila j wybuchali głośnym śmiechem.

Do głosów ich przyłączył się jeszcze głos Gautiera, który ukazał się na schodach. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację i sam zaczął również udawać chrząkanie | świni, nurzającej ryj w korycie. Potem wszyscy czterej zaczęli na czworakach biegać dokoła Valois, kwicząc i chrząkając jak wieprzaki prowadzone na ubój. Wiercili się coraz szybciej, coraz bardziej zacieśniając; koło. Przerażony Valois zaczął już w duchu żałować słów, z jakimi zwrócił się do syna. W nim tylko pokładając nadzieję, zdławionym głosem zawołał:

— Buridan! Buridan! Buridan!

Radosny ryk wydarł się z piersi czterech roześmianych zuchów. Bigorne przyskoczył do muru, w którym znajdowało się potajemne przejście do piwnic. Nacisnął sprężynę, mur rozsunał się, ukazały się schody, na które wtracono Valois, za nim rzuciła się cała czwórka, popychając hrabiego i potracając. Wreszcie wszyscy znaleźli się w dosyć dużej sali, oświetlonej pochodnią. Była to sala, w której Małgorzata Burgundzka kazała swego czasu zamknąć Buridana i braci d'Aulnayów.

Rozległ się huk zatrzaskiwanych drzwi. Valois pozostał sam. Wtedy opuściła go cała dotychczasowa odwaga. Padł na ławę, dygocąc z przerażenia.

XXV

ŚWIĘTO OSŁA

Nazajutrz cały Paryż wyglądał niezwykle. Biły dzwony, na ulice wyległ odświętnie przystrojony tłum, zmierzając w stronę Notre-Dame.

Obchodzono święto błaznów i święto osła. Święta te odbywały się zazwyczaj w listopadzie i styczniu, lecz w wyjątkowych okolicznościach również w innym okresie. Tym razem powodem ogłoszenia tego święta było wyzdrowienie królowej. Król Ludwik postanowił, że cały Paryż musi się bawić. A miasto niczego innego nie chciało. Nowy król jeszcze nie nałożył żadnych nadzwyczajnych podatków ani nie zmienił kursu obiegowanej monety, jak wielokrotnie czynił jego ojciec, toteż mieszczanie uważali go za niezwyklego króla. W kraju panował względny spokój, a handel rozwijał się możliwie dobrze.

Tłum ciągnął na dziedziniec Notre-Dame, gdzie zwykle koncentrowała się zabawa. Dziś więc Paryż bawił się nie tylko dlatego, że takie było życzenie króla, lecz i z własnej woli.

Cały tłum zachowywał się nie tak, jak tego mogłoby wymagać miejsce — dziedziniec kościelny. Wszyscy śmieli się, śpiewali, jedli i pili. Pyskate kumoszki żartowały z żakami, sypały się dowcipy mniej lub bardziej tłuste. Słowem, zdawało się, iż wszystkie więzy moralne tego dnia zostały rozluźnione i jakiś szal ogarnął tłum.

Na dziedzińcu kościelnym zaczęto rozstawiać kosze pełne kiełbas, szynek, naleśników i flaszek wina. Wyniesione z kościoła ławki zamieniono na lady. Rozpoczęła się wielka uczta, a w ślad za nią wielkie pijaństwo.

W tłumie kręcili się również zakonnicy, nie brakowało i księży, nikt nie dziwił się temu, że brali oni udział w zabawie. Był to ogólnie przyjęty zwyczaj. Krzyki stawały się coraz głośniejsze, zaczęto śpiewać, a po każdym kupiecie tłum naśladował ryk osła tak głośno, że oprawione w ołów szybki okien kościelnych drżały. Ci, dla których nie było już miejsca w przedsionku, porozsiadali się na stopniach, wiodących na dziedziniec, porozkładali zapasy żywności, jedli, pili i porykiwali oślim głosem.

Był to jednak dopiero początek święta, na które oczekiwali zgromadzeni licznie widzowie. Wkrótce miało się rozpocząć samo przedstawienie. Istotnie, około jedenastej ukazała się nagle zwarta masa żołnierzy, żaków i zakonników. Wszyscy krzyczeli, ryczeli, śpiewali na całe gardło, wymachiwali świecami, potracali się, popychali, wykonywali dziwaczne skoki, otaczając zwartym kołem osła. Za osłem ciągnęły liczne bractwa z chorągwiami. Mimo zakazów biskupów, mimo gróźb kłątwy cała kapituła Notre-Dame przyłączyła się do pochodu.

Osiół był przykryty bogatym czaprakiem, a na grzbiecie jego siedziała dziewczyna w złotym kapturze, trzymając na ręku wspaniale przybraną lalkę. Ta alegoryczna postać była prawdopodobnie wyobrażeniem Najświętszej Panny i Dzieciątka Jezus uciekających do Egiptu.

Osiół, na którym jechała dziewczyna, wszedł do kościoła, a za nim cały wrzeszczący tłum. Triumfalny wjazd osła powitano burzą oklasków. Wiedziony przez księży za uzdę, stanął pod chórem, w miejscu gdzie odczytywano ewangelię. Wtedy tłum skłębił się, znowu zakotłowało się... w końcu rozległ się ogłuszający ryk, wydzierający się z tysiąca piersi:

— Hi — ha!

Potem tłum zaczął wołać:

— Msza! Msza!

— Zaraz nadejdzie ksiądz biskup — odpowiedział diakon, który siedząc okrakiem na brzegu kazalnicy, wymachiwał zwojem kielbas trzymany w jednej ręce i dzbanem wina w drugiej.

— Biskup! Biskup! Chcemy biskupa! Chcemy mszy!

Diakon zanurzył rękę w dzbanie wina i zaczął kropić zgromadzonych. Tym sposobem uciszył nieco rozbrykany tłum. Potem, korzystając z tego, że tłum uspokoił się, zaczął wołać:

— Przyjdzie zaraz, powiadam wam, przyjdzie dobry, solidny, godny naszego króla Zabijaki, godny was wszystkich, łotry spod ciemnej gwiazdy, wszetecznicy diabelscy! Wiedźcie bowiem, że biskup ten ma na imię Baheigne!

Tłum zaczął klaskać i ryczeć:

— Niech żyje nasz Zabijaka! Niech żyje Baheigne!

Tym Baheigne'em był lokaj króla Ludwika X. Owego poranka został wybrany na godność biskupa błaznów. Wybory odbyły się w Luwrze. Wybierali panowie i sam król, do ich głosów przyłączyły się głosy ludu, któremu pozwolono tego dnia wejść na dziedziniec królewskiej fortecy.

Otóż prawie w tym samym czasie, kiedy osioł udawał się z procesją do Notre-Dame, inna procesja, składająca się częściowo z członków konfraterii i z ludu, rycząc, gestykulując, udała się do Luwru, aby obrać tam biskupa błaznów. Większość spośród biorących udział w tych wyborach była przebrana w maskaradowe stroje. Nawet księża mieli na twarzach dziwaczne maski, najczęściej jednak mieli twarze umazane sadzami. Jedni przywdziali błazeńskie żółto-zielone suknie, inni poprzebierali się za zwierzęta: małpy, niedźwiedzie, lamparty, wszystkie rzadkie zwierzęta, które tłum podziwiał i oklaskiwał.

Największą uwagę zwracały na siebie dwa niedźwiedzie które prowadziła małpa. Obydwa misie szły na czele procesji, tańcząc niezgrabnie i wykrzywiając się, małpa zaś która wiodła niedźwiedzie na łańcuchach, była tak zwinna i śmiała, że każdy, patrząc na jej zręczne skoki, wołał:

— To na pewno jedna z wielkich małp królowej!

Gdyby jednak mniej głośno grały dzwony, gdyby cichsze były śmiechy i nie tak ogłuszające oklaski i gwar tłumu, słyhać byłoby wtedy, że obydwaj niedźwiedzie i małpa rozmawiały ze sobą ludzkim głosem.

— Ejże! Bigorne! — mówił pierwszy niedźwiedź. — Mam nadzieję, że nie zechcesz, abyśmy wchodzili do Luwru.

— Byłoby to — dodał drugi — pakowaniem się wilkowi w paszczę, a chociaż jesteśmy niedźwiedziami, przypuszczam jednak, że wilk pożarłby nas za jednym zamachem.

— Boisz się, Wilhelmie? — zapytała małpa. — Jeśli się boisz, to mi powiedz!

— Na najwyższego cesarza Galilei — mruknął niedźwiedź — powiedz raz jeszcze, że ja się boję, a ściągniesz na siebie chłostę.

— A ty, mistrzu Riquecie — kontynuowała małpa. — Czy boisz się?

Drugi niedźwiedź parsknął śmiechem i mruknął:

— Lancelocie Bigorne, wypruję ci flaki!

— Otóż — oświadczyła małpa — ponieważ nikt z was nie boi się, a ja również nie czuję lęku, wejdziemy do Luwru!

— Tak — przytaknął Riquet — lecz co będziemy tam robić?

— Zobaczycie! — odrzekł Bigorne. — W każdym bądź razie obiecuję wam kupę śmiechu.

Tu rozmowa urwała się. Pochód minął bramy Luwru i na dziedzińcu pałacowym został przyjęty przez króla, królową, rycerzy i szlachtę.

Małgorzata Burgundzka wraz ze swymi siostrami i damami dworu siedziała pod baldachimem na wysokiej estradzie, otoczonej trzema szeregami halabardników. Na przedzie tej estrady król i tłum dworzan przyglądał się nadciągającemu pochodowi.

— Wejdźcie, moi przyjaciele! — wołał Ludwik Zabijaka, śmiejąc się głośno. — Wejdźcie i zabierzcie biskupa, który czeka na was.

Dwa niedźwiedzie, idąc na czele pochodu, zaczęły podskakiwać radośnie, jakby dziękując w ten sposób królowi, który pierwszy roześmiał się głośno.

Pochód defilował przed estradą królewską. Księżne i damy dworu pokładały się ze śmiechu. Jedyną milczącą i poważną osobą w tym całym rozbawionym gronie była Małgorzata Burgundzka. Przyglądała się posępnie zabawie, a dusza jej była bardzo daleko od wszystkiego, co miała przed oczami.

Po przedefilowaniu przed estradą, pochód zatrzymał się przed królem, któremu minstrele zaczęły śpiewać poranną balladę. Gdy już ta cała hałaśliwa muzyka ucichła, ktoś przebrany za błazna wystąpił z szeregów i zawołał:

— Mości królu, idziemy po naszego biskupa!

— Oto jest! — wykrzyknął król, wskazując na swego pokojowca, nieszczęśliwego Baheigne'a, którego fantazja pana zamieniła owego dnia w biskupa błaznów.

Tłum biorący udział w pochodzie otoczył Baheigne'a, wydając głośne okrzyki:

— Błogosławieństwo, błogosławieństwo.

Król dał znak i panowie rozsunęli się. Halabardnicy otaczający estradę podzielili się na stronę prawą i lewą i wtedy dopiero zauważono, że estrada została wzniesiona na rzędach beczek, z których każda była zaopatrzona w kran. Pozostawało tylko napełnić dzbany. Król pierwszy z jednej z tych beczek nalał sobie w spory kubek aż po brzegi, wychylił go duszkiem, potem napełnił go znowu i wylał wino na głowę przerażonego Baheigne'a, wołając donośnym głosem;

— Na Bachusa! Otrzymałeś święcenia na biskupa błaznów!

Tłum wybuchnął szalonymi okrzykami. Nigdy jeszcze nie widziano króla tak zadziwionego, tak skłonnego do zabawy wraz ze swym ludem. Podczas gdy możni panowie usuwali się z estrady z pogardą, a nawet ze strachem, w pobliżu beczek służących za podstawę wzniesienia podniósł się szalony gwar. Gwar zamienił się w kłótnię. Napełniono dzbany, garnki i kubki. Po kilku minutach beczki były już puste.

Pochód opuścił Luwr tak samo, jak przyszedł na podwórze zamkowe w wielkim nieładzie i rozgardiaszu. Dołączył doń Baheigne, biskup błaznów. Zniknęła natomiast gdzieś najbardziej podziwiana trójka przebierańców dwa niedźwiedzie i małpa

Biedny Baheigne, potrącany, bity, popychany w stronę ołtarza, musiał odprawić coś w rodzaju mszy na cześć Bachusa. Podczas gdy obecni tańczyli, skakali, grali w kości, częstowali celebranta kiełbaskami i kiszką, nie dając mu ich jednak, inni palili w kadzielnicy stare trzewiki. Wkrótce wszyscy byli pijani... Zaczęły dziać się zupełnie nie dające się opisać sceny.

Dopiero koło czwartej po południu uwolniono nieszczęśliwego Baheigne'a, który umierał prawie już z głodu i pragnienia, podczas gdy całe jego otoczenie pożerało kiełbasy, kiszki, naleśniki, pieczone mięsiwo, drób, jemu zaś wszystkie te smaczne kąski przelatowały koło nosa. Nie wolno mu było ich dotknąć. Wreszcie podszeptano biskupowi błaznów, aby zakończył całą uroczystość. Odwrócił się do tłumu i starając się go przekrzyknąć, wrzasnął.

— *Ite, missa est!*

— Hi — ha! Hi ha! Hi — ha! — ryknął tłum oślim głosem.

Zapadła wreszcie noc. Rozbrzmiewający niedawno hałasem i śmiechem Luwr był teraz spokojny i cichy. Wszyscy spali. Król spędził cały wieczór przy kieliszku i grze w towarzystwie kilku ze swych najbliższych dworzan. Dużo mówiono o nie dającym się

wy tłumaczyć zniknięciu hrabiego de Valois. Prefekt zapewniał jednak, że Buridan i jego współnicy zostaną ujęci przez straż miejską i że stryj królewski będzie również odnaleziony, o ile w ogóle nie został od razu zamordowany. Około dziesiątej, co na owe czasy było późną godziną, król udał się na swe pokoje, zapytując, czy jego pokojowiec Baheigne wrócił już do Luwru. Nie było go jeszcze. Wydał więc rozkaz, aby gdy pokojowiec wróci, niezależnie od godziny wszedł niezwłocznie do jego sypialni.

— Chcę — zawołał, śmiejąc się — usłyszeć z jego ust opowiadanie o tym, jak odprawiał mszę błaznów Jaka szkoda, że nie mogłem być na niej. Dlaczego król nie ma prawa zabawić się równie dobrze jak mieszczanie? Jak musieli się śmiać moi poczciwi paryżanie! Że też mnie tam nie było! Toteż muszę przynajmniej usłyszeć opowiadanie o wszystkim.

Ludwik Zabijaka wszedł do pokoju. Jeszcze przez najbliższe pół godziny na podwórzu i na korytarzach rozlegały się kroki nocnych patroli, potem światła pogasły i wszystko umilkło.

W przedsionku królewskim wartownicy zmieniali się co dwie godziny. Przedpokój pogrążony był w półmroku, oświetlała go jedynie mała lampka, umieszczona tuż pod sufitem. Wartownik stał nieruchomo przed drzwiami królewskich pokoi, wsparty na halabardzie. Był to jeden z łuczników szwajcarskich, którymi dowodził kapitan straży pałacowej, Hugo de Trencavel.

Możliwe, że Szwajcarzy z powodu powszechnego święta podpili sobie nieco więcej niż zwykle, dosyć że pełniący służbę pocziwina zaczął przymykać oczy, ziewnął z całych sił, potem przeciągnął się. Chętnie przespacerowałby się, aby rozproszyć sen, służba jednak mu na to nie pozwalała. Musiał stać nieruchomo przy drzwiach, aż do chwili zmiany warty.

Nagle żołnierzowi wydało się, że śni. W przedpokoju królewskim stały dwie olbrzymie szafy. Otóż wartownik ujrzał nagle, że drzwi jednej z tych szaf otwierają się same cichutko, powoli... Przyglądał się temu zjawisku przez chwilę zdumiony. Zdumienie, to jednak zamieniło się w zabobonny strach, gdy w otwartych drzwiach szafy ukazała się mała. Wyszła ze swego ukrycia na czworakach, potem podeszła do niego, wykrzywiając się i podskakując.

Szwajcar przeżegnał się, w końcu mruknął:

— Niewątpliwie to diabeł.

Już otwierał usta, aby krzyknąć, lecz zabrakło mu sił. Strach odebrał mu głos. Jego dziwny sen trwał ciągle i stawał się coraz dziwniejszy. Z tej samej szafy wylazły jeszcze dwa zwierzaki, również na czworakach. Tym razem były to dwa niedźwiedzie, dwa ogromne niedźwiedzie, które stanąwszy przed nim, podniosły się na tylne łapy i znieruchomiały, podczas gdy mała wciąż się wykrzywiała niesamowicie. Wartownik poczuł, że włosy stają mu dęba na głowie. Był przekonany, że widzenie to było rzeczą diabła... Zaczął więc mamrotać pośpiesznie pacierz.

— Święty Ludwiku! — jęknął, szcękając zębami. — Obiecuję ci srebrną markę z mego przysłego żołdu, jeśli uwolnisz mnie od tych zwierząt z piekła rodem.

— Amen! — rzekła mała.

— Amen! — mruknęły dwa niedźwiedzie.

— Co to?! — szepnął Szwajcar przerażony. — Mówią zupełnie tak jak każdy porządny chrześcijanin.

Tym razem już miał wrzasnąć z całych sił, nagle mała skoczyła mu do gardła, a niedźwiedź stulił mu łapą usta.

Zwierzęta uwinęły się z przerażonym łucznikiem bardzo szybko. Uczuł, że wsunięto mu knebel w usta, związano ręce za plecami, potem podźwignięto i wpakowano do szafy.

— Bądź grzeczny, mój przyjacielu — rzekła małpa — a nie stanie ci się nic złego. Jeśli zaś zaczniesz się ruszać... zginiesz!

Szwajcar nie mógł się rzucać — zemdłał. Wtedy małpa spokojnie zamknęła szafę i zrzuciła z siebie małpią skórę. Ukazał się imć pan Bigorne, spod skór zaś niedźwiedzich wyjrzały twarze Wilhelma Wichury i Riqueta Haudryota.

Lancelot Bigorne skierował się do drzwi pokoju królewskiego i zapukał leciutko, potem wydał cichy, ośli ryk:

— Hi — ha!

— To ty, Baheigne? — zapytał król.

— Hi — ha! — odpowiedział Lancelot.

W pokoju królewskim rozległ się głośny śmiech i trzech śmiałkowie usłyszeli wesoły głos króla:

— Ten dureń jest pijany! Ciągłe mu się zdaje, że jest osłem! Chodź! Chodź tu i opowiedz mi, jak celebrowałeś swoją mszę, biskupie!

Bigorne otworzył drzwi i wszedł do sypialni. Za nim weszli Wilhelm i Riquet. Zamknęli za sobą drzwi i oparli się o nie plecami.

Ludwik Zabijaka był człowiekiem dzielnym, nie bał się ani diabła, ani Boga, jakkolwiek był dobrym chrześcijaninem. Na widok trzech nieznajomych mężczyzn, którzy wdarli się podstępem do jego pokoju, wyskoczył czym prędzej z łóżka, porwał za szpadę i zupełnie opanowany, zaledwie lekko zmienionym głosem zapytał:

— Jak śmieliście wejść tutaj?

Bigorne ukląkł przed królem i powiedział:

— Dodała nam odwagi chęć uratowania waszej królewskiej mości przed zdradą. Niech wasza królewska mość raczy przyjrzeć się nam baczniej, a przekona się, że żaden z nas nie ma przy sobie broni. Wystarczy, abys, miłościwy panie, krzyknął i wezwał któregoś ze swych strażników. Straż wpadnie do pokoju, pochwyci nas, a my nie będziemy wcale stawiać oporu. Lecz gdy nas pochwyca — nie powiemy nic.

Ludwik oparł swą szpadę o fotel, narzucił na ramiona nocny płaszcz i zapytał:

— Kim jesteście?

— To Jest Wilhelm Wichura, cesarz Galilei, a tamten Riquet Haudryot, król Palestry. Ja jestem jedynie skromnym sługą ich królewskich mości. Nazywam się Lancelot Bigorne.

— Wilhelm Wichura? — szepnął król. — Riquet Haudryot i Lancelot Bigorne? Zdaje mi się, że słyszałem gdzieś wasze imiona.

— Na pewno słyszałeś, miłościwy panie, jak herold ogłaszał na rogach ulic ceny na nasze głowy! Masz, królu, przed sobą trzech ludzi skazanych na śmierć! Każdy, kto udzieli nam schronienia, będzie również ukarany śmiercią!

Król słuchał jego słów z roztargnieniem. Zapamiętał jedynie słowo — zdrada i nie mógł sobie dać z nim rady. Już od dnia widzenia się z Mabel wyraz ten dręczył go po nocach, odbierając mu sen i spokój. Kto mógł go zdradzać? Czarownica mówiła, że kobieta! Miał jej szukać w swym środowisku... W samym Luwrze!

— Jesteście bezczelnymi łotrami! — mruknął gniewnie. — Lecz niech tam. Nic mnie to nie obchodzi. Zaczekajcie tu na mnie! Król udziela wam azylu i w czasie pobytu pod jego dachem ręka kata was nie dosięgnie.

Wyrzekłszy te słowa, Ludwik X opuścił pokój, pozostawiając trzech przyjaciół samych.

— Ty świński pomociu! — pisnął Riquet, zwracając się do Bigorne'a. — Wiedziałem, że zaprowadzisz nas w samą paszczę wilka!

— Cierpliwości! — odpowiedział Bigorne. — Wilk nas nie pożre.

— Nie mamy broni! — warknął Wilhelm.

Bigorne uśmiechnął się, odsłonił brzegi swego kaftana i wyjął z wewnętrznej kieszeni trzy krótkie sztylety. Zatrzymał jeden z nich dla siebie, wręczając towarzyszom dwa pozostałe.

— Nie umrzemy bezbronni — rzekł do przyjaciół.

— Chwała Bogu! — ucieszył się Wilhelm. — Będziemy mogli umrzeć jak na dobrych chrześcijan przystało w licznym i w dobranym towarzystwie.

— Teraz brakuje tylko dobrego piwka, abyśmy mogli czuć się jako tako — oświadczył Riquet Haudryot.

— Ejże, kto powiedział, że u naszego króla jegomości może zabraknąć piwa?! Widzę tu coś o wiele lepszego od piwa! To miód! Miód, jakiego nie piłem nigdy, nawet w Val d'Amour!

Wilhelm Wichura wygłosił te słowa na widok dużego, srebrnego dzbanu, pełnego wybornego miodu. Stał na pobliskim stole. Podszedł do stołu, pochwycił dzban i powąchał znajdujący się w nim miód, potem napełnij miodem stojący przy dzbanie srebrny kubek, z którego pijał zazwyczaj sam król. Wychylił miód duszkiem i mlasnął zadowolony językiem.

Kubek zaczął krążyć z rąk do rąk.

Tymczasem król minął przedpokój, jeszcze dwie komnaty i wszedł do sali, w której czuwało dwudziestu halabardników, pełniących pod dowództwem oficera nocną służbę w pałacu.

— Król jegomość! — wykrzyknął donośnym głosem jeden z żołnierzy na widok wchodzącego.

Wszyscy zasalutowali, porywając za broń. Ludwik X przyglądał się im przez chwilę błędnym wzrokiem. Usta drżały mu powściąganym gniewem.

— Oficerze! — wykrzyknął. — Przywołać mi kapitana!

Oficer pośpieszył spełnić rozkaz. W niespełną minutę ukazał się Hugo de Trencavel blady i przerażony tą nieoczekiwaną, nocną wizytą króla.

— Trencavel, wszystkich twych żołnierzy zakuć niezwłocznie w kajdany!

— Ale...

— Jeszcze jedno słowo, a każę i ciebie wtrącić do podziemi pałacu.

— Ale oficer, najjaśniejszy panie...

— Oficera również w kajdany!

Wtedy oficer, skazany przez króla na tak sromotną karę, stanął na czele szeregu swych żołnierzy, zasalutował szpadą i głosem spokojnym rzucił rozkaz przedefilowania przed królem. Po odbytej defiladzie cały oddziałek ruszył ku wyjściu i po chwili z daleka już słyhać było tylko echo kroków, oddalającego się posterunku. Wszystko to odbyło się w przepisowym porządku i ciszy, jedynie bladeść rozlana na twarzach defilujących świadczyła o tym, że zdawali sobie oni doskonale sprawę z tego, iż defilada ta jest jak gdyby preludium do procesu, jaki zostanie im wytoczony. Żaden z nich nie skrzywił się nawet, żaden nie zdradził się ani jednym gestem obawy. Wiedzieli jednak doskonale, że czeka ich niejedna ciężka chwila.

Po kilku minutach przybył nowy pluton Szwajcarów i zastąpił tych, którzy odeszli, król zaś uspokojony tym doraźnym wymiarem sprawiedliwości zawrócił w stronę swego przedsionka w towarzystwie Trencavela.

— Ależ, *sire*, pod twymi drzwiami musiał stać żołnierz na warcie! — wykrzyknął Trencavel.

Na ten okrzyk odpowiedziało jakieś głucho westchnienie, podobne raczej do jęku. Trencavel podszedł pośpiesznie do szafy, skąd dźwięk wychodził, otworzył drzwi i ujrzał leżącego na dnie szafy strażnika. Był związany i miał zakneblowane usta. Trencavel, domyślając się, iż królowi musiało grozić jakieś niebezpieczeństwo i że

najprawdopodobniej do pałacu dostali się jacyś łotrzykowie lub włóczędzy, zadrzał z przerażenia i pospiesznie przeciął więzy Szwajcarowi.

— Kto cię tak urządził? Kto napadł na ciebie? — zapytał go niespokojnie.

— Małpa! — wybełkotał żołnierz.

— Jaka małpa, głupcze?

— Niedźwiedź! — mówił dalej biedny halabardzista, szczękając zębami.

— Ten człowiek oszalał ze strachu, *sire*. Zdaje mi się, że teraz rozumiem, dlaczego moi żołnierze są zakuci w kajdany. Błagam cię, miłościwy panie...

— Nie sil się, mój Trencavełu, na zrozumienie tego, co się stało. Nic nie zrozumiesz. Obstaw jedynie moje pokoje strażą. Sam na czele oddziałku bądź w pobliżu i na pierwsze wezwanie wejdź do mego pokoju, wtedy dopiero zrozumiesz może cokolwiek.

Z tymi słowami powrócił do siebie i ujrzał swych nocnych gości spokojnie wyczekujących na jego powrót.

— A teraz czekam na wyjaśnienia — powiedział do nich!

Padł na fotel i przygotował się do wysłuchania ich. Był w tej chwili raczej w dobrym humorze, lubił bowiem czyny śmiałe, a nawet zuchwałe.

— *Sire* — rzekł Bigorne, słysząc odgłosy kroków, dolatujących z korytarza — domyślam się, że kazałeś otoczyć nas. Przypominam jednak, że dałeś, wasza królewska mość, królewskie słowo, gwarantujące nam bezpieczeństwo do czasu, dopóki jesteśmy w twoich pokojach.

— Istotnie, miłościwy pan powiedział to, nie możemy jednak aż do końca dni naszego żywota siedzieć tutaj. Będziemy musieli kiedyś stąd wyjść. A wtedy żadnego schronienia! — dodał Riquet Haudryot.

Król podniósł się z miejsca, podszedł do drzwi i zawołał:

— Trencavel!

— Zginęliśmy! — szepnął Wilhelm, ściskając kurczowo w garści rękojeść swego sztyletu.

— Ten Bigorne to prawdziwy głupiec! — mruknął gniewnie Riquet.

— Zaczekajcie, do diabła, miejcie cierpliwość! — mitygował ich Bigorne.

Kapitan gwardii wszedł do pokoju i zdumiał się na widok trzech mężczyzn.

— Trencavel — król rzucił rozkaz — niech mi tu przyprowadzą natychmiast Capeluche'a (Bigorne skrzywił się lekko) i mego skarbnika (grymas wyrażający przerażenie zamienił się w radosny uśmiech).

Riquet na dźwięk imienia Capeluche zachwiał się na nogach, Wilhelm zaś owinął szczerze szyję szalikiem, jakby chcąc ją osłonić przed katowską ręką.

Kapitan straży pośpieszył czym prędzej wykonać rozkaz królewski. Król zamknął drzwi i rzekł do trzech intruzów.

— Wszyscy trzej jesteście skazani za zamach na mego stryja, hrabiego de Valois. Wybierajcie między trzema stryczkami a trzema sakiewkami skarbnika. Spróbujcie tylko kłamać, a stryczek pewny. Powiecie prawdę, a dostaniecie na własność sakiewki pełne złota! Wybierajcie!

— Sakiewki, *sire*, sakiewki! — wykrzyknął Bigorne.

— Mów więc i zacznij od opowiedzenia mi, jaką uczyniliście krzywdę hrabiemu.

— Żadnej miłościwy panie! Żadnej! Zaprosiliśmy go jedynie na szyneczkę i na dzbanuszek dobrego piwka. Przyjął zaproszenie chętnie, z uprzejmością prawdziwego szlachcica. Okazało się potem, że jaśnie wielmożny pan hrabia znalazł szyneczkę soczystą, a piwko tak orzeźwiające i smakowite, że nie zechciał opuścić przyjemnego miejsca, dokąd go zawiedliśmy. Przysięgał na wszystkie świętości, że chce tam spędzić cały tydzień... Groził nam nawet stryczkiem, jeśli zechcemy go pozbawić tych przyjemności.

— Na Boga! — zawołał król. — Ośmielasz się pokpiwać sobie z twego króla, ty nędzny nicponiu! Gdzie jest hrabia? Mów w tej chwili, w przeciwnym bowiem razie każę cię przypiec na wolnym ogniu jeszcze przed wschodem słońca.

— Miłościwy panie — rzekł Bigorne — jestem gotów zaprowadzić waszą królewską mość do hrabiego de Valois, jeśli tylko zechcesz, królu, pójść ze mną. Przysięgam, że zobaczysz się z hrabią, któremu nie stała się żadna krzywda. Przysięgam jednak również, że jeśli ty sam, miłościwy panie, nie pójdziesz uwolnić z niewoli twego stryja, jeszcze przed wschodem słońca rozstanie się on z życiem. Co zaś do tego przypiekania na ogniu każda śmierć jest śmiercią. Chyba domyślasz się, królu, że jeśli wazyliśmy się dostać do Luwru, zwalczając po drodze tyle trudności, wiedząc, co nam za to grozi, domyślasz się chyba, miłościwy panie, że w tych warunkach musieliśmy uczynić już zawczasu ofiarę z naszego życia. Jednocześnie jednak zwracam twą uwagę, najjaśniejszy panie, na to, że dostatecznie cenimy twoją osobę i twe życie, bo przyszliśmy tu bez broni... Moglibyśmy pozwolić sobie na wiele, było nas bowiem trzech na jednego. Jeśli więc teraz błagam waszą królewską mość o udanie się ze mną do hrabiego de Valois. I nie mam żadnych złych zamiarów. Przeciwnie, może stąd wyniknąć dla ciebie, miłościwy panie, jedynie dużo korzyści. Na twarzy Bigorne'a rozlał się wyraz wielkiej odwagi i godności.

Król spoglądał na niego ze zdziwieniem j połączonym z wyraźnym podziwem.

— Przed chwilą z ust twych padł wyraz...

— Tak, mówiłem o zdradzie — rzekł Bigorne, a wzrok jego błysnął radosną przebiegłością. — W tym samym i miejscu, gdzie znajdziesz, miłościwy panie, hrabiego de Valois, odkryjesz i ślad zdrady, o której ci wspomniałem.

Ludwik Zabijaka zmieszał się, zacisnął pięści. Wzrok jego błysnął gniewem:

— Któż więc zdradza mnie, twoim zdaniem? — bąknął.

Bigorne odpowiedział:

— Kobieta!

Król podniósł dłoń do czoła.

— Kobieta! — szepnął. — Kobieta! Mówisz to samo, co powiedziała mi czarownica z Tempie. Kobieta mnie zdradza! Cóż to za kobieta? Jaka to jest zdrada? Raz się dowiedzieć, o co chodzi, bodaj nawet wystawiając życie na szwank! Raz wiedzieć wszystko, a nie dręczyć się wiecznie przypuszczeniami... Muszę wiedzieć całą prawdę!

Zadzwoił. Za chwilę w progu pokoju stanął Trencavel.

— *Sire!* — rzekł do króla. — Ani skarbnik, ani kat nie przybyli jeszcze, lecz powinni tu być za chwilę.

— Trencavel — powiedział król — życzę sobie, aby nie zwlekając ani chwili, sprowadzono mi tu kobietę, która siedzi w Tempie, oskarżona o czary i niedozwolone diabelskie praktyki. Przyprowadźcie ją. — A swych niecodziennych gości zapytał: — Jak długo może potrwać wasza wizyta?

— Może godzinę! — odpowiedział Bigorne. — Może dzień cały. Zależy to całkowicie od woli waszej królewskiej mości... no i od tego, czego się dowiesz, królu.

— Trencavel, przywieźcie mi tę kobietę.

Kapitan gwardii zniknął z pokoju. Wtedy król zaczął się ubierać, a Bigorne pośpieszył mu z pomocą.

— Umiesz więc służyć przy ubieraniu? — zapytał król.

— Jestem, miłościwy panie, tak samo pokojowcem jak mój czcigodny kolega, pan Baheigne.

— Czyim jesteś lokajem?

— Pana Jana Buridana, absolwenta Sorbony. Właśnie w tej sprawie, jeśli będziesz, panie, zadowolony z mej usługi, mam cię prosić o jedną wielką łaskę.

Ponieważ mój pan jest skazany na śmierć, prosiłbym o pozwolenie towarzyszenia mu aż na samo miejsce kaźni.

— Pozwalam.

— Czy mam na to królewskie słowo?

— Słowo szlachcica. Gdy tego buntownika poprowadzą na szubienicę, ty jeden będziesz miał prawo mu towarzyszyć i pomagać przy robieniu ostatniej toalety.

— Dziękuję, najjaśniejszy panie! — rzekł Bigorne.

Ludwik, już zupełnie ubrany, ruszył ku wyjściu i rzekł do trójki przyjaciół:

— Pójdźcie za mną!

Wtedy Wilhelm chwycił za sztylet królewski, leżący na stole, Riquet zaś porwał szpadę opartą o fotel. Jakby na umówiony znak podali królowi broń.

— *Sire* — rzekł Wilhelm — zapomniałeś zabrać ze sobą broń.

— Szlachcic nie wychodzi nigdy z domu bez broni — dodał Riquet.

Ludwik obrzucił obu zdziwionym spojrzeniem, przypasał szpadę, włożył za pas sztylet i powtórzył:

— Pójdźcie za mną!

Wszyscy ruszyli w drogę. Ludwik szedł pierwszy, mrużąc jakieś niezrozumiałe wyrazy. Bigorne postępował za nim, nie słyszał jednak tego, co mówił król. Mijając każdy posterunek, każdą furtkę, król rzucał hasło.

Wreszcie po przejściu szeregu korytarzy, arkad, podwórz i bram minęli mały mostek i znaleźli się pod gołym niebem. Luwr pozostał za nimi.

— A teraz — odezwał się król — wy mnie prowadźcie.

Znaleźli się na wybrzeżu Sekwany. Bigorne wszedł do łodzi i podał królowi rękę, chcąc mu dopomóc przy wsiadaniu. Ludwik jednak nie przyjął pomocy, wskoczył do łodzi i usiadł na dziobie. Siedział nieruchomy ze skrzyżowanymi rękami, twarzą odwrócony w stronę rzeki i rozmyślał: „Która to kobieta mnie zdradza! Jak zdradza?”

Łódź ruszyła, przecinając prąd rzeki, podobna do nocnego ptaka, który w przelocie nad wodą muska czasem skrzydłem jej senną powierzchnię. Wreszcie dziób łodzi wbił się w nadbrzeżny piasek na przeciwległym brzegu. Król wyskoczył z łodzi, podniósł głowę, aby się przekonać, skąd pochodził ów dziwny cień, w którym znalazł się, stanąwszy na brzegu. Ze zdumieniem i z głuchym niepokojem szepnął: *Wieża Nesle!*

XXVI

„SZUKAJCIE, A ZNAJDZIECIE”

Lancelot Bigorne wszedł do przedsionka wieży, wiodąc za sobą króla. Weszli schodami na pierwsze piętro. Wilhelm i Riquet pozostali w przedsionku. Już na pierwszym piętrze Bigorne zatrzymał się na chwilę:

— Od kogo mamy zacząć? — zapytał. — Od hrabiego de Valois czy od zdrady? Od stryja czy od kobiety?

Król westchnął, zamyślił się, po czym rzekł głośno:

— Od zdrady!

— Dobrze! Od kobiety! — syknął Bigorne przez zęby, a w myśli dodał: „Zresztą czy stryj, czy kobieta... I to i to rodzinka”.

— W takim razie — rzekł głośno — zechcesz, miłościwy panie, iść za mną tymi schodami aż na szczyt wieży. Uciążliwa to droga, wiedzie prosto do nieba.

— Niechby nawet schodziło się nią do piekła, nie zawahałbym się pójść tam za tobą — mruknął król.

Bigorne kiwnął głową i ruszył znowu przodem.

W chwili gdy mijali drugie piętro, jakieś drzwi otworzyły się powoli, w progu stanął błąd jak trup mężczyzna. Spoglądał błędnie przed siebie... Zaczął iść za nimi, nie czyniąc najmniejszego hałasu.

U szczytu wieży Bigorne przystanął.

— To tu — powiedział. — Przypomnij sobie, najjaśniejszy panie, słowa z Pisma Świętego: „Pukajcie, a będzie wam otworzone”, „Szukajcie, a znajdziecie”!

Lancelot Bigorne skłonił się głęboko, zamiatając brzegiem kapelusza podłogę i cały w lansadach, w ukłonach zniknął za zakretem schodów.

Król stał przez chwilę w milczeniu przed drzwiami, za którymi kryła się tajemnica.

— „Pukajcie, a będzie wam otworzone” — powiedział Lancelot. — Lecz ja jestem królem, mam prawo wchodzić wszędzie bez pukania, nawet gdyby te drzwi wiodły do nieba!

Pchnął drzwi i wszedł do pokoju poprzedzającego biesiadną salę wieży. Rozejrzał się zdziwiony, był bowiem pewien, że zastanie tu kogoś. Widząc, że salonik jest pusty, pośpieszył do następnej komnaty. Tu jednak również nie było nikogo. Obszedł dalsze. I w nich nie było nikogo. Wrócił do pierwszego pokoju, usiadł i zaczął rozmyślać.

„Bigorne powiedział: Szukajcie, a znajdziecie! Szukam — lecz czy znajdę? Ach! Dlaczego nie ma ze mną Małgorzaty? Ona umiałaby znaleźć... Taka mądra, a przy tym miłość, jaką żywi do mnie, byłaby jej najlepszym przewodnikiem. Kto jednak był tak zuchwały, aby wybrać wieżę Nesle, posiadłość królewską, na miejsce niecnych konspiracji? Co się może dziać w tej sali? Dlaczego te meble, nie mniej piękne niż meble Luwru nie mogą nic powtórzyć z tego, co widziały? Te obrazy...”

Król wstał z miejsca i zbliżył się zaciekawiony, spoglądając na obraz noszący podpis: „Pani Cnota wieńcząca Zasługi”.

Jakkolwiek w królu Ludwiku było dużo cech żołdaka, jakkolwiek widywał już, przy ulicy Val d'Amour, obrazy bardzo lekkiej treści, jednak treść obrazu, który miał w tej chwili przed sobą, była taka, że mimo woli zarumienił się i spuścił oczy. Lecz mimo to był zachwycony. Zaczął oglądać pozostałe obrazy. Robiąc ten przegląd, zauważył również, że całe urządzenie pokoju jest zbyt koczownicze. Olbrzymie szafy i kredensy były zastawione naczyniami złotymi, srebrnymi, kryształami, a w pokoju unosiła się upajająca woń drogich pachnidła.

Wtedy stanął zdumiony i szepnął:

— Ależ to nie jest miejsce, w którym rodzą się zamachy stanu... Tu odbywają się orgie!

W samej głębi salonu ujrzał szeroką dębową szafę, pięknie rzeźbioną w tańczące nimfy i fauny. Otworzył drzwi szafy i stanął zdumiony — wisały w niej jedynie suknie kobiece. Przyjrzał się im uważnie i stwierdził, że są to szaty, jakie ma na sobie pani Cnota z obrazu.

— Niech mnie kule biją, jeśli nie są to szaty ladacznicy! Rzekłbyś, że wszystkie dziewczyny z Champ-Fleury przychodzą tutaj ubierać się na swe występy.

Zaczął się śmiać, czuł jednak, że jednocześnie rodzi się w nim jakiś głuchy, nieokreślony niepokój, niepokój taki, jakiego doznają ludzie, nad którymi zawisło nieszczęście. Śmiał się, a jednocześnie powtarzał w duchu: „Znam ten zapach, który unosi się z tych szatek! Gdzie mogłem się z nim spotkać? Gdzie? Czy na Val d'Amour?”

Powoli wypuścił z ręki brzeg lekkiej sukni, wtedy tuż za nią ukazał się gronostajowy płaszcz, jaki wolno było nosić jedynie damom bardzo szlachetnych rodów.

Król zbladł. Wydało mu się; że ten płaszcz widział już gdzieś. Nagle wzrok jego padł na spinające płaszcz klamry. Były ozdobione dwoma ogromnymi szmaragdami ... Poznał je! Wyszeptał:

— Niech mnie piekło pochłonie, jeśli szmaragdy te nie zostały ukradzione królowej!

Zaczął dygotać i upadł na fotel bez sił. Po raz pierwszy w mózgu jego błysnęła straszna myśl. Straszne podejrzenie, ostre i piorunujące. Oślepiło go jak błyskawica w mroku nocy. Myśl ta błysnęła i zgasła, nie pozostawiając po sobie na razie żadnego śladu. Zaczął się śmiać długo, nerwowo. Sam nie wiedział, czemu ma przypisać tę nagłą radość. Spojrzał po raz kolejny na obraz przedstawiający Panią Cnotę. Wydawało mu się, że śni jakiś zły sen... Kobieta na obrazie, w pozie, na którą nie mógł bez rumieńca patrzeć, miała głębokie i piękne oczy królowej! Gęste, lśniące włosy królowej.

Powstał z miejsca i jednym susem znalazł się przy obrazie! W kilka chwil ostrze jego sztyletu poszarpało, zniszczyło, pocięło całkowicie ten bezwstydną obraz w drobne kawałki. Po czym wyczerpany nerwowym wysiłkiem Ludwik X padł na fotel, ciężko dysząc. Włosy zjeżyły mu się na głowie, był spocony, oczy wyszły mu z orbit wyglądał strasznie.

— Och! Ja chyba dostaję bzika! Jakież straszne, niesamowite obrazy dręczą moją biedną wyobraźnię! Oczy moje skłamały! Nie widziałem nic! Nic zgoła!

Uklęknął i zaczął składać kawałki pokrojonego obrazu; dzieło zniszczenia było jednak całkowite. Kawałki płótna zamknęły tę kartę tajemnicy na zawsze. Wtedy król powtórzył:

— Ja nic nie widziałem! To mi się tylko śniło!

Wstał, obejrzał się dokoła, potem znieruchomiał, kryjąc w rękach podbródek. Wobec królowej nie miał żadnych podejrzeń... Przebiłby się sztyletem, gdyby stwierdził, że śmie ją podejrzewać! Nie rozumiał więc, czemu ma przypisać uczucie smutku, jakie zaczęło go dręczyć coraz silniej. Nie znany mu zupełnie niepokój chwycił go za gardło.

Powoli uczucie to minęło. Był znowu sobą. W ślad za tym przyszedł gniew. Na usta wybiegło przekleństwo. Na kogo się gniewał? Nie zdawał sobie z tego sprawy.

— Szukajcie, a znajdziecie! Szukajcie! Czego? Jakiej mam szukać zdrady? Jak mogę się dowiedzieć? A jednak muszę! Choćbym miał zburzyć do cna całą wieżę. Choćbym miał każdy kamień pytać o jej tajemnicę! Muszę!

Ogarnął go szal. Zaczął łamać i niszczyć wszystko, co nawinęło mu się pod ręce, aż natrafił na mały stolik. Przewrócił go uderzeniem pięści.

Mały hebanowy stoliczek, przepięknie rzeźbiony rozleciał się na kawałki! Wypadła szufladka, a z niej papiery! Ludwik wykrzyknął dziko:

— Nareszcie dowiem się!

Przyklęknął, chcąc uchwycić upragnione dowody obciążające, ktoś go jednak uprzedził. Król zerwał się wściekły z ziemi. Przed nim stał mężczyzna i trzymał w kurczowo zaciśniętej ręce tajemnicze dokumenty.

— Kim jesteś? — zapytał król.

— Jestem Filip d'Aulnay — odpowiedział mężczyzna.

— Ach! Więc to ty jesteś Filipem d'Aulnayem? Dobrze!

— A czy wiesz, kim ja jestem?

— Tak. Mówię z Ludwikiem X, królem Francji.

W duszy Filip d'Aulnay jęknął: „Mówię z mężem Małgorzaty”.

— Czy wiesz, na jaką zasłużyłeś karę za twoje postępowanie względem króla?
— Na karę śmierci, *sire*?
— Już raz skazany na śmierć przez prefekta, zasłużyłeś teraz na drugi wyrok, Filip ukłonił się w milczeniu. Zaległa cisza, przerywana jedynie charczącym oddechem Ludwika X.

— Daj mi te papiery! — rzekł wreszcie król. — Bo jeśli nie dasz, klnę się na wszystkie świętości, że nie będę czekał na to, aż kat wykona na tobie wyrok.

— Miłościwy panie — odpowiedział Filip z lekkim uśmiechem goryczy w ustach — zadasz mi tylko śmierć! Żądając zaś tego, abym ci oddał te papiery, chcesz jeszcze skazać mnie na wzgardę całej szlachty francuskiej. To już przekracza twoją władzę, takiego czynu nie możesz mi nakazać! Papiery te nie są ani twoją, ani moją własnością... Nie wolno nam ich czytać. Są to papiery kobiety!

— Kobiety! — krzyknął Ludwik. — Kim jest ta kobieta?

Z ust Filipa padło westchnienie i słowa:

— To moja kochanka...

Król westchnął ciężko. Na chwilę zawahał się, potem jednak zawołał:

— Imię tej kobiety...

Filip potrząsnął gwałtownie głową.

— Posłuchaj! — wołał dalej król. — Musisz wybierać: albo imię kobiety, albo papiery! Żądam tego od ciebie!

— Nie będziesz miał, miłościwy panie, ani jednego, ani drugiego.

Przez chwilę król stał jak wryty, kurczowo ściskając w ręku szpadę. Filip był pozornie spokojny. Milczał. Wreszcie Ludwik rzucił:

— Ta kobieta zdradza...

Filip zbladł jeszcze bardziej i zapytał jakimś dziwnym głosem:

— Zdradza? Kogo?

— Mnie! Mości Filipie d'Aulnay, wiem o tym, że jakaś kobieta zdradza mnie. Jestem tego pewny. Czuję wszędzie tę zdradę. Wlecze się za mną. Filipie d'Aulnay, już ci nie rozkazuję, proszę cię! Jedno twoje słowo wróci mi życie!

— Miłościwy panie! Wolałbym raczej wydrzeć sobie serce niż wymienić imię tej kobiety!

— A więc zgiń! — warknął Ludwik, rzucając się z podniesioną szpadą na Filipa.

Szpada królewska zwarła się gwałtownie z drugą szpadą, a jednak Filip nie ruszył się z miejsca. Przed Ludwikiem X wyrosła nowa postać... Mężczyzna, który zjawił się tak nagle, rzekł zimno:

— Czy chcesz, *sire*, pozostawić wakujący tron Francji jednemu z twoich dwóch braci w spadku?

— Buridan! — szepnął Filip.

— Łotry! — wrzasnął Ludwik. — Zmuszacie mnie do tego, abym oszczędził pracy memu katowi.

Z tymi słowami rzucił się do walki.

— Bigorne! — zawołał Buridan. — Pochodnię!

— Już jest, jaśnie wielmożny panie! — odezwał się głos Bigorne'a, który nadbiegł z płonąca pochodnią w ręku.

— Pal prędzej, Filipie! Pal twoje papiery! — mówił dalej Buridan, parując gwałtowne ciosy szpady królewskiej.

Filip d'Aulnay posłusznie podszedł do pochodni i zaczął palić listy.

Mimo całej wściekłości, pomimo gwałtownych ataków nie udało się królowi przełamać obrony Buridana osłaniającego dostęp do Filipa. Gdy ostatnia kartka papieru zajęła się ogniem, Filip, który dotychczas nie patrzył nawet na palone przez siebie listy, zerknął raz jeden... Jedyne raz. Ujrzał podpis: Małgorzata Burgundzka.

— Uratowana! — szepnął Filip.

Król widząc, że z ostatniego listu został już tylko popiół, zrozumiał, iż dalsza walka jest zbędna. Położył szpadę na stole. Ręce mu drżały.

Buridan przyglądał się Ludwikowi z lekkim odcieniem współczucia.

— Rozumiem dobrze, *sire*, że popełniłem zbrodnię stanu, podnosząc broń na króla. Głowa moja do ciebie należy, każ mnie ściąć!

— Włóczęgo! Łotrze! — mruknął król półgłosem. — Mówisz dlatego, że masz jeszcze nadzieję na ocalenie. Bądź jednak pewien, że co się odwlecze, to nie uciecze... Kara spóźniona będzie tym straszniejsza.

Buridan odpaś szpadę, postawił ją w kącie, skrzyżował ręce na piersiach i rzekł spokojnie:

— *Sire*, do zbrodni zdobycia przeciw tobie pałasza przyłączam drugą: zuchwalstwo, bo przecież zuchwalstwem jest udzielanie rad tobie, królu. Zupełnie tak, jak gdybym był Valois, twoim krewniakiem — dodał z goryczą, której król rzecz oczywista nie mógł zrozumieć.

— Rada moja brzmi następująco: wejdź, miłościwy panie, na platformę wieży i obwieść wszem i wobec, że wszyscy ci, za których głowy wyznaczyłeś nagrody, znajdują się tutaj. Po takim obwieszczeniu możesz być pewien, że lud oszczędzi ci trudu transportowania nas do celi więziennej. Ja zaś przysięgam, że nie będę stawiał żadnego oporu.

— Ani ja! — rzekł Filip, stając obok Buridana.

— Tam do licha! — ryknął jeszcze jeden głos. — Mów za siebie, Buridan! A ty za siebie Filipie! Dajcie się powiesić, jeśli już wam tak bardzo zależy na śmierci! Lecz ja pragnę żyć... tak, ja, Gautier d'Aulnay! Przysięgam więc, że zasztyletuję własnoręcznie króla Francji, jeśli zechce uczynić bodaj jeden krok, aby wezwać kogoś na pomoc!

— I ja także! — dodał Wilhelm.

— I ja! — pisnął Haudryot.

— No i ja! — oświadczył Lancelot. — A zwracając się do króla, dodał: — *Sire*, radziłem ci, abys szukał, to znajdziesz, nie moja wina, że nic nie znalazłeś. Obiecałem ci jednak, miłościwy panie, że zobaczysz się z twoim czcigodnym stryjem, jaśnie wielmożnym panem hrabią de Valois. Pójdź za mną, *sire*! Jeśli nie, to hrabia de Valois zginie z mej ręki. Tym razem już na pewno.

Bigorne, mówiąc te słowa, spojrział z ukosa na Buridana, który zbladł i szepnął:

— Hrabia de Valois?! A więc on nie jest na wolności?

Nagle Wilhelm pociągnął go za rękaw na stronę i szepnął na ucho:

— Chodź, Buridan! Masz może prawo rozporządzania swym życiem, lecz ja ze względu na nas, kwestionuję je.

To mówiąc, pociągnął go jeszcze silniej w swoją stronę. Jednocześnie Gautier odciągnął również Filipa.

— Do zobaczenia, moi panowie! — zawołał król groźnym głosem.

Buridan odwrócił się na odchodnym i odpowiedział:

— Każdej chwili możemy się spotkać, miłościwy panie!

Teraz Ludwik X rzekł do Bigorne'a:

— Zaprowadź mnie do hrabiego de Valois. Na Boga! Tobie jednemu z całej bandy chętnie darowałbym życie. Jesteś wesołym kompanem. Posłuchaj mnie. Gdy twój pan będzie już skazany i zamknie oczy na zawsze, przyjdź do Luwru, obiecuję ci, że znajdziesz drugiego pana, na którego nie będziesz się żalić.

Ludwik, widząc, że jest bezsilny, uspokoił się i odłożył zemstę na bardziej odpowiednią chwilę. Był szczery, proponując Bigorne'owi stanowisko w Luwrze. Podobała mu się jego odwaga i humor.

Bigorne, słysząc propozycję króla, skrzywił się z komiczną rozpaczą.

— Trzeba mieć mego pecha! W chwili gdy nareszcie mogę zdobyć godne stanowisko społeczne, czyha na mnie śmierć. A tymczasem jak mógłbym używać w Luwrze! Jestem pewien, że jada się tam dobrze i spija nektary!

— Będiesz jadł i pił do woli — odparł król. — Powiedz mi jednak, dlaczego śmierć ma czyhać na ciebie, przecież otrzymasz ode mnie ulaskawienie!

— Powiedziałeś przecież, miłościwy panie, że Buridan jest skazany na śmierć!

— Istotnie — rzekł król posępnym głosem.

— Otóż muszę opowiedzieć, co mi się przytrafiło. Pewnego wieczoru ja i kilku moich kompanów napadliśmy w ciemnej uliczce na jakąś bogatą panią, chcąc ulżyć nieco jej kieszeni. Rzecz oczywista, podniosła wrzask. Nagle jakiś wariat rzucił się na nas, grożąc nam sztyletem i rozpędził nas wszystkich. Ja tylko pozostałem na placu. Owym wariatem był pan Jan Buridan. Przyłożył mi do gardła sztylet i już miał mnie oddać w ręce strażników z tamtego świata, gdy napadnięta przez nas pani, odezwała się do niego: „Panie Buridan, chcę darować życie temu człowiekowi. Jestem wieszczką, wyznaczam mu karę, od której nie będzie mógł się wywinąć. Od dnia dzisiejszego zostanie on twym służącym i los jego będzie ściśle związany z twoim losem. Życie jego połączy z twoim życiem ta oto nić”. Z tymi słowami owa wieszczka, czy też czarownica, owinęła dokoła szyi Buridana czerwoną nitkę, a drugi jej koniec omotała dokoła mej szyi. Potem dodała: „Gdy nić ta pęknie w dniu śmierci Buridana, Lancelot Bigorne w tej samej chwili umrze również”.

Było to fantastyczne opowiadanie, król jednak uwierzył w nie. W owej epoce wierzono w jeszcze mniej prawdopodobne historie. Wykrzyknął jedynie ze zdziwienia:

— Ależ ja nie widzę tej nici!

— Ja nie widzę jej również — odpowiedział spokojnie Bigorne. — Widziałem ją jedynie przez chwilę, gdy czarownica omotała ją dokoła mej szyi. Teraz czuję ją tylko. Z całej tej historii wynika, że gdy Buridan zginie, jak tego sobie wasza królewska mość życzy, nie będę mógł udać się do Luwru, ponieważ w tej samej chwili ja również padnę trupem.

Król Ludwik pokiwał głową i zapytał:

— A co się stało z czarownicą?

— Wiem tylko, że w tej chwili jest uwięziona w Tempie.

Ludwik zadrżał.

Bigorne wymyślił całą historię, jak należy przypuszczać, jedynie w tym celu, aby dać Buridanowi i jego towarzyszom czas na ucieczkę.

Król zamyślił się o wieszczce. Opowiadanie Lancelota zajęło go do tego stopnia, że zapomniał, w jakim celu przybył do wieży Nesle. Bigorne, uważając widocznie, że rozmowa trwa zbyt długo, przywołał króla do rzeczywistości.

— *Sire* — powiedział — hrabia de Valois czeka na ciebie.

— Chodźmy więc! — rzekł król. — Porozmawiamy z hrabią, a potem dziś jeszcze, każę przeszukać całą tę wieżę od góry do dołu i wydrę jej tajemnicę!

— Już za późno!

— Za późno! Papiery zostały spalone. Tego miałem szukać, nieprawdaż?

— Być może!

— Zawierały one imię kobiety, która mnie zdradza! Były dowodami zdrady! Tak, masz rację, już za późno. Dałem się nabrać, ja, którego najzręczniejsi doradcy, tacy jak Marigny i Valois, nie mogli nigdy oszukać!

— Jesteś chodzącą mądrością, *sire*!

— A teraz jestem nabrany i zwyciężony! Ci ludzie zapłacą za swą bezczelność! Na Boga! Muszę wynaleźć dla nich jakąś straszliwą karę...

— Jesteś uosobieniem sprawiedliwości, *sire*!

— Będą żywcem obdarci ze skóry!

Król zaczął śmiać się na myśl o wybranej przez siebie karze. Bigorne śmiał się z nim razem, czuł jednak, że lodowacieje z przerażenia. Król śmiał się, a w duszy szeptał: „Kobieta, która mnie zdradza, jest kochanką Filipa d’Aulnaya! Och! Dziesięć lat życia za jej imię! Ta czarownica, uwięziona w Tempie, zna to imię! Zmuszę ją do mówienia!”

— A teraz — rzekł głośno — prowadź mnie do hrabiego, a jeśli przypadkiem przeżyjesz swego pana, pamiętaj, że czekam na ciebie w Luwrze. Ty jeden okazałeś mi życzliwość! Byłeś dobrym doradcą. Chodź ze mną od razu!

— To niemożliwe! Ta nie! Czuję, że ona mnie dusi! — odpowiedział Lancelot.

Zaczął kasłać, kichać, charczeć, poczerwieniał na twarzy zupełnie tak, jakby się dusił. Głosem przerywanym czkawką wyjąkał:

— Jeden jest sposób uratowania mi życia — ułaskawienie mego pana, Jana Buridana.

— Nigdy! — warknął król. — Tym gorzej dla ciebie, biedny Lancelocie!

Lancelot machnął z rezygnacją ręką i poprowadził króla do podziemi. Wreszcie stanąwszy pod drzwiami celi Valois, rzekł:

— To tu!

Król wszedł do wnętrza. Bigorne przez chwilę miał chęć zamknąć za nim drzwi na klucz, szepnęła jednak w duchu do siebie, wzruszając ramionami: „Uwięzić króla Francji! Byłaby to przygoda, o jakiej historia mówiłaby przez szereg wieków! Z tak szlachetnym jednak człowiekiem, jak mój pan, nie opłacało się sprowadzać tu króla! A sposobność była tak dobra, aby pozbyć się Małgorzaty! Już się nie wtrącam do niczego!”

Bigorne opuścił wieżę. Dniało już. O paręset kroków od wieży w cieniu starych wierzb stali jego towarzysze, czekając na niego. Przyłączył się do nich i ruszyli naprzód w milczeniu.

— Chodźcie za mną — zwrócił się do nich. — Teraz, moi panowie, jako skazańcy nie znajdziecie lepszego schronienia niż to, które wam proponuję.

Zagłębili się w labirynt ciemnych i krętych uliczek. Domy stawały się coraz nędzniejsze i gorsze. Przed domami zgromadziło się moc ludzi, a każdy z nich oddawał się dziwnemu zajęciu. Tu jakiś mężczyzna, przeglądając się w lustrze, zasmarowywał sobie w ten sposób brwi i powieki, że z daleka sprawiał wrażenie człowieka, któremu wyłupiono oczy. Inny znowu nalepiał na nogach plastry, imitujące ohydne wrzody. Jeszcze inny kazał sobie przywiązywać do boku rękę, aby udawać bezrękiego...

Dzielnica, w której się znaleźli, była Dzielnicą Cudów, królestwem żebraków.

Nikt nie zwracał uwagi na ludzi, którzy ukazali się na jej ciasnych i dziwacznych ulicach. Mimo to jednak Buridan i jego towarzysze czuli, że wszystkie spojrzenia ukradkiem biegną za nimi.

Bigorne, rzucając tu i tam jakieś tajemnicze znaki, zmierzał w stronę domu, przed którego drzwiami była zatknięta wysoka tyka. Na szczycie tej tyki chwiało się na powrozie kawał czerniejącego krwawego mięsiwa — był to sztandar Dzielnicy Cudów! Oznaczał on, że w domu, przed którym jest zatknięty, mieszka król tego dziwnego królestwa.

W chwili gdy mieli już przekroczyć próg nędznej chatki, Buridan wykrzyknął:

— Filip, gdzie jest Filip?!

Wszyscy obejrzel się i spojrzeli po sobie. Filipa nie było w ich gronie! Zniknął!

XXVII

LOSY FILIPA

Podczas gdy cała grupa prześladowanych przez prawo śmiazków skierowała się za Bigorne'em w stronę Dzielnicy Cudów, Filip szedł przy boku Wilhelma Wichury. Wszyscy zmierzali w stronę rzeki. Powoli Filip zaczął odłączać się nieco od nich i pozostawać w tyle. Spojrzał za nimi i szepnął:

— Czy się z nimi jeszcze zobaczę? Kto wie? Lecz nawet gdyby to nigdy już nie miało nastąpić, muszę upewnić się, że Małgorzacie nic nie grozi! Muszę dokończyć dzieła jej ocalenia!

Wrócił do wieży. Wszedł na piętro do pokoju, w którym spotkał się z królem, usiadł w fotelu, ukrył twarz w dłoniach i zamyślił się. Nie był ciekaw, czy król był jeszcze w wieży, powtarzał sobie jedynie w myślach: „Wróci tu na pewno. A wtedy ona będzie zgubiona!” Wzrok jego ożywił się, twarz wykrzywiła się nerwowo. „Zdradza męża! Tak, to prawda! Sam byłem tego świadkiem, a jednak kocham ją i myśl, że mogę umrzeć, niosąc jej ratunek jest jedyną moją osłodą!”

Spojrzał na rozrzucone na podłodze kawałki pokrajanego przez Ludwika obrazu. Nie mógł zrozumieć, o co chodzi... Spojrzał na inne obrazy, nie znalazł jednak w nich nic kompromitującego Małgorzatę. Zaczął teraz systematycznie, spokojnie oglądać każdy przedmiot, najmniejszy drobiazg. Niszczył wszystko, co by mogło nasunąć bodaj najłżejsze podejrzenie.

Mijały godziny, Filip ciągle pracował nad ratunkiem Małgorzaty. Najrozmaitsze przedmioty, które wydawały mu się podejrzane, łamał, niszczył lub palił. Gdy wziął do ręki dzbanuszek do ciepłej wody, której w owych czasach używano do mycia rąk przy stole, zbladł — na dnie bowiem srebrnego naczynia ujrzał wyrzeźbioną wspaniałą koronę królewską.

— Cóż za nieostrożność! — szepnął.

Wszedł na platformę i wyrzucił dzbanuszek do rzeki.

Wreszcie otworzył szafę z sukniami. Nic nie było w niej takiego, co by mogło naprowadzić króla na ślad Małgorzaty. Jedynie szmaragdowa klamra od płaszcza ściągnęła na siebie uwagę Filipa. Zamyślił się i już chciał wrzucić ją również do Sekwany, odpiął jednak w końcu klamrę, owinął ją w kawałek pergaminu, a potem pokiwał głową i rzekł: Trzeba być szaleńcem, aby nie pomyśleć o tym. Zrobił małe zawiniątko, wyczekał jeszcze czas jakiś, potem wyszedł z wieży i stanął u jej podnóża, przyglądając się w milczeniu przechodniom. Przechodzili mieszczanie, żacy i żołnierze. Badawczo przyglądał się żołnierzom. Jeden z nich zwrócił na siebie jego szczególną uwagę. Był to łucznik straży pałacowej.

Filip podszedł do niego, włożył mu w rękę parę talarów i rzekł:

— Mój przyjacielu, widzę z twego munduru, że jesteś strażnikiem Luwru.

— Służę w kompanii łuczników królowej.

— Dobrze. Czy widzisz ją czasem?

— Kilka razy na dzień.

— Dobrze. Weź to zawiniątko, oddaj je jej królewskiej mości, a na pewno będziesz za to po królewsku wynagrodzony. Uczyn to jednak tak, aby nikt tego nie widział.

— Dziś jeszcze zawiniątko zostanie jej doręczone — odpowiedział żołnierz i oddalił się.

Filip wrócił do wieży i kontynuował przegląd.

Pokój zaległy ciemności. Rozejrzał się dokoła zdziwiony.

— Już noc! — szepnęła. — Straszny był ten dzień! Teraz jednak mogę być spokojny! Król może wrócić, może szukać tu! Ale nie znajdzie nic, Małgorzato, ocalam ci życie po raz drugi! A teraz — do Buridana i mego brata!

Zaczął schodzić w dół. Gdy już stał na ostatnim stopniu schodów, do przedsionka wieży wdarł się rój łuczników, a ich przywódca zawołał:

— Jeden jest! Łapać go! Inni na pewno są w pobliżu! Przeszukać wieżę i przyprowadzić mi jeńców!

Dwunastu łuczników rzuciło się na Filipa i skrzepowało go. Podźwignięto go i wrzucono na wózek, który czekał u podnóża wieży.

Łucznicy obeszlą się z biednym młodzieńcem dość brutalnie. Pobito go. Cała twarz broczyła mu krwią. Zemdlał. Tracąc jednak przytomność, szepnęła:

— Małgorzato! Jesteś ocalona! Ocalona przeze mnie! Ocalona przez tego, którego nigdy nie pokochasz, a który będzie cię wielbił do ostatniego dnia swego życia!

Przeszukano wieżę od góry do dołu. Poszukiwania nie zostały uwieńczone żadnym wynikiem. Nikogo więcej nie aresztowano. Mimo to jednak dowódca łuczników zacierał ręce radośnie i szeptał do siebie:

— Jednego mam! Z jego twarzy i ubrania, z jego białych rąk znać, że jest to jeden z ważniejszych łotrów, może ich szef. Mam nadzieję, że królowa będzie ze mnie zadowolona.

Gdy Filip zbudził się z omdlenia, zobaczył, że znajduje się w ciemnej, dusznej, cuchnącej celi więziennej. Zaczął przypominać sobie ostatnie wypadki. Trawiła go gorączka. Jakieś fantastyczne obrazy przesuwały mu się przed oczami. Rozszerzonym wzrokiem wpatrywał się w otaczający go mrok. Za każdym jednak poruszeniem rozlegał się ponury brzęk kajdanów, którymi był przykuty do muru.

Nagle wśród gorączkowych widziadeł, jakie przesuwały mu się przed oczami, ujrzał świetlaną, przepiękną postać kobiecą.

Brzęcząc kajdanami padł na kolana i wyszeptał:

— Małgorzato!

XXVIII

WIESZCZKA CZY CZAROWNICA

Gdy hrabia de Valois ujrzał wchodzącego do swej zaimprovizowanej celi króla Ludwika, podbiegł do niego, pochwycił go w ramiona i zawołał:

— Do końca życia nie zapomnę ci, *sire*, tego, że tobie zawdzięczać będę wolność, a może i życie!

Z tymi słowami wybuchnął płaczem. Był w tym momencie zupełnie szczerzy. Dobre jednak odruchy nie były u niego długotrwałe. Już po chwili zaczął rozważać, jaką korzyść mógłby wyciągnąć z tej nagłej czułości królewskiego krewniaka, o którą nigdy by go nie posądził.

— Jak jednak dowiedziałeś się, *sire*, o tym?

— Że jesteś w wieży Nesle? Ano, od niejakiego Lancelota Bigorne'a.

— Lancelot Bigorne mówił ci o mnie? — wyjąkał Valois zmieszany. — Co mógł ci o mnie mówić! Pilnuj się, miłościwy panie, to wielki nicpoń!

— Nie sądzę! Zresztą wyznał mi całą prawdę pod przymusem. — Tu poniosło króla krasomówstwo. — Kazałem go pojmać i sprowadzić do Luwru. Sam go badałem i dowiedziałem się od niego, gdzie jesteś, mój stryju! Człowiek ten poniesie karę, na jaką zasłużył. Dni jego są policzone.

Valois był teraz pewien, że Lancelot znajduje się już w więzieniu i że z tej strony nic mu już grozić nie może. Nie wypytywał więc o żadne szczegóły.

— A teraz, mój stryju — zapytał z kolei król — jak ty, taki szczywany lis, dałeś się podejść?

— *Sire*, wyznam ci przede wszystkim, że umieram z chęci wydostania się na wolność... a potem — umieram z głodu.

— Umierasz z głodu? — zapytał król ze zdziwieniem. — No, a ta szynka?

— Jaka znowu szynka?

— Szynka, którą chciał cię ufetować Bigorne...

— Niestety, *sire*, za całą szynkę starczył mi kawałek suchego razowca. Przeciwnie, to ja miałem im posłużyć jako strawa...

— Jak to, ty? Miałeś być strawą dla Bigorne'a?

— Niestety, tak...

Tu opowiedział królowi całą przygodę, starając się, rzecz oczywista, złagodzić nieco całą śmieszność swej sytuacji. Mimo jednak oględności, z jaką to czynił, król, słysząc jego opowiadanie, wybuchnął niepohamowanym śmiechem, tak zabawna wydała mu się cała scena.

— Nie widzę w tym nic zabawnego! Banda opryszków znęcająca się nad królewskim stryjem...

Król śmiał się coraz hałaśliwiej i weselej. Gdy wreszcie uspokoił się nieco, zabrali się do wyjścia. Jeszcze nad Sekwaną, król, ile razy przypomniał sobie o tym, co mu Valois opowiedział, łapał się za boki i śmiał się, aż się rozlegało.

Nim upłynęło pół godziny, stryj i synowiec siedzieli już przy wspaniale zastawionym stole, na którym zgodnie z rozkazem króla umieszczono olbrzymią szynkę.

— Panowie — zagadnął król swych dworzan — jak sądzicie, co jem, kogo jem w tej chwili?

I zabierał się do spożycia potężnego kawałka szynki.

— *Sire* — odpowiedział Gautier de Chatillon — nie popełnię błędu, jeśli powiem, że jesz świnie!

— Otóż nie! Nie zgadłeś, waś! To Valois!

Król wybuchnął śmiechem i śmiał się tak serdecznie, że aż się zadławił i Geoffroy de Malestroit musiał parę razy uderzyć go w kark. Była to jedyna poufałość, na jaką mogli sobie pozwolić poddani w stosunku do swego króla.

— Dziękuję ci, Malestroit — rzekł król, uspokajając się i nareszcie, podczas gdy obecni spoglądali na siebie ze zdumieniem.

Nie mogli zorientować się, czy hrabia Valois był w większych niż kiedykolwiek łaskach u króla, czy i teź słowa Ludwika X były raczej obelgą, co w takim razie oznaczałoby upadek znaczenia hrabiego na dworze.

Około dziewiątej król i Valois nasycili się wreszcie, choć hrabia wciąż jeszcze był zasepiony i gniewny. Król pożegnał wszystkich zaproszonych.

— Nareszcie jesteśmy sami, mój Valois — powiedział do hrabiego. — Może opowiesz mi, jak się to stało, że zostałeś pochwycony przez tych łotrów w swoim własnym pałacu, podczas gdy twoja osobista straż liczy około trzystu żołnierzy?

Valois opowiedział w krótkich słowach swe przygody i o tym, jak Buridan i Bigorne, korzystając z ciemności i zamieszania na korytarzu, pochwycili go. Nie powiedział jedynie, w jakim celu wdarli się oni do pałacu. Postanowił osobiście zakończyć swoją sprawę z Szymonem Malingre'em.

— To fantastyczne! ~ rzekł król z zachwytem. — Przecież to są nie lada zuchy!

— Tak, *sire* — odpowiedział Valois posępnym tonem — to niebezpieczni ludzie. Najgorsze jest jednak, że ludzie ci działają pod wpływem człowieka jeszcze groźniejszego od nich... Są oni w jego rękę jedynie narzędziem.

— O kim mówisz, mój Valois! — zapytał król, czując, że wzbiera w nim gniew.

Twarz Valois nabrała wyrazu dziwnej zaciętości. Ten, który pomawiał innych o nienawiść, tchnął teraz sam nienawiścią. Pochylił się w stronę króla i głosem głuchym i schrypniętym wyszeptał:

— Mówię o tym, który zrujnował brata mego, Filipa IV, a teraz gotuje twoją ruinę! Mówię o tym, który nienawidzi mnie, bo znam doskonale jego wszystkie sprawki, wie, że śledzę go. Boi się tego, bo chce działać w ukryciu... Jest to...

— Czyżbyś miał na myśli Marigny'ego.

— Wasza królewska mość, sam wymówiłeś to obrzydłe mi imię! Tak, to Marigny podesłał tych włóczęgów, polecając im zamordowanie mnie. Sami nie odważyliby się na coś podobnego. Gdybyś, *sire*, nie przyszedł mi z pomocą, umarłbym z głodu i pragnienia.

— Na Boga, jeśli to, co mówisz, jest prawdą, każę pochwycić Marigny'ego i wtrącić go do więzienia, w którym zgnije. Nie, raczej każę go powiesić, tak, powiesić! Mego pierwszego ministra każę powiesić na Montfaucon, czyniąc dobry początek, jak mi to swego czasu radził, ofiarowując mi świeżo wybudowaną szubienicę.

Teraz Valois zrozumiał nagle, że rozpoczyna wielką grę i że jeśli pójdzie dalej, może zgnieść rywala doszczętnie. A wtedy czeka go sława i władza. Przymknął oczy, skupił się i w jednej chwili zorientował się, że chcąc osiągnąć całkowite zwycięstwo, musi poświęcić Myrtilę. A więc walka pomiędzy nienawiścią a miłością. Nienawiść wzięła górę. Jednocześnie postanowił sobie w duchu, że zabijając ojca, wynajdzie jednak jakiś sposób ocalenia córki. Twarz jego jeszcze bardziej sposepniała. Odezwał się:

— *Sire*, powiem ci, dlaczego Marigny po kilku dniach wahania postanowił uczynić stanowczy krok i wystąpić przeciw mnie, na co dotychczas nie mógł się odważyć.

— Mów, rozkazuję ci to — syknął król, widząc, że Valois jeszcze milczy.

— Otóż, usuwając mnie ze swej drogi, zamierzał jednocześnie ułatwić sobie inne, jeszcze straszniejsze morderstwo...

— Kogo? — zapytał król. — Mów, hrabio, mów... — Zdaje mi się, że chodzi tu o kogoś z mego otoczenia...

— Kogo masz, miłościwy panie, na myśli? — zapytał Valois ze złośliwym uśmiechem,

— Czy ja wiem! Może Chatillona?! Chatillon przyczynił się do ukoronowania mnie na króla Nawarry, więc ma wobec mnie zasługi, cieszy się moimi względami...

— Sięgnij wyżej, wasza królewska mość!

— Tam do diabła! Czyżby tu chodziło o któregoś z moich braci?

— Jeszcze wyżej, *sire*, jeszcze wyżej! Gdyby tu chodziło o ich książęce moście, wybacz mi, królu, nie rozpoczynałbym z panem Marignym walki.

Król zadrżał, jakby zgadując, co Valois miał na myśli.

— Nie przeszkadzałbym mu wtedy — ciągnął hrabia dalej — sądziłbym bowiem, że sam Bóg uzbroił jego rękę przeciw ludziom, którzy z nie ukrywaną niecierpliwością czekają swojej kolejki, marząc o tronie Francji. Lecz jak już powiedziałem, należy szukać jego ofiary wyżej, dużo wyżej! Widzę bladość na twojej twarzy. Widzę, że się domyślasz prawdy. Otóż, *sire*, ciebie, tak, ciebie chce dosięgnąć Marigny! Kto wie, czy Buridan nie jest narzędziem w jego rękę? Kto wie, czy ten Buridan nie jest również narzędziem twoich braci, *sire*?!

Przez chwilę w komnacie zaległo milczenie, lęk zakradł się do serca Ludwika. Wiedział o tym, że bracia jego czekają sposobności, aby sięgnąć po koronę. Może

nawet niezupełnie wierzył oskarżeniu wniesionemu przez Valois, dawało mu ono jednak sposobność do wyrzucenia z siodła tego nieustraszonego jeźdźca, jakim był Marigny, i przeciw któremu nieraz już burzył się i stawał dęba.

Król zamyślił się, a Valois z uśmiechem złośliwego zadowolenia przyglądał się jego zamyśleniu. Oczy króla, zwykle błyszczące radością życia, teraz były posępne i złe.

„Marigny jest stracony!” — pomyślał Valois z radością.

Król podniósł wreszcie głowę, obejrzał się dokoła, jakby chcąc się upewnić, że żadne widmo ani cień Marigny’ego nie śledzi ich, wreszcie zapytał:

— Jak to zrobimy?

Pytanie to było jednocześnie wyrokiem na ministra. Było jednoznaczne z oskarżeniem o zbrodnię stanu.

Valois zrozumiał to. Powstał, okrążył stół i usiadł przy królu. Ruchem tym jak gdyby usuwał wszelki dystans hierarchiczny. W tej chwili Ludwik X nie był już królem, rozmawiającym z jednym ze swych potężnych wasali. Byli to stryj i synowiec dyskutujący o sprawach rodzinnych. Byli to dwaj wspólnicy przysuwający się do siebie bliżej, aby obradować nad projektowaną zbrodnią.

— *Sire*, jeśli chcesz powierzyć mi tę sprawę, mogę zająć się nią i wynaleźć dla sędziów godziwy powód, który by wystarczył do skazania Marigny’ego. Naród zaś nie potrzebowałby wiedzieć o wszystkim. Nie zabrakłoby pretekstów do oskarżenia. Każmy tylko przeszukać piwnice pałacu Marigny’ego, a przekonamy się, że przepelnione są złotem, podczas gdy skrzynie skarbcza królewskiego są puste. Zapytamy go, skąd ma te skarby. Oskarżymy go wtedy o to, że zdefraudował dziesięciny należne papieżowi albo że brał pieniądze od Flamandczyków i knuł zdradę przeciw koronie francuskiej. Oskarżymy go wreszcie o zbrodnię, której żadna inna zbrodnia nie jest w stanie dorównać!

Król słuchał z uwagą słów Valois. Upajał się nienawiścią, jaką sącył mu w duszę jego stryj.

— Pamiętasz, królu, że życiu twemu groziły czary pewnej czarownicy, która sprzysięgła się z szatanem ku twej zgubie?

Król położył na czole znak krzyża świętego.

— Czy pamiętasz owego wieczoru dziwne zachowanie się Marigny’ego? Jego zmieszanie, błądzenie, jego nastawienie na to, żeby samemu aresztować czarownicę? Czy nie byłś ciekaw poznać przyczyny tego zmieszania?

— Nie myślałem o tym wcale! — odpowiedział z całą naiwnością król. — Teraz jednak prawda bije w oczy, Marigny czuł wtedy wyrzuty sumienia.

— Nie! Nie wyrzuty sumienia, lecz lęk! Marigny bał się po prostu! Czy słyszysz! Bał się, bo ową czarownicą, która czyhała na twoje życie, była.... jego córka!

— Jego córka?! — wykrzyknął król z bezgranicznym przerażeniem w głosie.

— Tak! Jego córka współniczką. Biedne, niewinne dziewczę, które najprawdopodobniej działało nieświadomie, za namową swego wstrętnego ojca.

Ludwik, słysząc te słowa, oniemiał z przerażenia. Co? A więc ta przeszło czterdziestoletnia kobieta, którą widział w celi więziennej Tempie, miała być córką Marigny’ego? Przecież to niepodobna! To jakieś nieporozumienie! Nagle wydało mu się, że rozumie już wszystko! Tak! Zrozumiał. Puknął się w głowę i krzyknął:

— Nareszcie rozumiem wszystko, Valois! Czy widziałeś po mojej bytności w więzieniu tę czarownicę? Czy byłeś w jej celi? W jakim wieku mogła być ta dziewczyna, ta córka Marigny’ego?! Nie starsza niż dwadzieścia lub trochę więcej lat, nieprawdaż? Córka Marigny’ego nie może mieć więcej!

— Ma zaledwie siedemnaście lat! — wyszeptał Valois. Niepokój jego wzrastał z każdą chwilą. Nie wiedział, jak się wyplącze ze straszego splotu intryg, jakie uknuł. Jedna nieostrożność, jeden fałszywy krok a sam stanie się ofiarą własnych knowań!

— Siedemnaście lat! — wykrzyknął król gwałtownie. — Takie na tobie sprawiła wrażenie?!

— Tak, *sire* — odpowiedział Valois ze zdumieniem. — Jest piękna i ma wdzięczną postać! To najpiękniejsza róża z całej Zagrody Róż!

Król spojrział na Valois z politowaniem.

— A więc nie tylko, że wydała ci się młoda, ale w dodatku piękna! A więc posłuchaj! Teraz widzę, że jest to istotnie czarownica, mnie bowiem ukazała się pod postacią starej i wstrętnej kobiety...

Valois zdziwił się niezmiernie... Nic nie rozumiał. Pomyślał, iż król prowadzi z nim jakąś straszliwą grę, że się z niego po prostu natrzęsa.

— *Sire* — wybełkotał — nic nie rozumiem.

— A ja rozumiem — odparł król gwałtownie. — Bigorne powiedział mi prawdę. Ta jego córka jest nie tylko czarownicą, ona jest jeszcze wieszczką.

— Bigorne! Wieszczka! — krzyknął zupełnie ogłupiały Valois przesuwając ręką po spoconym czole.

— Tak — powtórzył król — to wieszczka! To znaczy, istota, która może przybierać dowolną postać, aby uniknąć zemsty ludzkiej. Musimy przyjrzeć się jej razem. Ciekaw też jestem, jaką nową postać przebierze teraz. Ty może będziesz w niej widział po dawnemu dziewczynę młodą i ładną, mnie zaś ukaze się znowu jako stara i brzydka jędza! Wezwijmy ją do tego pokoju i sprawdźmy nasze wrażenia!

— A więc jest tutaj?! — wybełkotał Valois przerażony.

— Tak, wydałem Trencavelowi rozkaz, aby przyprowadzono ją z więzienia do Luwru. Musi tu być już od nocy.

Z tymi słowami król ruszył do swego sypialnego pokoju. W przedpokoju król zatrzymał się. Hugo Trencavel stał przy drzwiach z obnażoną szpadą, wraz z nim stało na warcie jeszcze dwunastu żołnierzy.

— Co z czarownicą? — zapytał król.

— Czeka na rozkazy waszej królewskiej mości! — odpowiedział kapitan straży. — Stosownie do twego, miłościwy panie, rozkazu kazałem sprowadzić również Capeluche'a i twego, *sire*, skarbnika. Czekają tu już od trzeciej w nocy.

Król zwrócił się do skarbnika, który stał w progu sali, trzymając w ręku trzy mieszki z talarami.

Ludwik uśmiechnął się i wskazał na mieszki.

— Możesz waść odejść wraz z tymi mieszkami, których już nie potrzebuję. Na pamiątkę dzisiejszego dnia zatrzymaj je dla siebie!

— A więc mogę iść spać? — zapytał skarbnik.

— Idź do diabła! — popędził go Ludwik Zabijaka.

Tymczasem Valois spojrział w przeciwległy kąt przedpokoju i ujrzał kata Capeluche'a drzemiącego na ławeczce. Mistrz trzymał w ręku trzy piękne, nowe powrozy. Wszystkie starannie natłuszczone, każdy miał na końcu pętlę.

— Dla kogo są te powrozy? — wyjąkał Valois zdjęty strachem.

— Czy mam odprawić również i kata? — zapytał Hugo de Trencavel, wskazując palcem na Capeluche'a.

Król zawahał się przez chwilę, potem powiedział:

— Niech jeszcze zostanie. Być może, będę potrzebował jego i trzech powrozów.

Każdy z obecnych, słysząc tę odpowiedź, zbladł i zadał sobie mimo woli pytanie, dla kogo z nich przeznaczone są te powrozy.

— Trzy powrozy — szepnął z drżeniem Valois. — Jeden dla czarownicy, jeden dla Marigny’ego... jeden dla mnie!

Jedynie mistrz Capeluche nie zbladł ani nie czuł lęku. Spał sobie z trzema powozami w garści najspokojniej pod słońcem.

— Czy umieściłeś czarownicę w moim pokoju? — zapytał król Trencavela.

— Nie, *sire* — odpowiedział kapitan — uważałem, że uczynię najrozsądniej, umieszczając ją w małym gabinecie bez zewnętrznych drzwi i okien, któreby mogłyby uciec.

— Dobrze uczyniłeś, mój poczciwy Trencavelu!

Król w towarzystwie Valois udał się do swego sypialnego pokoju. Stał tam oficer i sześciu strażników znajdujących się pod jego komendą. Król usunął ich skinieniem ręki i otworzył drzwi gabinetu.

— Jestem zgubiony! — szepnął do siebie Valois.

W tej samej chwili rozległ się niesamowity krzyk. Krzyk ten wydarł się z piersi króla Ludwika. Wszyscy pośpieszyli za królem, aby mu przyjść z pomocą, a wtedy stwierdzili ku ogólnemu zdumieniu, że gabinet był pusty!

— Pusty! — zawołał król drżącym głosem.

— Pusty! — powtórzył Valois, a głos jego zabrzmiał dziwną radością, jak głos skazańca, któremu w ostatniej chwili ogłoszono amnestię.

Wiść o niezwykłym wypadku rozeszła się niezwłocznie po Luwrze. Jedni wołali, że stał się cud, inni żądali uderzenia w dzwony na trwogę.

Król tymczasem rzekł do Valois:

— Powiedziałem ci już, że ta dziewczyna jest nie tylko czarownicą, lecz i wieszczką.

Dalsze losy bohaterów w książce pt. „Krwawa królowa”.